REPORTAŻ

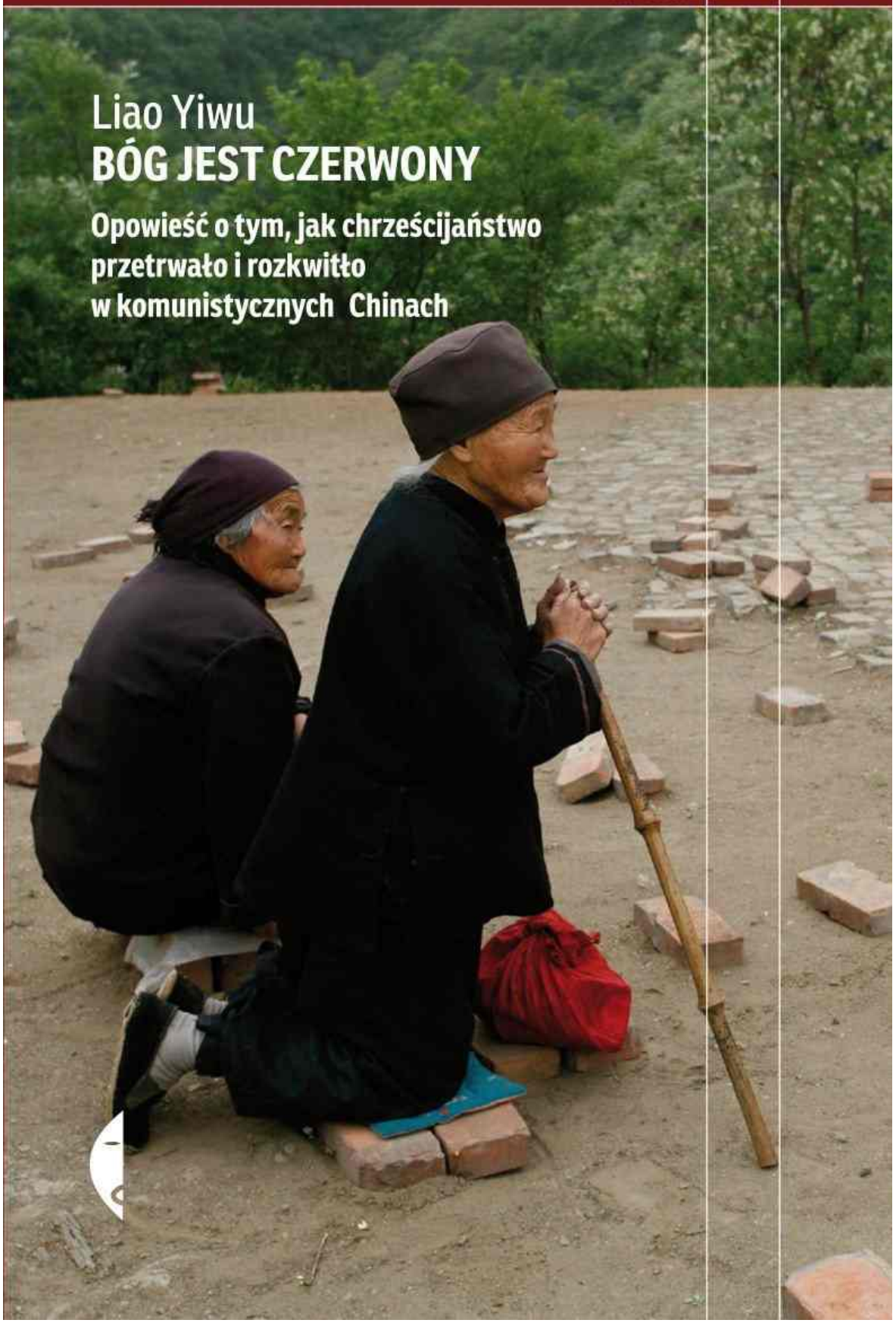

Liao Yiwu

BÓG JEST CZERWONY

Opowieść o tym, jak chrześcijaństwo przetrwało i rozkwitło w komunistycznych Chinach

Liao Yiwu

Bóg jest czerwony

Opowieść o tym, jak chrześcijaństwo przetrwało i rozkwitło w komunistycznych Chinach

Z angielskiego przekładu Wenguang Huanga
przełożyła Barbara Gadomska

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2014

Przedmowa tłumacza z języka chińskiego na angielski

Liao Yiwu to jeden z najwybitniejszych i najodważniejszych współczesnych pisarzy chińskich. Epicki poemat *Masakra*, napisany w 1989 roku i potępiający krwawy atak rządu na zgromadzonych na placu Tiananmen, kosztował go cztery lata więzienia. Książka *Prowadzący umarłych. Opowieści prawdziwe. Chiny z perspektywy nizin społecznych* (2008)*, relacjonująca życie osób z marginesu społecznego, pozostaje w Chinach zakazana. Władze chińskie uważają jego twórczość za wywrotową, gdyż krytycznie odnosi się do komunizmu.

Mimo tak niesprzyjających mu w kraju warunków Liao nie daje się zastraszyć i nieustannie znajduje coś, co pobudza jego ciekawość. W *Bóg jest czerwony* podejmuje temat przez wiele lat na Zachodzie całkowicie nieznany i wciąż budzący wiele kontrowersji – a mianowicie odrodzenie chrześcijaństwa w Chinach. World Christian Database ocenia, że w Chinach mieszka około siedemdziesięciu milionów praktykujących chrześcijan. W społeczeństwie ściśle kontrolowanym przez ateistyczny rząd chrześcijaństwo jest największą zorganizowaną religią.

* W Polsce książka ukazała się nakładem Wydawnictwa Czarne w 2011 roku w przekładzie Agnieszki Pokojskiej, a w 2012 roku została uhonorowana Nagrodą im. Ryszarda Kapuścińskiego (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Ta liczba niewątpliwie zaskoczy wielu mieszkańców Zachodu, którzy są skłonni kojarzyć Chiny raczej z palącymi kadzidełka buddystami i taoistami, pragmatycznymi konfucjanistami, ateistami wymachującymi czerwonym sztandarem komunizmu lub ambiwalentnymi w sensie duchowym wyznawcami konsumpcjonizmu.

Chrześcijaństwo dotarło do Chin już w siódmym wieku, a dyskusje naukowe z udziałem jezuitów na dworze Kubilaj-chana są dobrze udokumentowane, jednak religia ta zakorzeniła się tu mocniej dopiero w dziewiętnastym stuleciu, gdy rozwój transportu i otwarty dostęp do wnętrza kraju umożliwiły przybywającym do Chin europejskim misjonarzom działalność w Państwie Środka. Przed przejęciem władzy przez komunistów w 1949 roku religia ta rozwijała się coraz szybciej dzięki miejscowym chińskim działaczom chrześcijańskim, kształconym za granicą lub w lokalnych seminariach pod kierunkiem zachodnich misjonarzy. Według danych fundacji China Souls for Christ w 1949 roku – czyli wówczas, gdy zagranicznych misjonarzy wyrzucono z kraju – liczba wyznawców sięgnęła siedmiuset tysięcy.

Pod rządami komunistów, aż do śmierci Mao Zedonga w 1976 roku, wielu chińskich chrześcijan trafiło do więzienia lub straciło życie. W ostatnim okresie władze rozluźniły nieco kontrolę nad religią, a chrześcijaństwo przeżywa gwałtowny rozwój, mimo że partia komunistyczna stara się ograniczać jego ekspansję, wymagając, by wszystkie Kościoły należały do Chińskiego Chrześcijańskiego Patriotycznego Ruchu Trzech Samodzielności albo do Patriotycznego Stowarzyszenia Katolików Chińskich. Oficjalny dziennik „China Daily" podał w 2007 roku, że w Chinach żyje około czterdziestu milionów zadeklarowanych protestantów i około dziesięciu milionów katolików (Pekin uważa katolików za ruch odrębny od głównego nurtu chrześcijaństwa). Choć wielu Chińczyków postanowiło uznać rzeczywistość polityczną i ograniczyć praktyki religijne do ram wyznaczonych przez władze, są tacy, którzy się temu opierają, uważając, że nie partia, lecz jedynie Bóg ma prawo do ich wiary. Odrzucają zatem

„oficjalne" kościoły i spotykają się prywatnie, by w ramach tak zwanego ruchu kościołów domowych wyznawać wiarę chrześcijańską mimo nieustannych prześladowań ze strony organów rządowych. Ruch ten przybiera na sile.

Liao zaczął się interesować chrześcijaństwem w lipcu 1998 roku, gdy podczas wizyty u przyjaciela w Pekinie poznał Xu Yonghaia, lekarza neurologa, który został kaznodzieją w podziemnym Kościele protestanckim. Wówczas to po raz pierwszy Liao miał kontakt z chińskim chrześcijaninem. To spotkanie opisał w rozdziale *Potajemna wizyta*:

> [...] z fragmentów ich rozmowy, jakie do mnie docierały, wywnioskowałem, że chodzi o druk jakichś zakazanych tekstów. Yonghai, cały spięty, co parę minut unosił głowę i ukradkiem wyglądał na zewnątrz, czy nikogo tam nie ma.
>
> – Musimy być ostrożni. Sądzę, że w domu Wenliego jest podsłuch – szepnął, przysuwając się bliżej mnie.
>
> Skinąłem głową, akceptując ich przezorność.
>
> Liczył, że Xu Wenli pomoże mu w druku publikacji przeznaczonych dla członków pekińskiego kościoła domowego. Nabrawszy do mnie sympatii, zaczął mi opowiadać o koncepcji zbawienia przez Boga. Niewiele wówczas wiedziałem o chrześcijaństwie. Nieszczególnie interesowało mnie to, co ma do powiedzenia, instynktownie też odrzucałem jego nawracanie.
>
> – Nie chodzę do kościoła – odezwałem się w końcu.
>
> – Ja też nie chodzę do kościoła – roześmiał się. – Wszystkie są kontrolowane przez rząd.

Liao – który dorastał pod rządami Mao, gdy praktyki religijne były zakazane, a komunizm uważano za narodowe wyznanie skupione wokół ubóstwianego i uwielbianego Przewodniczącego – sceptycznie odnosił się do wszelkich form kultu. Niewiele wiedział o chrześcijaństwie, które władze od dawna demonizowały jako sprowadzone przez zagranicznych imperialistów „opium dla ducha". Jednak jako pisarz wielokrotnie aresztowany za krytyczne wobec rządu utwory zdecydowanie opowiadał się za wolnością słowa i wyznania. Nie podzielał wiary Yonghaia, ale podziwiał jego odwagę.

Po powrocie do rodzinnego miasta w Syczuanie Liao zaczął zbierać informacje na temat wiary chrześcijańskiej w Chinach i dowiedział się więcej o konspiracyjnym ruchu chrześcijańskim, którego jedną z czołowych postaci był właśnie Yonghai.

Liao i Yonghai utrzymywali kontakty i prowadzili długie rozmowy o polityce i wierze aż do początków 2002 roku. Wtedy to Yonghaiowi odłączono telefon, on sam zaś został aresztowany, gdy wygłaszał kazanie w prywatnym domu w prowincji Zhejiang, w południowo-wschodnich Chinach. Otrzymał wyrok trzech lat więzienia.

Aresztowanie Yonghaia pogłębiło zainteresowanie Liao sprawami chrześcijaństwa. Gdy w początkach 2004 roku znów przyjechał do Pekinu, jego przyjaciel Yu Jie, pisarz i znany działacz chrześcijański, dał mu kopię filmu dokumentalnego *Krzyż. Jezus w Chinach,* nakręconego przez Yuan Zhiminga. Film opowiada o historii i rozwoju chrześcijaństwa w Chinach, a także podaje informacje na temat pierwszych chrześcijańskich męczenników i wyznawców należących do ruchu kościołów domowych. Ten obszerny materiał filmowy o dużych chrześcijańskich ugrupowaniach stał się dla Liao ważnym źródłem informacji i kanwą wielu przemyśleń. Uznał on, że musi włączyć chrześcijan w szeroki projekt badawczy dotyczący ludzi żyjących dziś na marginesie chińskiego społeczeństwa.

Okazja nadeszła w grudniu 2004 roku, gdy Liao ukrywał się w Junnanie przed agentami bezpieczeństwa, którzy zrobili nalot na jego syczuańskie mieszkanie, ponieważ przeprowadzał wywiady z członkami Falun Gong, zakazanego ruchu *quasi*-religijnego. W Lijiangu poznał chińskiego chrześcijańskiego lekarza, który w tej książce występuje jedynie jako doktor Sun; porzucił on lukratywną praktykę lekarską w mieście na rzecz pracy misjonarskiej w odległym górskim regionie w południowo-zachodnich Chinach. Ponieważ na terytorium obsługiwanym przez doktora Suna mieszkały liczne mniejszości narodowe, a dawniej działało tam wielu europejskich i amerykańskich chrześcijańskich

misjonarzy, Liao spytał doktora, czy mógłby mu towarzyszyć w kilku miesięcznych podróżach do wiosek zasiedlonych w dużej mierze przez ludy Miao i Yi, dwie największe mniejszości narodowe w Chinach.

W tych enklawach etnicznych, ubogich na skutek odosobnienia, do których nie dotarły niemal żadne przejawy nowoczesności, Liao napotkał żywą chrześcijańską społeczność, która rozwinęła się dzięki pracy zachodnich misjonarzy w końcu dziewiętnastego i w początkach dwudziestego wieku. Mało kto z zewnątrz otrzymał taką szansę bliższego jej poznania.

Liao rozmawiał z chrześcijanami w lśniąco białym kościele, który wznosił się dumnie na tle górskich szczytów, a jego wieżę wieńczył czerwony krzyż. Był świadkiem modlitw na zatłoczonym podwórzu, gdzie „zwierzęta i ludzie żyli obok siebie, tworząc harmonijną całość". Podczas nabożeństw, celebrowanych jak uroczystości, Liao słyszał, jak niepiśmienni wieśniacy z elokwencją opowiadają o swej miłości do Boga.

Wielu z tych, z którymi Liao przeprowadził wywiady do tej książki, nigdy przedtem nie otworzyło się przed człowiekiem z zewnątrz. Z nim natomiast dzielili się wspomnieniami o „wysokich, blond lub rudych" cudzoziemcach, ratujących mieszkańców wsi podczas tragicznej trzeciej pandemii dżumy, która ogarnęła Chiny i znaczną część świata w początkach dwudziestego wieku. Opowiadali, jak cudzoziemcy uczyli higieny i sposobów ochrony zapasów wody, jak szerzyli oświatę, zakładając szkoły, poprawiali stan zdrowia mieszkańców dzięki budowanym szpitalom, ratowali niemowlęta i dzieci porzucone przez rodziców zbyt biednych, by je utrzymać. Zwierzali się Liao, mówili mu o brutalnych prześladowaniach i nękaniu wybitnych przywódców chrześcijańskich za czasów Mao – w tym o tragicznej, heroicznej historii wielebnego Wang Zhiminga, protestanckiego pastora straconego podczas rewolucji kulturalnej i uczczonego przez Opactwo Westminsterskie posągiem, ustawionym nad zachodnim wejściem do kolegiaty, wśród dziesięciu chrześcijańskich męczenników minionego stulecia.

Liao poruszyła siła wiary napotkanych kongregacji i panująca w nich pogoda ducha. Na przykład, opowiedziawszy tragiczną historię wielebnego Wang Zhiminga, jego syn, wielebny Wang Zisheng, stwierdził: „Nie czuję goryczy. Jako chrześcijanie wybaczamy grzesznikom i podążamy dalej. Jesteśmy wdzięczni za to, co mamy dzisiaj. Tak wiele pozostało do zrobienia. [...] W naszym współczesnym społeczeństwie w umysłach ludzkich panuje chaos i zamęt. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy słów Dobrej Nowiny".

W miastach Liao widział, jakim naciskom poddawane są niezarejestrowane i nieusankcjonowane przez państwo kościoły domowe, ale bardziej tolerancyjne podejście władz do religii na wsi dodało mu otuchy. Wieśniacy traktowali politykę i religię w sposób pragmatyczny. Nawet jeśli ktoś został ochrzczony w Potrójnie Samodzielnym Kościele Patriotycznym, bez żadnych wyrzutów sumienia modlił się w kościele domowym i słuchał nauk jego kapłanów. „Ta święta postać na krzyżu to mój Pan, wszystko jedno, czy wisi nad ołtarzem w kościele rządowym, czy w salonie" – stwierdził dwudziestoczteroletni mężczyzna. Ponadto, jak zauważył Liao, rodziny często wieszały na jednej ścianie portret przewodniczącego Mao, a na drugiej – wizerunek Jezusa.

Późną wiosną 2009 roku Liao i ja zaczęliśmy rozmawiać o możliwości napisania książki na podstawie jego doświadczeń w Junnanie. Liao zamierzał zająć się szerszym tematem duchowości w Chinach w epoce po śmierci Mao, gdy powszechna utrata wiary w komunizm połączona z szalejącą korupcją i chciwością, wynikającymi z bezwzględnego parcia kraju ku modernizacji, wywołała kryzys wartości duchowych. Choć książka *Bóg jest czerwony* skupia się na chrześcijaństwie, jej celem jest rozważenie dawnych i obecnych doświadczeń pewnej szczególnej grupy ludzi, z nadzieją na znalezienie wskazówek co do przyszłości Chin.

W lecie 2009 roku Liao wrócił do Junnanu i przez miesiąc mieszkał w najstarszej części Dali, miasta znanego ze zróżnicowanej i żywotnej kultury religijnej. Przeprowadził tam nową

serię wywiadów, chcąc rozbudować zakres tematyczny tej książki. Odwiedził dwa najstarsze kościoły chrześcijańskie w mieście, zbudowane przez zachodnich misjonarzy w początkach dwudziestego wieku, i odszukał miejscowych duchownych i działaczy chrześcijańskich, by zapisać historie ich życia.

W *Bóg jest czerwony* Liao po raz pierwszy przedstawia czytelnikom zbiór osiemnastu luźno związanych ze sobą wywiadów i esejów napisanych w latach 2002–2010. Na stronach książki współistnieją przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Niektóre opowieści, choć barwne i wyjątkowe, przedstawiają typowe doświadczenia chińskich chrześcijan i rzucają światło na społeczne i polityczne kontrowersje, które towarzyszą kwestii wiary chrześcijańskiej we współczesnych Chinach – a czasami ją przyćmiewają. Inne fragmenty oddają nastrój ponurych lat epoki Mao, gdy prześladowania polityczne dotykały wszystkich mieszkańców kraju i gdy torturowano i mordowano tysiące chrześcijan, a także niezliczone rzesze niechrześcijan. Co ważniejsze, każda opowieść nadaje ludzką twarz i historycznym, i współczesnym politycznym bitwom, jakie zwykli ludzie toczą z państwem, które wciąż pozostaje państwem policyjnym.

Eseje Liao w *Bóg jest czerwony* odzwierciedlają także jego własną przemianę. Rozpoczął te dociekania jako outsider – pisarz z miasta, niechrześcijanin, Chińczyk Han – wrzucony pomiędzy wyznających chrześcijaństwo wieśniaków z mniejszości etnicznych Miao, Yi i Bai, których język, tradycje kultury i wierzenia były mu obce. Czasami Liao czuł się wyobcowany i zagubiony. Pod koniec podróży gościnność, uczciwość i szczerość wieśniaków, ich niewzruszone trwanie przy wierze, a także optymistyczne spojrzenie w przyszłość usunęły wszelkie poczucie alienacji i pozwoliły mu lepiej zrozumieć Chiny. To, co usłyszał i czego był świadkiem, głęboko go wzruszyło. W rozdziale *Wspólnota* zauważył:

> Wiejskie kobiety, z których wiele niemal nie umiało czytać ani pisać, przez patriarchalne społeczeństwo od dawna pozbawione prawa do mówienia, właściwie nie „opowiadały" swoich historii,

tylko je odgrywały, wyrażając myśli z taką elokwencją, jakby wszystkie były wyszkolonymi, zawodowymi aktorkami. Ich opowieści przeplatały żywe anegdoty. Zróżnicowanie tonu i od czasu do czasu wybuchy płaczu pogłębiały wrażenie, stawiając ich przedstawienia na wysokim poziomie emocjonalnym. Były prawdziwymi gawędziarkami. W porównaniu z nimi czułem się zaledwie gryzipiórkiem.

Liao pozostał niewierzący, ale podróże pozwoliły mu zacieśnić więź z milionami chińskich chrześcijan, potrafiących znaleźć sens życia wśród niespokojnego społeczeństwa, w którym niepohamowany konsumpcjonizm obalił tradycyjne, wrodzone systemy wartości. Liao dostrzegł pokrewieństwo między wytrwałością chińskich chrześcijan a swoją własną walką o swobodę pisania i podróżowania. We wrześniu 2010 roku, gdy rząd chiński w końcu zezwolił mu na wyjazd do Niemiec, by mógł tam przedstawić swój dorobek literacki i muzykę – po czternastu odmowach udzielonych w ciągu poprzednich dziesięciu lat – wysłał do przyjaciół e-mail: „Walka to jedyny sposób, by uzyskać i zachować wolność i godność. Nadal będę pisał i dokumentował cierpienia ludzi żyjących na nizinach społecznych, choć partii komunistycznej nie podoba się to, co piszę. Mam obowiązek pomóc światu w zrozumieniu prawdziwego ducha Chin, który przetrwa dłużej niż obecny totalitarny rząd".

Wenguang Huang
Chicago
listopad 2010

Przedmowa

Górska ścieżka jest czerwona

Każda grudka ziemi pod mymi stopami była czerwona
i lśniła w bladym zimowym słońcu jakby nasiąknięta krwią.

Zapisałem te słowa w dzienniku w zimie 2005 roku, gdy wędrowałem wąską górską ścieżką w prowincji Junnan w południowo-zachodnich Chinach.

Przebywałem w Junnanie już od roku, musiałem bowiem uciekać z Chengdu przed agentami urzędu bezpieczeństwa, którzy przyszli mnie przesłuchać w związku z wywiadami, jakie przeprowadzałem z członkami Falun Gong. Strach przed aresztowaniem sprawił, że wyskoczyłem przez okno z mieszkania na pierwszym piętrze. Wyjechałem do pełnego słońca miasta Dali, gdzie schroniłem się tymczasowo w mieszkaniu przyjaciela. Jak szczur wymykający się ze szczelnie zamkniętej pułapki, w tym wypadku niecki Syczuanu, otrzepałem się z kurzu, przeciągnąłem się na plaży nad jeziorem Er Hai i podjąłem życie pisarza i muzyka – grając na chińskim flecie na ulicach i w barach, rozmawiając z ludźmi i o nich pisząc.

W nowym mieście, bez grosza przy duszy, przygnębiony, odciąłem się od przyjaciół z Pekinu i Chengdu. Całymi dniami wędrowałem po ulicach, spędzając czas z żebrakami, ulicznymi handlarzami, muzykami i prostytutkami, wysłuchując historii ich życia. Wieczorami topiłem smutki w alkoholu; dzięki temu niespodziewanie zaznajomiłem się nawet z tajniakami, których wysłano, by nadzorowali to, co robię. Policjanci w Junnanie, inaczej

niż ich syczuańscy koledzy, pozwalali postawić sobie kolejkę i bez oporów zostali mymi kompanami od kieliszka. Nawet w stanie upojenia alkoholowego nie zapominali trzymać się linii partii i powtarzali, że z całych sił pragną chronić ustrój komunistyczny, który jest dobry dla Chin. Pijaństwo nie zapewniało mi jednak skutecznej ucieczki od problemów, a nawet pogłębiało moje uczucie osamotnienia.

Wtedy właśnie, pod koniec 2004 roku, poznałem pewnego chrześcijanina, lekarza, wśród lokalnych wieśniaków znanego jako doktor Sun. Po przejściu na chrześcijaństwo zrezygnował ze stanowiska dziekana dużej akademii medycznej niedaleko Szanghaju i przyjechał na wieś w prowincji Junnan, gdzie leczył chorych i głosił ewangelię. Tego dnia usuwał zaćmę w chałupie mego przyjaciela w Lijiangu. Pacjentka, starsza kobieta, była zbyt biedna, by zapłacić za operację w państwowym szpitalu.

W okularach, zielonej marynarce i białym podkoszulku, łysiejący na ciemieniu doktor Sun wyglądał bardziej na nauczyciela niż chirurga. Przypominał mi Xu Yonghaia, neurologa-kaznodzieję, którego poznałem sześć lat wcześniej w Pekinie. Yonghaia, działacza zakazanego przez rząd ruchu kościołów domowych, aresztowano przed kilkoma miesiącami za nauczanie w południowo-wschodniej prowincji Zhejiang. Tego konkretnego dnia doktor Sun nie nawracał.

Zaskoczył mnie, mówiąc, że czytał moje książki – pirackie wersje, które udało mu się kupić na ulicy. Uprzejmie komplementował moje osiągnięcia literackie, ja zaś zaczynałem się zastanawiać, co takiego jest w chrześcijaństwie, że skłoniło tych wziętych lekarzy do porzucenia lukratywnej kariery w wielkim mieście na rzecz życia pełnego ryzyka i trudów. Poprosiłem doktora Suna, by udzielił mi wywiadu, ale w pierwszej chwili odmówił.

– Prowadzę zwyczajne życie – powiedział skromnie. – Jeśli to pana interesuje, proszę wybrać się ze mną w góry. W leżących tam wsiach usłyszy pan niezwykłe historie.

Oczywiście byłem zainteresowany. Ponad połowę życia poświęciłem wyciąganiu niezwykłych historii od zwykłych ludzi.

Rok później, w grudniu 2005 roku, spotkałem się z doktorem Sunem w Kunmingu, stolicy Junnanu. Razem wyruszyliśmy w podróż trwającą cały miesiąc i wiodącą głęboko w góry; jechaliśmy najpierw autobusem, a potem małym traktorem po niebezpiecznych górskich drogach utwardzonych drobnymi kamykami, które miejscowi nazywają „landrynkami". Minęliśmy powiaty Fumin i Luquan, o których nigdy wcześniej nie słyszałem, a potem miasteczko Sayingpan, gdzie kończyły się brukowane drogi. Wędrowaliśmy dalej po krętych, czerwonych, gliniastych ścieżkach aż do gromady małych wiosek otoczonych wysokimi górami. Doktor Sun powiedział mi, że zamieszkują je społeczności chrześcijańskie, których wiara jest żywa i głęboka.

To miejsce skojarzyło mi się ze starym chińskim powiedzeniem: „Niebiosa są wysoko, a cesarz jest daleko", które odnosi się do terenów tak dalekich i izolowanych, że wydają się poza zasięgiem i boskiej, i ziemskiej władzy. Ciekaw byłem, jak chrześcijaństwo, zagraniczna wiara, trafiło aż tu i rozwinęło się w rejonach tak odległych, że nie dotarła jeszcze do nich modernizacja przekształcająca inne części Chin. Chłopi przekopujący tarasowe poletka motykami i szpadlami wciąż ledwie wiązali koniec z końcem. Telewizja pozostawała luksusem, a wielu wieśniaków nigdy nie słyszało o lodówkach, nie mówiąc już o komputerach czy internecie. Opieka zdrowotna niemal nie istniała – na przykład gdy jeden z wieśniaków zachorował, krewni przez sześć godzin nieśli go do najbliższego szpitala. Zanim zdążyli tam dotrzeć, zmarł na wyboistej drodze. Jedyną nadzieją dla mieszkańców tych odległych wiosek były usługi medyczne świadczone przez wędrownego lekarza, doktora Suna.

Z upływem czasu, gdy zacząłem rozmawiać z mieszkańcami wsi, moje początkowe założenia ulegały zmianie. To prawda, że wieśniacy na zimnych płaskowyżach Junnanu żyli w skrajnej nędzy, odcięci od rozwiniętych ośrodków miejskich. W gruncie rzeczy jednak region nigdy nie był chroniony przed politycznymi i kulturowymi wpływami zewnętrznego świata. Co więcej, zdecydowanie leżał w zasięgu i boskiej, i ziemskiej władzy.

We wsi Zehei, zamieszkanej przez chińską mniejszość etniczną Yi, zaprowadzono mnie do lepianki Zhang Yingronga, osiemdziesięcioześcioletniego członka starszyzny miejscowego kościoła, którego spokojne, łagodne spojrzenie przywodziło mi na myśl mego ojca. Zhang Yingrong opowiadał ciepło o londyńskiej organizacji Misja do Chin Wewnętrznych (China Inland Mission), która ponad sto pięćdziesiąt lat temu wysłała do Szanghaju pierwszą grupę misjonarzy. Kilku z tych dziewiętnastowiecznych duchownych zwróciło uwagę na ukryte w górach wioski Yi. Nie istniały wówczas żadne środki transportu, więc cudzoziemcy „o jasnych włosach i wielkich nosach" przez wiele dni podróżowali na osłach, przybywając akurat w porę, by – dzięki zachodniej medycynie i znajomości współczesnej higieny – uratować mieszkańców gór przed śmiercionośną pandemią dżumy. Przywieźli też ze sobą egzemplarze *Shengjing* – Biblii, niedokładnie przetłumaczonej na mandaryński. Słowo Boże – powiedział Zhang Yingrong – stopniowo rozchodziło się po całym regionie, zdobywając serca i umysły wieśniaków, którzy od pokoleń szukali pocieszenia w melodyjnych recytacjach lokalnych szamanów i kulcie pogańskich bóstw. Ojciec Zhang Yingronga wcześnie przyjął nową wiarę, a za jego przykładem poszła cała rodzina. Misjonarze z czasem założyli szkoły i szpitale. W młodym wieku Zhang Yingrong uczęszczał do Południowo-Zachodniego Seminarium Teologicznego i już przed ukończeniem dwudziestu lat był gotów pójść w ślady misjonarzy.

Zajmujące opowieści Zhang Yingronga pogłębiły moje zainteresowanie chrześcijaństwem. Dotychczas niewiele o nim wiedziałem; dorastałem w czasach, gdy zachodnich misjonarzy przedstawiano jako „wrogich agentów imperializmu", którzy opanowują chińskie umysły, zabijają chińskie niemowlęta i doprowadzają do ruiny rodzimą kulturę. Zdecydowałem się porozmawiać z większą liczbą miejscowych chrześcijan i zgodnie ze wskazówkami doktora Suna zapuściłem się głębiej w górskie doliny.

Inny chrześcijański przywódca, wielebny Wang Zisheng, członek mniejszości narodowej Miao, mieszkał w wiosce po drugiej

stronie rzeki. Opowiedział mi podobną historię o niebieskookich cudzoziemcach, którzy ratowali życie wieśniakom i głosili ewangelię. To samo mówił wielebny Zhang Mao-en w Salaowu. W miarę gromadzenia wywiadów zauważyłem pewną prawidłowość – miejscowi mieszkańcy odziedziczyli wiarę chrześcijańską po rodzicach i dziadkach, którzy z kolei przyjęli nauki głoszone przez pewnego zagranicznego misjonarza. Czy był on Anglikiem, Francuzem, Niemcem, Amerykaninem, Australijczykiem, czy Nowozelandczykiem? Nie wiedzieli i nie uważali tego za ważne. Dzięki pracy tego cudzoziemskiego duchownego, który we wsiach znalazł podatny grunt dla wiary chrześcijańskiej, zapuściła tu ona korzenie wcześniej niż w innych częściach Chin. Trzy czy cztery pokolenia później chrześcijaństwo należało już do dziedzictwa poszczególnych rodzin i stanowiło integralną część lokalnej historii.

Była to historia pełna walki i krwi.

– Czasami, nawet często, diabły podążają śladami Boga, by zniweczyć Jego pracę – szepnął mi miejscowy chrześcijanin, nawiązując do schyłku lat czterdziestych dwudziestego wieku, gdy wdarł się tu komunizm, a ateistyczna ideologia Mao Zedonga gwałtownie starła się z wiarą chrześcijańską. Gdy w 1950 roku komuniści rozpoczęli reformę rolną, Zhang Yingronga, który szkolił się na kaznodzieję, uznano za „posiadacza", choć nie należała do niego żadna ziemia. Brutalnie bity, zmuszany do klęczenia na rozbitym szkle w ulewnym deszczu, głodzony, na wiele lat popadł w stan zbliżony do paraliżu.

Gdy zachodni misjonarze wycofali się z Chin, na czele ruchu chrześcijańskiego stanął inny kaznodzieja – Wang Zhiming. W latach pięćdziesiątych miejscowi urzędnicy komunistyczni zamknęli kościół i w celu reedukacji wysłali Wanga do pracy na roli. Spokojnie zaakceptował komunistyczną rzeczywistość i na pewien czas zaprzestał działalności religijnej. Podczas rewolucji kulturalnej, gdy partia naruszyła granicę, jaką sobie wyznaczył – czyli odmówiła mu prawa do modlitwy – nie przystosował się do nowych zakazów. Był gotów oddać życie. Jak można się było

spodziewać, został aresztowany w chwili, gdy przewodził modłom w górskiej grocie, i brutalnie stracony po publicznym wiecu, podczas którego go potępiono, a on sam stał niemo, gdyż przecięto mu język, by uniemożliwić nauczanie.

W epoce Mao miejscowym chrześcijanom nie wolno było się modlić ani chodzić do kościoła. Zmuszono ich do zaakceptowania komunistycznej ideologii. Przystosowali się, ale tylko kilka osób otwarcie odrzuciło wiarę. By zapobiec całkowitemu zduszeniu religii w tym regionie, niektórzy odważni wyznawcy gromadzili się na nabożeństwach w górskich jaskiniach. Dlatego też chrześcijaństwo przetrwało, a kilka lat po śmierci Mao Zedonga wspaniale rozkwitło, zdobywając jedną wieś za drugą.

Podczas wyprawy do ludu Yi wziąłem udział w nabożeństwie eucharystycznym, które miejscowi traktowali jak święto – zabili świnie i kurczaki na wielką ucztę.

Dorastałem w miastach, gdzie po śmierci Mao chrześcijaństwo także odrodziło się i rozkwitło, ale nabrało zdecydowanie cudzoziemskiego charakteru. Wielu nowo nawróconych to znakomicie wykształceni i zamożni przedstawiciele wolnych zawodów lub emeryci. Przyjęli chrześcijaństwo podobnie jak coca-colę czy volkswageny – uważając, że zagraniczna wiara jest lepszej jakości, tak samo jak zagraniczne produkty. Wielu młodych chrześcijan w miastach rzuca się do stóp Jezusowi, ponieważ noszenie krzyża i śpiewanie cudzoziemsko brzmiących hymnów jest w modzie.

Natomiast we wsiach ludów Yi i Miao chrześcijaństwo jest obecnie elementem tak rodzimym, jak *qiaoba*, gryczane ciastka, będące specjalnością Yi. Poznani przeze mnie chrześcijanie w większości byli biednymi, niepiśmiennymi rolnikami, którzy z cudzoziemcem mogli podzielić się jedynie opowieściami, bo nic więcej nie posiadali. Chrześcijaństwo utrzymuje Yi przy życiu, tak samo jak *qiaoba*. Wielebnemu Wang Zishengowi i członkowi starszyzny Zhang Yingrongowi wiara pozwoliła przeżyć brutalne prześladowania w ponurych latach władzy

Mao. Zhang Meizhi, która w kampaniach politycznych Mao straciła męża, braci i synów, niedawne nawrócenie na chrześcijaństwo pomogło odrzucić gniew i nareszcie znaleźć spokój. Wieśniaka, którego spotkał ostracyzm po zabiciu węża – bo, jak wierzyli miejscowi, mogło to wywołać trąd – nowo przyjęta wiara chrześcijańska wprowadziła do dużej, życzliwej społeczności.

Czy w wielkich chińskich metropoliach chrześcijaństwo – oferujące duchową przystań – zapewni spokój niecierpliwej ludności, nieustannie goniącej za dobrobytem i wygodami? Niewątpliwie zmieniło ono życie doktora Xu Yonghaia i doktora Suna. A może wiara chrześcijańska, tak samo jak buddyzm i taoizm, sprawi, że ludzie łatwiej poddadzą się totalitarnej władzy? Chińscy uczeni nieustannie rozważają, czy niektórzy chrześcijanie wybaczyli zbrodniczemu reżymowi w przejawie prawdziwego bożego miłosierdzia, czy dla usprawiedliwienia tchórzostwa. Ponieważ partia wciąż prześladuje chrześcijan i podejrzliwie patrzy na wszelkie ruchy duchowe, które grożą zakwestionowaniem jej władzy, nie wszyscy śpieszą się z wybaczaniem. Spytałem stuletnią zakonnicę, czy jest gotowa modlić się i darować winy komunistycznemu rządowi, który zniszczył jej kościół; skoczyła na równe nogi i aż zatupała: „Nie, absolutnie nie! Wciąż zajmują własność kościelną! Nie zgadzam się umrzeć! Zaczekam, aż oddadzą kościołowi wszystko, co zagrabili!".

Po powrocie z wyprawy z doktorem Sunem nie przestałem interesować się tym tematem. W 2009 roku znowu przyjechałem do Dali, by prześledzić kroki pierwszych chrześcijańskich misjonarzy, z których wielu tam osiadło, korzystając z miasta jako bazy wypraw w bardziej oddalone rejony. Te wycieczki poprawiały mi nastrój i wyciągały z pijackiej depresji. Historie bohaterskich chrześcijan, takich jak Zhang Yingrong, wielebny Wang Zhiming czy doktor Sun, były dla mnie inspiracją i zachętą do napisania książki w epoce, w której Wschód i Zachód spotykają się i ścierają na wielu frontach. W tych odległych zakątkach kraju odkrywam

centralny punkt, gdzie Wschód styka się z Zachodem i gdzie mimo zderzenia kultur rodzi się nowa, zdecydowanie chińska chrześcijańska tożsamość.

Okrężna górska ścieżka w prowincji Junnan jest czerwona, ponieważ przez wiele lat nasiąkała krwią.

Liao Yiwu
Chengdu, prowincja Syczuan
listopad 2010

Część I Wyjazd do Dali

Cmentarz

Ze Yu przypominał jeden z tych uśmiechniętych, wielkobrzuchych posągów Buddy, zdobiących restauracje w całych Chinach – o okrągłej twarzy i ogolonej głowie, pulchny i życzliwy, z potrójnym podbródkiem. Jest buddyjskim mnichem i nic nie jest w stanie go zaskoczyć. Na moją sugestię, że może jest Maitreją – Buddą, który nadejdzie – roześmiał się pogodnie i powiedział, że my, czyli moja matka i ja, przyszliśmy akurat w porę na obiad. Zaprowadził nas do starej części Dali w południowo-zachodniej prowincji Junnan. Był 3 sierpnia 2009 roku. Mój zegarek pokazywał, że właśnie minęło południe. Podróż z Chengdu w sąsiedniej prowincji Syczuan do rolniczej wsi u stóp góry Cangshan, gdzie znajdował się dom z dziedzińcem, który podnajął nam mój przyjaciel, awangardowy poeta Ye Fu, zajęła nam dwa dni i jedną noc.

Jedliśmy w muzułmańskiej restauracji stosującej się do zasad halal. W głównej sali wisiał obraz przedstawiający pielgrzymów przybyłych do Mekki. Zamówiliśmy wołowinę i jagnięcinę, natomiast mnich Ze zachwalał nam szeroki wybór dań wegetariańskich. Rozmawialiśmy o „Karcie 08", manifeście wzywającym do reform politycznych i do przestrzegania praw człowieka w Chinach; Ze jest jednym z jego sygnatariuszy. Wyraziłem uznanie dla jego odwagi, ale i wątpliwość, czy mnich nie powinien

trzymać się z daleka od polityki. Spoważniał: „Bez demokracji buddyzm tu nie przetrwa".

Po obiedzie, podczas spaceru po starym mieście, Ze pokazywał nam różne, pomijane zazwyczaj przez turystów detale, które ożywiały tysiącletnie dzieje Dali. Stare miasto było – według chińskich standardów – niewielkie: tylko trzy czy cztery kilometry z jednego końca na drugi, na stałe zamieszkane przez trzydzieści do czterdziestu tysięcy ludzi. To tu jednak właśnie skupiały się kulty wielu bogów i bogiń. Rdzenni mieszkańcy należący do ludu Bai wielbili w świątyniach tysiące bóstw, od legendarnego Króla Smoka z Morza Wschodniochińskiego i Królowej Matki Niebios po starożytnych cesarzy i wojowników. Ze pokazał nam muzułmańskie meczety, buddyjskie świątynie i chrześcijańskie kościoły, zarówno katolickie, jak protestanckie. Powiedział, że mniej widoczni są wyznawcy bahaizmu i Falun Gong, którzy modlą się w domach, tak samo jak ci chrześcijanie, którzy odmawiają uznania kościołów zatwierdzonych przez rząd.

Ponieważ to właśnie chrześcijanie budzili moją ciekawość, Ze chciał mi pokazać znany cmentarz zachodnich misjonarzy, którzy przybyli do Chin ponad sto lat temu. Uważał, że może to być dla mnie pouczające. I tak kilka dni później, po długiej wędrówce górskimi ścieżkami i kilku przejazdach autobusem, Ze i ja dotarliśmy do wsi Wuliqiao. Dalej szliśmy pieszo, głównie pod górę, aż w końcu zatrzymaliśmy się w jaskrawym słońcu u bramy cmentarza.

– Tutaj? – spytałem, ale Ze pokręcił głową.

– To cmentarz muzułmański, przede wszystkim dla mniejszości Hui – wyjaśnił.

Wiedziałem, że w połowie dziewiętnastego wieku wybuchł bunt muzułmanów przeciwko chińskiej władzy, a w Dali doszło do rzezi. Zabito wielu Han i Bai. Cesarz z dynastii Qing wysłał wojsko i brutalnie zdusił muzułmańską rebelię, mordując tysiące ludzi. Cmentarz otoczony był kamiennym murem.

– Tylko muzułmanom wolno tam wchodzić – dodał Ze. Po zduszeniu rebelii nastąpił okres spokoju i to właśnie wtedy na te

tereny przybyli misjonarze, między innymi z londyńskiej Misji do Chin Wewnętrznych. – Już niedaleko – zapewnił mnie Ze i szedł dalej. Po mniej więcej trzystu metrach droga kończyła się wśród sięgających pasa konopi i pachnących ziół. Znaleźliśmy boczną ścieżkę prowadzącą na wysoką grań, skąd roztaczał się szeroki widok. Ze ruchem ręki wskazał pięć pól kukurydzy, pośrodku których stała koparka. Jej metalowe ramię zginało się jak noga wielkiego karalucha. – Tam jest cmentarz misjonarzy – powiedział.

Schodziliśmy stromą, biegnącą zakosami ścieżką, wyciągając ręce jak ptaki, by zachować równowagę, ale wciąż nie widziałem śladu cmentarza. Koparka unosiła ramię i uderzała w ziemię, w górę i w dół, w górę i w dół, w górę, w dół.

– Czy remontują cmentarz? – spytałem.

Ze roześmiał się cynicznie.

– Chciałbyś. Wyciągają kamienie nagrobne. Wysokiej jakości kamień, bardzo poszukiwany przez deweloperów.

Spojrzałem pod nogi na wyboisty grunt; zauważyłem połamane, nierówne kawałki kamieni, a gdy skupiłem na nich wzrok, mogłem rozróżnić grupy liter w alfabecie łacińskim, a potem całe angielskie słowa i krzyże.

Odnalazłszy fundamenty muru cmentarza, zdołaliśmy wymierzyć dwa równe kwadraty, każdy wielkości około dwudziestu arów. Dość miejsca na pochówek wielu cudzoziemskich lub chińskich chrześcijan. Nie zachowały się jednak kompletne dokumenty, podające, ilu dokładnie.

Moje dociekania pozwoliły mi ustalić następujące fakty: brytyjski misjonarz George Clarke kupił ziemię i założył cmentarz. Chińskie imię Clarke'a brzmiało Hua Guoxiang, co oznacza zapach kwiatów i owoców. Od 1865 roku aktywnie działał w londyńskiej Misji do Chin Wewnętrznych; w 1881 roku opuścił Anglię i razem ze swoją szwajcarską żoną Fanny dotarł do Dali przez Birmę i prowincję Kuejczou.

George i Fanny Clarke'owie niemal na pewno byli pierwszymi misjonarzami w tym rejonie. Początkowo drukowali chrześcijańskie ulotki i rozdawali je na targach i przy drogach. Rozdawali

także cukierki dzieciom. Szybko zdali sobie sprawę, że z ulotek nie ma żadnego pożytku, ponieważ większość wieśniaków, należąca do mniejszości Bai, nie umiała czytać ani pisać; oni sami zaś władali jedynie mandaryńskim, nieprzydatnym w kontaktach z mówiącymi wyłącznie w bai autochtonami. Zaczęli więc poznawać lokalny język, równocześnie prowadząc we wsiach naukę pisania i czytania oraz ucząc ludzi śpiewania hymnów po chińsku. Nauczyli się także naśladować typowe dla Bai tańce wielbiące przodków i włączyli elementy tej kultury do obrzędów chrześcijańskich. Małżeństwo Clarke'ów wkrótce zaczęło ubierać się tak jak Bai; tańczyli na ulicy do rytmu gongów i bębnów, by przyciągnąć ludzi i szerzyć Dobrą Nowinę. Pisali hymny, używając popularnej formy lokalnych przyśpiewek. Słyszałem opowieści o tym, jak Clarke'owie odwiedzali zamieszkane przez Bai wsie, by spędzać czas z muzykantami, i jak widziano ich tańczących w księżycowe noce na brzegu jeziora Er Hai.

Clarke'owie mieszkali w Dali przez dwa lata, ale nie odnosili większych sukcesów. Otworzyli szkołę z internatem, lecz zgłosiło się tylko trzech uczniów. Fanny zaszła w ciążę i urodziła syna. Nazwali go Samuel Dali Clarke.

Dwa miesiące po porodzie Fanny ciężko zaniemogła. Chińscy sąsiedzi szybko dowiedzieli się o jej chorobie i przychodzili, by ją pocieszyć. Głęboko wzruszały ich jej piękny głos i optymizm, jaki wykazywała podczas choroby. Przykazała mężowi, by pochował ją w Dali, chciała bowiem zostać częścią góry Cangshan i jeziora Er Hai. Pobożność Fanny stała się inspiracją dla otoczenia i po jej śmierci wielu chińskich przyjaciół i sąsiadów przyszło do kościoła, by się ochrzcić.

Taki był początek chrześcijańskiego cmentarza u stóp góry Cangshan. Na murze opasującym cmentarz rzemieślnicy wyrzeźbili krzyże i cytaty z Biblii po chińsku i angielsku. George Clarke pochował żonę rankiem 30 października 1883 roku. Miejscowa ludność po raz pierwszy widziała taki pogrzeb – dla nich pożegnanie zmarłego wiązało się z paleniem kadzidełek, śpiewaniem sutr i tańcami szamanów. Teraz proszono ich, by

zrozumieli, że dusza Fanny wstępuje do nieba, gdzie będzie przebywać z Bogiem.

W następnych latach społecznościom w Dali służyło co najmniej pięćdziesięciu zagranicznych misjonarzy. Według *Historii chrześcijaństwa w Dali*, napisanej i wydanej prywatnie w 2005 roku przez Wu Yongshenga, w latach 1881–1949 miasto stało się ważnym ośrodkiem chrześcijaństwa w południowo-zachodnich Chinach. Kościoły wyrastały w pięknym krajobrazie urozmaiconym jeziorami i otoczonym górami, przyciągając ponad sto tysięcy wyznawców. Misjonarze budowali szpitale, sierocińce i szkoły.

Uderzyło mnie oddanie misjonarzy. Jedna z opowieści dotyczy kanadyjskiej misjonarki, lekarki Jessie McDonald. Przybyła do Chin w 1913 roku i podjęła pracę w szpitalu w mieście Kaifeng, leżącym w prowincji Henan w centralnych Chinach. W 1940 roku, gdy Kaifeng zajęli Japończycy, przeniosła placówkę na południowy zachód do Dali, otwierając tam Szpital Dobrej Nowiny. Jej praca dobiegła nagle końca 4 maja 1951 roku, gdy komunistyczni urzędnicy zajęli budynek i jego wyposażenie, a McDonald kazali opuścić Chiny. Wielki znak Czerwonego Krzyża na fasadzie zakrył napis: „Wykopać imperialistów z Chin". Wielu chrześcijan się przestraszyło; albo odeszli od Kościoła, albo publicznie wyrzekli się wiary. McDonald była podobno ostatnią chrześcijańską misjonarką, która wyjechała z Chin. Dzień przed wyjazdem zignorowała groźby żołnierzy i poszła się pomodlić do kościoła, który obecnie nosi nazwę Staromiejskiego Kościoła Protestanckiego, a został zbudowany przez misjonarzy w 1905 roku. Była w kościele sama wśród pustych ławek.

Na szczycie kopuły kościoła znajdował się zegar ważący sto pięćdziesiąt kilogramów, wzorowany na londyńskim Big Benie. Jego dzwon zamówili Richard Williams i William J. Embery, którzy też osobiście nadzorowali transport – najpierw morzem, przez Sajgon w Wietnamie, następnie w górę Mekongu do Junnanu i w końcu do Dali. Cała podróż trwała trzy miesiące.

McDonald podeszła do dzwonu i po raz ostatni w niego uderzyła. Dźwięk rozszedł się falami po okolicy. Zapamiętali go trzej starcy, pijący herbatę na starym mieście.

„Bicie dzwonu napływało falami, głośnymi falami, jedna po drugiej; nawet ludzie w Xiaguanie mogli czuć wibracje" – powiedział jeden z nich.

Dwudziestego ósmego stycznia 1998 roku po południu małżeństwo z Francji, potomkowie George'a i Fanny Clarke'ów, spotkało się w Dali z Wu Yongshengiem. Zainteresowanie Francuzów obudziła lektura książki Jamesa Hudsona Taylora *China's Millions* o historii Misji do Chin Wewnętrznych; zechcieli odwiedzić miejsce, gdzie pochowani zostali ich pradziadkowie.

Ta historia skojarzyła mi się z fragmentem wiersza Paula Valéry'ego *Cmentarz morski*:

> Lecz w swojej ciężkiej od marmurów nocy
> Widmowy tłum w korzeniach mieszkający
> Już się ku tobie zwraca z niepamięci*.

Poeta powraca w myślach na cmentarz w Sète, swoim rodzinnym mieście na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Siedzi w południe na nagrobku, patrzy na spokojne morze, rozmyśla o życiu i śmierci. Ale rzeczy rzadko kiedy okazują się takie, jak się spodziewamy, więc choć francuskie małżeństwo liczyło być może na odrobinę piękna przyrody Chin, widok, który ujrzeli w 1998 roku, nie odbiegał daleko od tego, co ja zobaczyłem dziesięć lat później. Żadnego cmentarza, żadnego ogrodu – tylko puste, choć kamieniste pole zaorane pod zasiew. Wu opowiedział mi, że wieśniacy zgromadzili się wokół francuskich gości i próbowali im wyjaśnić, co się stało z grobami. Jeden mówił, że w czasie rewolucji kulturalnej żołnierze Czerwonej Gwardii często korzystali z cmentarza jako terenu walki z zagranicznymi imperialistami: wymachiwali czerwonymi flagami, wykrzykiwali

* Fragmenty *Cmentarza morskiego* za: *Symboliści francuscy*, przeł. Mieczysław Jastrun, Wrocław 1965.

hasła i śpiewali rewolucyjne pieśni. Wielokrotnie plądrowali cmentarz, odgrażając się, że usuną wszystkie groby przodków imperialistów. Inny wieśniak przypomniał, że czerwonogwardziści umieszczali na nagrobkach materiały wybuchowe i wysadzali je w powietrze. Ktoś inny powiedział, że cmentarz zaczęto niszczyć jeszcze w latach pięćdziesiątych; podczas każdej kolejnej kampanii politycznej wyładowywano na nim nienawiść do zagranicznych imperialistów. Do tego dochodziła lokalna grabież: płyty i kamienie nagrobne dobrze sprawdzały się jako ściany chlewików, mury dziedzińców i fundamenty wielu domów. Jeszcze przed początkiem rewolucji kulturalnej połowę grobów zrównano z ziemią. Cmentarz misjonarzy był jednym z wielu przykładów dokonanego w imię komunizmu zbezczeszczenia, które równocześnie oznaczało niszczenie skarbów chińskiej historii.

Francuska para nie odnalazła grobu Fanny Clarke. Musiał ich jednak ucieszyć fakt, że jej pamięć przetrwała w opowieściach, jakie miejscowi wieśniacy przekazywali z pokolenia na pokolenie. Znów chciałbym zacytować Paula Valéry'ego:

> Zrywa się wicher!... Żyć! Spróbować trzeba!
> Karty mej książki targa ogrom nieba,
> Na skały lecą pryskając bałwany!
> Więc lećcie, lećcie, wy kartki przelśnione!

Wu mówi, że para zebrała polne kwiaty i uplotła z nich wieniec, który położyła na środku pola. Mieli ze sobą mały akordeon, a kobieta zaśpiewała piosenkę, którą – jak powiedziała – Fanny Clarke szczególnie lubiła. Gdy Wu mi ją powtórzył, od razu ją rozpoznałem: był to wiersz napisany w 1805 roku przez Thomasa Moore'a, wciąż popularny wśród piosenkarzy, kompozytorów, a nawet w Hollywood:

> 'Tis the last rose of summer
> Left blooming alone;
> All her lovely companions
> Are faded and gone;

No flower of her kindred,
No rosebud is nigh.
To reflect back her blushes,
To give sigh for sigh.

Jedenaście lat później stałem w tym samym miejscu. Powoli zapadał zmrok. Piosenka rozbrzmiewała mi w głowie, kołysałem się do rytmu niewidzialnego akordeonu.

– Pora wracać – powiedział Ze. Ruszyliśmy z powrotem po swoich śladach: znów przez zarośla konopi, znów na drogę, znów autobusami. Widziałem wieżę kościoła; obok gwiazd pojawił się księżyc na nowiu. Z daleka dobiegały nas dźwięki śpiewanego hymnu.

Stara mniszka

Jak na kogoś, kto ma ponad sto lat, Zhang Yinxian poruszała się bardzo szybko. Gdy dogoniłem ją na cmentarzu w starej części Dali, przyszło mi do głowy, że wygląda dokładnie jak kawałek świeżego żeń-szenia: nieco pokręcona, ale pełna życia i energii. Ignorowała mnie, gdy chodziłem za nią i próbowałem wkraść się w jej łaski; w końcu słowami, które zrozumiałem z trudem, oświadczyła, że ma za dużo pracy, by rozmawiać.

– W tych stronach wszyscy o niej słyszeli – powiedział mi wcześniej przyjaciel, który w sierpniu 2008 roku zaprosił mnie i dwóch innych pisarzy na górę Weibo, byśmy mogli tam zwiedzić stary kościół katolicki przy alei Renmin. Jego dawny kolega szkolny był tam księdzem.

Nie mogłem przestać myśleć o siostrze Zhang, więc tydzień później znów odnalazłem ją w kościele. Szybko się okazało, że jej ciężki junnański akcent i częściowa głuchota uniemożliwiają sensowną konwersację. Moje pokrzykiwania i gestykulacja zwróciły uwagę innych zakonnic, a najmłodsza z nich, która musiała być już chyba po siedemdziesiątce, zaczęła mnie wypytywać: Skąd pan jest? Czego pan chce? Czy jest pan parafianinem? Czy jest pan chrześcijaninem? Wyjaśniłem, że jestem pisarzem i chciałbym przeprowadzić wywiad z siostrą Zhang.

– To znaczy, że jest pan dziennikarzem albo czymś takim? – spytała. W takim wypadku muszę przynieść zezwolenie z Urzędu do spraw Religii. Skarcony, wyszedłem.

Odwiedziłem Dali ponownie rok później i nauczony doświadczeniem postępowałem ostrożniej. Przez kilka dni gromadziłem informacje o kościele i siostrze Zhang. Poprosiłem także o pomoc mego przyjaciela Kun Penga, chrześcijanina dobrze obznajomionego z teologią. Kun skontaktował się ze swoją znajomą, siostrą Tao, która opiekowała się siostrą Zhang. Miała trzydzieści parę lat i jasne, pełne życzliwości spojrzenie. Obiecała, że spróbuje załatwić mi wywiad i posłuży za tłumaczkę.

W następną niedzielę po mszy Kuna i mnie skierowano do sali konferencyjnej. Po jakiejś godzinie pojawiła się siostra Zhang z siostrą Tao, która dokonywała płynnego i niezbędnego przekładu; sam nie zdołałbym zrozumieć siostry Zhang.

– Siostra Zhang straciła wszystkie zęby – wyjaśniła siostra Tao. – Łatwo się unosi i ma donośny głos. W uszach przyjezdnych brzmi to, jakby krzyczała w obcym języku.

Przez cały czas wywiadu siostra Tao siedziała obok swojej podopiecznej, nieco z tyłu, po prawej ręce. Siostra Zhang była głucha na lewe ucho, niedowidziała na lewe oko, ale wkrótce przekonaliśmy się, że ma znakomitą pamięć, a gdy poruszaliśmy tematy, które ją szczególnie dotykały, wstawała i tupała; przypominała mi wówczas nieco szekspirowskiego króla Leara pomstującego na żywioły. Siostra Zhang była niewątpliwie szalona, ale nie na skutek szaleństwa.

Nasza rozmowa toczyła się wartko, a gdy zaproponowałem przerwę, by siostra Zhang mogła odpocząć, siostra Tao odparła, że nie jest to konieczne.

– Jest znacznie odporniejsza, niż pan myśli. Siostra Zhang sama sobie gotuje i cieszy się zdrowym apetytem.

W pewnej chwili, gdy rozmawialiśmy o stanie jej zdrowia, siostra Zhang podeszła do ciężkiej donicy i przesunęła ją na drugą stronę pokoju. Roześmialiśmy się wszyscy; zauważyłem,

że siostra Zhang śmieje się swobodnie jak dziecko, a wtedy zmarszczki na jej twarzy niemal znikają.

Siostra Zhang pokazała mi trzy krzyże, które z sobą nosi; jeden z nich ma od około sześćdziesięciu lat. Rozmawialiśmy przez dwie godziny, aż siostra Tao zasugerowała, żeby kończyć, ponieważ nadeszła pora obiadu. Siostra Zhang nie chciała wyjść. Gdy staraliśmy się podnieść ją z krzesła, odepchnęła nas i nadal mówiła, cały czas wymachując rękoma. Nie potrafiłem zrozumieć, co stara się mi przekazać, zwróciłem się więc do siostry Tao o pomoc.

– Wciąż się złości, że podczas rewolucji kulturalnej rząd skonfiskował duży obszar ziemi, który należał do kościoła – wyjaśniła siostra Tao. – Żąda, by go zwrócono. Zanim odejdzie z tego świata, chce zobaczyć, że ta ziemia do kościoła wróciła.

Przyszło mi do głowy jedno ze starych powiedzeń: „Ludzie, którzy łatwo wpadają w gniew, mają krótkie życie". Pomyślałem, że siostra Zhang jest najwyraźniej wyjątkiem.

Liao Yiwu: Dość długo czekałem na rozmowę z siostrą.

Zhang Yinxian: Jestem tu w kościele codziennie, modlę się, gotuję, ćwiczę, pracuję w ogrodzie, wzruszam ziemię dla mrówek i robaków. Jeśli mnie nie ma, to znaczy, że kupuję warzywa na targu.

Liao: Kiedy się siostra urodziła?

Zhang: Trzeciego sierpnia 1908 roku w Qujingchengu w prowincji Junnan. Nie pamiętam nawet, jak wyglądali moi rodzice. Umarli, gdy miałam zaledwie trzy lata. Zostałam sierotą. Miałam brata. Zabrał go miejscowy pan. Zdaje się, że zginął potem na polu walki. Mnie wuj wysłał do Kunmingu, bym tam służyła Panu.

Liao: Siostry wuj?

Zhang: Był księdzem. W czasach panowania cesarza Tongzhi z dynastii Qing [1856–1875] do Junnanu przybyli z Wietnamu katoliccy misjonarze. Gdy dorastałam, było tu wielu zagranicznych misjonarzy, szczególnie z Francji. Nauczono mnie

pisać i czytać. Poznawałam Biblię, chodziłam na msze i odmawiałam modlitwy. Czasami wykonywałam drobne prace. W tamtych czasach ludzie strasznie cierpieli. Mały klasztor chronił mnie przed panującym na zewnątrz chaosem.

Gdy skończyłam trzynaście lat, pojechałam za ciotką do Dali. W tamtych czasach w starej części miasta funkcjonowało kilka kościołów. Potem przybyło więcej katolickich misjonarzy. Reprezentowali wiele różnych zakonów – jezuitów, paulinów, franciszkanów i tak dalej. Nasza diecezja szybko się rozrastała, objęła regiony Lijiang, Baoshan, Diqing, Lincang, Dehong i Xishuangbanna. W okresie największego rozwoju mieliśmy ponad osiemdziesiąt tysięcy parafian ze wszystkich grup etnicznych – Han, Bai, Tybetańczyków, Yi, Dai, Jingpo. Czy którąś pominęłam? W każdym razie w związku z tym wzrostem Misjonarze Najświętszego Serca Jezusowego kupili w latach dwudziestych duży szmat ziemi. Ustanowili francuskiego biskupa. Jego chińskie imię brzmiało Ye Maizhang. Pod jego kierunkiem organizacja zbudowała klasztor, sierociniec i ten właśnie kościół.

W tamtych czasach w zabudowaniach kościelnych mieszkało około czterystu osób, a w niedziele zewsząd przybywali na mszę okoliczni mieszkańcy. Kościół nie mógł pomieścić tylu ludzi. Niektórzy musieli stać albo klęczeć na dworze. Dzieci przychodziły z rodzicami. Gdy się nudziły, wspinały się na drzewa.

Ponieważ zostałam członkiem Kościoła w bardzo młodym wieku, umiałam śpiewać wszystkie hymny, a gdy kapłan cytował Biblię, od razu wiedziałam, który to rozdział i werset, i znałam wszystkie przypowieści związane z tym cytatem. Ludzie zawsze mnie chwalili i mówili, jaka jestem bystra, ale moja ciotka patrzyła tylko na mnie surowo i ganiła: „Nie popisuj się tak".

Liao: Ja dorastałem w latach sześćdziesiątych. Moje pokolenie uczono, że religia to narzędzie, którym posługują się imperialiści, by uczynić z ludzi niewolników, a w cudzoziemskich

sierocińcach zakonnice prowadzą medyczne doświadczenia na dzieciach.

Zhang: Kłamstwa, kłamstwa! Podczas rewolucji kulturalnej na wiecach potępienia oskarżano nas o mordowanie dzieci. Mówiono, że księża to wampiry.

W czasach głodu czy wojny biedni ludzie porzucali swoje dzieci przy drodze. Niektórzy wybierali pogodną, księżycową noc, ciepło dzieci opatulali i zostawiali przy drzwiach kościoła. Gdy zakonnice znajdowały dziecko, zabierały je do środka, nie bacząc, czy jest zdrowe, czy chore. Część rodziców była bardzo przebiegła; zostawiali u nas dziecko i wracali po nie, gdy minęły złe czasy. Ale po większość dzieci nikt się nigdy nie zgłaszał. W tamtych czasach ludzie cierpieli biedę, a w każdej rodzinie zazwyczaj rodziło się dużo dzieci. Rodzice traktowali niemowlęta jak małe zwierzątka. Jeśli były silne i przeżyły, to je zatrzymywali. Jeśli chorowały, zostawiali je obcym albo po prostu porzucali, żeby umarły.

Widziałam wiele takich przypadków, a szczególnie dotyczyło to dziewczynek. Porzucano je przy górskich ścieżkach lub na plaży. Te, które miały szczęście, zabierali przechodnie, ale wiele padało ofiarą dzikich zwierząt, na przykład psów. Chłopców, którzy rodzili się zniekształceni lub chorzy, czekał taki sam los jak dziewczynki. Kiedy zakonnice widziały porzucone na dworze niemowlę, zabierały je do księdza lub biskupa znającego się na zachodniej medycynie. Jeśli dziecko nie leżało na dworze długo, to była nadzieja, ale tym, których nie znaleziono szybko, dzikie zwierzęta zazwyczaj zdążyły odgryźć ręce i nogi. Miały znikome szanse na przeżycie. Gdy takie dziecko umierało, odmawiałyśmy modlitwy, a potem chowałyśmy jego czy ją na katolickim cmentarzu. Cmentarz znajduje się po południowej stronie wsi Wuliqiao, tej, która została zniszczona.

Liao: Odwiedziłem ten cmentarz. Teraz na jego miejscu rośnie kukurydza.

Zhang: Tak naprawdę to były tam dwa cmentarze obok siebie, jeden dla katolików, drugi dla protestantów. Oba zostały

zniszczone. Nie możemy nawet odzyskać ziemi od rządu. Pochowano tam wielu miejscowych katolików, jak również te porzucone dzieci, których nie zdołałyśmy uratować. Biedne maleństwa! Odprawiałyśmy skromne nabożeństwo i grzebałyśmy je jak należy. Na cmentarzach ustawiałyśmy kamienie nagrobne dla wszystkich, czy to był biskup, ksiądz, zakonnica, zakonnik, parafianin czy porzucone dziecko. Na kamieniach ryłyśmy napisy podające ich imiona, daty urodzin i śmierci, takie rzeczy.

Liao: Skąd znałyście imiona tych porzuconych dzieci?

Zhang: Jeśli rodzice nie zostawiali przy dziecku karteczki z imieniem, to wymyślała je zakonnica, która niemowlę znalazła – chińskie albo francuskie. Potem zapisywałyśmy, kiedy i gdzie znalazłyśmy maleństwo.

Do lat czterdziestych nasz kościół przyjął ponad dwieście dzieci. Większość zakonnic została etatowymi opiekunkami. Te, które miały wykształcenie medyczne, wyspecjalizowały się w pediatrii. Moim zadaniem była praca w kuchni, gdzie podgrzewałam mleko, gotowałam kleik ryżowy. Czasami jednego dnia trafiało do nas czworo czy pięcioro porzuconych dzieci. Były bardzo głodne. Wydaje mi się, że kilka dawnych sierot wciąż mieszka tu w okolicy. Mają teraz po siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat. Jednak mimo zmiany atmosfery politycznej wciąż nie przyznają się do związku z Kościołem.

Liao: Czemu?

Zhang: Odrzuciły Kościół podczas rewolucji kulturalnej, bojąc się oskarżenia o spiskowanie z zagranicznymi imperialistami. Nawet teraz, choć w ubiegłych kilkunastu latach sytuacja zmieniła się na lepsze, prawdopodobnie obawiają się prześladowań.

Gdy patrzę wstecz, myślę, że przez pierwszą połowę życia byłam naprawdę szczęśliwa. W kościele codziennie panował zgiełk, pełno w nim było ludzi. Na jesieni, gdy wiatr zdmuchiwał liście z drzew – Boże drogi – ziemię pokrywała warstwa złota. Podczas modlitw lub mszy kościół był zatłoczony, ale

kiedy indziej na dziedzińcu panowały cisza i spokój. W dawnych czasach nasz kościół był duży, a ja miałam tyle roboty, że cały czas krzyże mnie bolały. Najbardziej lubiłam sprzątać w kościele, odkurzać ołtarz, ławki i figury świętych. Mieliśmy tu kilkunastu księży z Francji, Szwajcarii i Belgii. Jeśli zrobiłam coś źle, żartowali sobie ze mnie i mówili: „Za karę musisz zaśpiewać trzy hymny – solo". Ale śpiewali razem ze mną i tak robił się konkurs śpiewania hymnów.

Liao: A druga połowa życia siostry?

Zhang: W sierpniu 1949 roku, tuż przed przejęciem władzy przez komunistów, szwajcarski ksiądz, ojciec Maurycy Tornay – nie do wiary, że wciąż pamiętam, jak się nazywał – wyjechał do rejonu Cizhongu [przy granicy z Tybetem], by tam głosić ewangelię. Został postrzelony i zabity. Ciężko nas to dotknęło. Zupełnie jakbyśmy usłyszeli złowrogie krakanie czarnych kruków. Czuliśmy, że czyha na nas niebezpieczeństwo. Uklękliśmy wszyscy i modliliśmy się o opiekę w nowych czasach. Podczas specjalnej mszy przygotowaliśmy się na cierpienie, które, jak wiedzieliśmy, nadejdzie. Byliśmy gotowi pójść w ślady ojca Tornaya i w razie konieczności oddać życie dla chwały Pana. Spodziewaliśmy się, że czeka nas trudna droga, ale byliśmy przygotowani.

Wkrótce do miasta wkroczyli komunistyczni żołnierze. Na ich powitanie ludzie machali czerwonymi sztandarami, bili w bębny i gongi. Cały kraj stał się „czerwony". Góry i jezioro Er Hai stały się „czerwone". Nawet kościół udekorowano czerwonymi flagami i portretami przewodniczącego Mao. Zagranicznych misjonarzy oddzielono, umieszczając w celach z zaciągniętymi zasłonami. Żołnierze pilnowali drzwi, żeby nikt się do nich nie zbliżał.

Liao: W którym roku to się działo?

Zhang: W 1952. Do lutego tego roku wszyscy cudzoziemcy wyjechali.

Liao: Czy odprawiono ostatnią mszę albo coś w tym rodzaju, by ich pożegnać?

Zhang: Nie. Kaplicę zamknięto, nikomu nie wolno było wchodzić. Po wyjeździe cudzoziemców wszystkie związane z kościołem osoby musiały poddać się nadzorowi politycznemu. Strach opanował i laikat, i duchowieństwo, toteż ludzie odchodzili masowo, odpowiadając na wezwanie rządu, by wracać na rolę. Niektórzy otwarcie wyrzekli się Kościoła. Mówili: „Będę słuchać słów przewodniczącego Mao i zerwę wszystkie więzy z Kościołem katolickim, który zmienia ludzi w niewolników". Rząd zajął też majątek kościelny w całych Chinach. Cudzoziemskich biskupów zmuszono do przekazania własności nowym władzom i podpisania z góry przygotowanych dokumentów. Mówiono, że Kościół uzyskał majątki przez wyzyskiwanie mas. I tak po prostu wszystko odebrano.

Nigdy nie zapomnę roku 1952, gdy kościół został pusty. Dawniej było tam tak wspaniale. A potem z dnia na dzień wszystko zniknęło. Rozpanoszyły się szczury. Przedtem w kościele pracowało czterysta osób. Teraz zostały tylko trzy – ja, moja ciotka i biskup Liu Hanchen. Kazano nam się wynieść. Biskup Liu kłócił się i odmówił wyprowadzki. „Kościół jest naszym domem i nie mamy dokąd pójść" – powiedział.

Początkowo pozwolili nam zostać. Pod koniec roku jednak przyszli uzbrojeni członkowie milicji ludowej i zabrali nas do wsi u stóp góry Cangshan. Miejscowi funkcjonariusze zwołali zebranie wsi i oznajmili, że oddają nas pod kontrolę tutejszych wieśniaków. Kazali nam zająć się pracą fizyczną i zmienić sposób myślenia. Na ziemi zabranej kościołowi zbudowali szkołę podstawową i średnią, a z klasztoru zrobili mieszkania dla urzędników rządowych.

Liao: Zostaliście więc rolnikami.

Zhang: Obywatelami z nizin społecznych zdeptanymi przez masy.

Liao: Na jak długo?

Zhang: Od 1952 do 1983 roku. To trzydzieści jeden lat, prawda?

Liao: Jak wam się udało przeżyć?

Zhang: Uprawialiśmy własne poletka i warzywa. Gdy wyrzucili nas z kościoła, nie pozwolili nam nic ze sobą zabrać. Szliśmy

na piechotę całą drogę aż do wsi i zanim zdołaliśmy choćby napić się wody, miejscowi przywódcy zaciągnęli nas na wiec potępienia. Oprowadzali nas po wsi razem z kilkoma buddyjskimi mnichami i mniszkami, taoistycznymi kapłanami i paroma starszymi lokalnych zborów protestanckich. Kazano nam stanąć w trzech rzędach przed podium. Przed sobą widzieliśmy kilkuset wieśniaków, którzy z uniesionymi pięściami wykrzykiwali rewolucyjne hasła. Niektórzy na nas pluli. Tyle nienawiści! Naczelnik wsi podkręcał nastrój tłumu, a jeden wiejski działacz podszedł i uderzył biskupa Liu w twarz. Moja ciotka wystąpiła naprzód. „Jak śmiesz podnosić na niego rękę!" Działacz był przedtem biednym rolnikiem, a gdy komuniści skonfiskowali własność ziemską, bardzo na tym skorzystał. Wskazał na moją ciotkę i krzyknął: „Jesteś kontrrewolucjonistką, a myśmy was pokonali. Jesteście sługusami imperialistów, którzy nas wyzyskiwali!". Moja ciotka powiedziała: „Nie jesteśmy. Pochodzimy z ubogich rodzin i nigdy nikogo nie wyzyskiwaliśmy". Działacz wciąż wrzeszczał: „Jesteś uparta i nie przyznajesz się do klęski. Trzeba cię ukarać!". Ludzie w tłumie unieśli zaciśnięte pięści i zaczęli skandować: „Precz z zakonnicą kontrrewolucjonistką!". Moja ciotka nie cofnęła się. Powiedziała do swego prześladowcy: „Uderz mnie, jeśli chcesz. Jeśli mnie uderzysz w lewy policzek, nadstawię ci i prawy".

Liao: Nadstawić drugi policzek...

Zhang: Ci ludzie nie mieli pojęcia, o co chodzi mojej ciotce. Musieliśmy znieść jeszcze wiele wieców politycznych, ale po jakimś czasie upokarzające uwagi i bicie nie robiły już na nas wrażenia. Zmądrzeliśmy. Nauczyliśmy się, jak się chronić. Wszystkie te kampanie, oskarżające czy to posiadaczy ziemskich, buddystów, katolików, czy intelektualistów, były takie same. Ludzie wykrzykiwali hasła – „Precz z takim i takim!", „Bić Liu, by już nigdy się nie podniósł!", „Niech żyje przewodniczący Mao!", „Niech żyje partia komunistyczna!", „Niech żyje zwycięstwo takie czy siakie!" – i za każdym razem kazano

nam się przyznawać do winy. W końcu znaliśmy to na pamięć; wystarczyło zmienić kilka słów.

Liao: Jak wyglądało życie w tej wsi?

Zhang: Wieś przydzieliła nam kamienny domek z dwoma pokojami, w których cały czas były przeciągi. Bardziej przypominało to chlewik niż dom. Nowe życie było szczególnie trudne dla biskupa Liu i mojej ciotki; oboje byli już w podeszłym wieku. Ja byłam stosunkowo młoda. Poszłam więc do naczelnika wsi i poprosiłam o garnki, trochę zboża i posłanie. Kazał mi podpisać papier, że im zapłacę, kiedy zarobię dość pieniędzy.

A potem nadeszły lata ciężkiej pracy. Uprawa roli nie była taka trudna, ale wymagała sił. Większość prac rolnych wykonywałam ja, a moja ciotka i biskup Liu mi pomagali. Kiedy nie zwoływano żadnych potępiających wieców, pozwalano nam żyć w spokoju. Wieś pożyczyła nam wołu, byśmy mogli zaorać ziemię. Hodowaliśmy świnie i kurczaki, uprawialiśmy warzywa. Nadmiar warzyw marynowaliśmy i sprzedawaliśmy na miejscowym targu, sprzedawaliśmy też jajka. Za otrzymane w ten sposób pieniądze kupowaliśmy olej, sos sojowy, takie rzeczy. Życie było ciężkie, ale dawaliśmy sobie radę i wkrótce mogliśmy nieco lżej odetchnąć.

Liao: A potem, oczywiście, nadszedł Wielki Skok...

Zhang: Wszyscy poszliśmy w góry, by ścinać drzewa do podwórkowych pieców, w których wytapiano żelazo i stal. Mówiono nam, że jeśli będziemy ciężko pracować, Chiny za dwa czy trzy lata zostaną państwem przemysłowym. We wsi musieliśmy wszystko oddać, łącznie z garnkami do gotowania. Nikt jednak nie zajmował się zbiorami. Nadszedł głód. Tylu ludzi umarło – to było naprawdę, naprawdę okropne. Żyliśmy na cienkiej zupce zbożowej, niemal tak rzadkiej jak woda. Gdy świeciło słońce, odbijało się na dnie miseczki; wyglądało jak żółtko jaja. Biskup Liu żartował, że obrazek jajka jest lepszy niż całkowity brak jajka, a moja ciotka obejmowała miseczkę dłońmi i mówiła poważnie: „Jemy słoneczną jajeczną zupę,

którą dał nam Pan. Jestem pewna, że zupa w tej miseczce jest bardziej pożywna".

Wkrótce nic nie zostało do jedzenia. Musieliśmy szukać pożywienia w górach. Zbieraliśmy dzikie warzywa, korzonki, mchy, nawet korę drzew. Niektórzy wieśniacy wpadli w taką desperację, że wykopywali trupy i jedli ich mięso. Nawet buddyjscy mnisi polowali na szczury, żeby je zjeść. Wierzcie mi, panował powszechny chaos. Gdyby głód potrwał dłużej, jestem przekonana, że wieśniacy by nas zjedli. Dzięki Bogu przeżyliśmy.

Modliliśmy się – na drodze, wspinając się po górach, w domu. Wszyscy przez wiele lat czytaliśmy Biblię, dlatego słowa Pana miałam wyryte w umyśle i w sercu, litera po literze. Choćby rząd starał się jak najusilniej, tych słów nie dało się wymazać. Gdy z głodu kręciło nam się w głowie, nigdy nie prosiliśmy o pomoc, ponieważ wieśniacy także potrzebowali ratunku. Modliliśmy się, by Bóg zesłał nam spokój.

Pewnego dnia przyłączyłam się do innych wieśniaków, którzy szukali w górach pożywienia. Minęło niemal pół dnia, a ja niczego nie znalazłam. Czułam się wyczerpana, upadłam i nie potrafiłam się podnieść. Wtedy zauważyłam obok kolorowe dzikie grzyby. Były trujące i nikt nie ośmielał się ich dotykać. Głód osłabił moją wolę i rozum. Wyrwałam grzyby i napchałam sobie nimi usta. Dorastałam w tym regionie i znałam straszne konsekwencje jedzenia trujących grzybów. Cóż, skoro miałam wybierać między śmiercią z głodu a śmiercią na skutek zatrucia... Po prostu wybrałam to drugie i modliłam się do Boga o wybaczenie. Po kilku minutach okropnie rozbolał mnie brzuch. Wsadziłam palce do gardła, mając nadzieję, że zwymiotuję, ale ponieważ mój żołądek był pusty, trujące grzyby zostały szybko strawione i wchłonięte. Ręce i nogi zaczęły mi drżeć, całe ciało dygotało. Objęłam drzewo i nadal się modliłam. Skoro miałam umrzeć, chciałam umrzeć z modlitwą na ustach.

Gdy się ocknęłam, na niebie świecił już księżyc. Udało mi się wstać. Wciąż byłam strasznie głodna, ale ból brzucha minął.

„Amen – wymruczałam. – Amen. Dzięki Ci, Panie, za Twoją opiekę". Żyłam, choć wiedziałam, że powinnam być martwa.

Liao: Wszyscy troje przeżyliście.

Zhang: Podczas rewolucji kulturalnej biskupa Liu zabrano gdzieś do Haidongu na dalsze przesłuchania. Wielokrotnie go bito. Bardzo podupadł na zdrowiu. W 1983 roku, gdy partia zmieniła politykę wobec religii, znów się połączyliśmy. Miejscowy Urząd do spraw Religii znalazł nam dwuizbowy dom naprzeciwko starego kościoła. Przeprowadziliśmy się tam we trójkę i staraliśmy się przekonać mieszkańców i władze szkolne, by nam oddali kościół i kościelny majątek. Biskup Liu cytował w negocjacjach politykę partii i mówił: „Choć jesteśmy starzy i słabi, nie poddajemy się – to jest Dom Boży". A mieszkańcy mu odpowiadali: „Do diabła z waszym Bogiem".

Potem staraliśmy się przekonać urzędników w miejscowym Urzędzie do spraw Religii. Niosąc ciotkę na plecach, poszłam do siedziby władz prefektury Dali, ale nikt nie chciał z nami rozmawiać. Po wyjściu posadziłam więc ciotkę na schodach budynku. Usiadłam koło niej i ogłosiłam strajk głodowy.

Liao: Ile siostry miały wtedy lat?

Zhang: Ja chyba jakieś siedemdziesiąt pięć czy sześć, a moja ciotka zbliżała się do dziewięćdziesiątki. Wieczorem wracałyśmy do domu, a rano znów tam szłyśmy. Ciotka chorowała na astmę i ledwie oddychała. Przekonywałam ją, żeby została w domu, ale odmówiła. „Pan należy do nas wszystkich, nie tylko do ciebie" – powiedziała. W latach osiemdziesiątych droga ze starej części Dali do Xiaguanu, stolicy prefektury, była w naprawdę złym stanie. Codziennie wstawałam o świcie, najpierw się modliłam, potem zamiatałam podwórze i przygotowywałam śniadanie. Ciotka została zakonnicą w wieku dwudziestu jeden lat. Była piękną kobietą i dobrze o siebie dbała. Rugała mnie, że jestem chłopczycą. Cóż, musiałam się zachowywać jak mężczyzna: pracować na roli, zajmować się świniami i kurczakami. Nigdy nie miałam czasu dla siebie. Pierwszego ranka naszego oficjalnego strajku ciotka kazała mi

włożyć nowe ubranie: „Prowadzimy protest na środku ulicy. Nie ubieraj się jak żebraczka, wprawiając Pana w zażenowanie".

Zaniosłam ją na dworzec autobusowy za południową bramą miasta. Dwie godziny później stałyśmy przed siedzibą władz prefektury. Rozpostarłam na ziemi koc i skłoniłam ciotkę do położenia się. Siadłam obok niej i zaczęłam się modlić. Wkrótce otoczył nas tłum ciekawskich. Powiedziałam im, o co nam chodzi. Jeździłyśmy tam codziennie, bez względu na pogodę. Nie zwracałyśmy na nią uwagi.

Wiedziałyśmy tylko, że codziennie zbiera się duży tłum. Czasami był tak gęsty, że tworzył ludzki mur. Czułam się trochę niepewnie. Wtedy wstawałam, unosiłam nad głową krzyż i prosiłam, by się rozeszli. Ale coraz więcej ludzi zatrzymywało się i przyglądało. Niektórzy przysuwali się blisko do mojej ciotki, a potem szeptali do zgromadzonych: „Stara kobieta wciąż oddycha. Coś do siebie mruczy". Wtedy prostowałam: „Ona nie mówi do siebie, tylko się modli". A oni pytali: „O co się modli?". A ja powtarzałam głośno jej słowa: „Dobry Boże, umieściłeś mnie tu, by mnie wypróbować w tym doczesnym świecie. Wybacz mi, proszę, grzechy i wyprostuj ścieżki moich myśli. Uratuj mnie, proszę, przed siłami zła na tym świecie. Amen".

Liao: Czy ludzie rozumieli?

Zhang: Nie, nie rozumieli. Wielu uważało, że jesteśmy szalone. Niektórzy życzliwi sugerowali, byśmy zrezygnowały. „Postawcie się na miejscu władz – mówili. – Muszą zarządzać całą prefekturą. To niełatwe. Powinnyście być patriotkami i kochać swój kraj". Nie dyskutowałam z nimi. Pozostałyśmy tak przed budynkiem rządowym przez dwadzieścia osiem dni. W ciągu dnia pościłam. Piłam tylko wodę. Ze względu na zły stan zdrowia mojej ciotki koło południa karmiłam ją rosołem z makaronem. Kiedy słońce skłaniało się ku zachodowi, niosłam ją na dworzec autobusowy i wracałyśmy do Dali, do domu.

W miarę upływu czasu coraz trudniej mi było nosić ciotkę, ponieważ jadłam tylko śniadanie, a potem pościłam przez cały

dzień. Traciłam na wadze. Nogi mi osłabły. Zaczęłyśmy zatem po prostu zostawać na noc na ulicy. Ochrona budynku i policja starały się nas wyrzucić. Nikt nie miał odwagi nas aresztować. Byłyśmy starymi kobietami. Jestem pewna, że nam współczuli.

Z czasem przechodnie na ulicy przyzwyczaili się do naszej obecności. Niektórzy pozdrawiali nas, przechodząc, ale tłum się już nie gromadził. Kilkoro dzieci dotrzymywało nam towarzystwa i bawiło się z nami. Myślę, że nasza obecność musiała źle świadczyć o władzach, ponieważ dwudziestego ósmego dnia pojawił się wysoki urzędnik z dwoma asystentami. Stał tam przez parę minut, a potem kucnął koło mnie. „Jesteście Zhang Yinxiang?" „Tak – odparłam. – A to moja ciotka Li Huazhen". Był nieco sarkastyczny, więc powiedziałam: „Nie chcemy robić wam kłopotu. Po prostu potrzebujemy miejsca do życia". Moja odpowiedź go zdziwiła. „Macie miejsce. Czy dom z dwoma sypialniami nie jest dla was dość duży?" Odparłam szybko: „Nie należymy do tych bezdzietnych starców, którzy żyją z pomocy społecznej. Nie możecie po prostu dać nam domu i liczyć na to, że przestaniemy gadać. Chcemy odzyskać nasz kościół. Potrzebujemy odpowiedniego miejsca, by wielbić Pana". Cofnął się trochę. „No, zwrócimy Kościołowi majątek, w końcu. To trwa". Zniecierpliwiłam się. „Trwa? Czekamy od trzydziestu jeden lat. Ja mam tylko siedemdziesiąt lat, mogę jeszcze czekać, ale co z moją ciotką? Jest po dziewięćdziesiątce. Choruje. Raczej nie może już czekać". Urzędnik się zdenerwował. Podniósł głos: „Co się wam wydaje, że kim wy jesteście? Nie możecie grozić rządowi i mówić nam, co robić. Staramy się to dla was załatwić, ale to wymaga czasu. Będziecie musieli zaczekać jeszcze co najmniej trzy czy cztery lata". Moja ciotka przysłuchiwała się, na wpół śpiąc, a teraz poprosiła, żebym pomogła jej usiąść. Powiedziała: „Skoro tak, to po prostu umrę tu, na środku ulicy". A ja dodałam: „I ja też. Obie jesteśmy gotowe tu umrzeć, przed siedzibą rządu". Urzędnik odrzekł: „Róbcie, co chcecie". Był zły i przed odejściem odwrócił się do mnie i pomstował: „Grozicie partii komunistycznej?".

Odparłam spokojnie: „Chcę tylko odzyskać kościół. Nie będę was obciążać odpowiedzialnością za nasze życie".

Liao: I co było dalej?

Zhang: Parę miesięcy po tej konfrontacji powiedziano nam, że oddają nam kościół – dawną kaplicę, dwa rzędy domów wokół kaplicy i dwa domy na dziedzińcu. Ludzie w starej dzielnicy byli zaszokowani. Mówili: „Te dwie niedobre staruchy. Takie były twarde. Nawet rząd się ugiął". Cóż, to nie dosyć. Odzyskałyśmy tylko ćwierć majątku kościoła. Dwie szkoły po drugiej stronie ulicy też należały do kościoła. Ten majątek był tak wielki, jak trzy czy cztery boiska do piłki nożnej. Nigdy nie odzyskamy tej ziemi.

Liao: Wasza trójka zamieszkała w tym wielkim domu; czy nie wydawało wam się, że sen się ziścił?

Zhang: Kościół nie należy do nas. My tylko dbamy o niego dla Pana.

Liao: Z czego się utrzymywaliście w tamtych czasach?

Zhang: Tamtych dwoje było już starych i chorych. Hodowałam świnie i kury, uprawiałam warzywa. Dawaliśmy sobie radę. Byliśmy szczęśliwi. Moja ciotka zmarła w 1989 roku. Miała dziewięćdziesiąt trzy lata. Biskup Liu zmarł w 1990 roku, w wieku dziewięćdziesięciu lat. Są pochowani na górze Cangshan. Obok ich grobów jest miejsce dla mnie. Dzień przed śmiercią biskup Liu powiedział, że chce odprawić w kościele mszę, ale ledwie włożył ornat, a już upadł. Modliłam się nad nim, gdy wydał ostatnie tchnienie. Miał zamknięte oczy. Uśmiechał się. Zapadał zmierzch. Czułam, jak anioły na dworze odlatują ku zachodzącemu słońcu. Wiał lekki wietrzyk.

Zostałam sama, ogarnął mnie wielki smutek. Czasami łapałam się na tym, że szukam ich w kościele, na dziedzińcu, w miejscach, gdzie siadywali. Pewnego dnia zamknęłam oczy. Czułam, że dotykają mojej dłoni. Byłam taka szczęśliwa. Przebudziłam się i zobaczyłam, że to pies liże mnie po ręce.

W 1998 roku nadeszły zmiany. Mianowano nowego biskupa. Przybyło nowe pokolenie zakonnic, takich jak siostra Tao.

Teraz czuję się spokojniejsza. Będę się nadal domagać, by rząd zwrócił resztę kościelnej własności. Nawet jeśli to się nie uda, musimy to odnotować w historii kościoła. Następne pokolenia powinny wiedzieć, co się stało.

Czekam, by Pan mnie powołał do siebie. Cieszę się na zjednoczenie z biskupem Liu i swoją ciotką. Nawet się nie obejrzałam, jak minęło kolejne dziesięć lat. Niedługo skończę sto jeden lat. Ludzie wokół mnie są trzydzieści, czterdzieści lat młodsi. Cóż mam robić?

Liao: Co chciałaby siostra robić?

Zhang: Chciałabym nadal chwalić Pana. Chciałabym nadal żądać, by zwrócono ziemię naszemu kościołowi. Chciałabym nadal...

Tybetańczyk

Bary i nocne kluby na ulicy Cudzoziemców w Dali inaczej wyglądają w dzień, pozbawione sprzyjającego światła neonów i hipnotycznego bum-bum-bum muzyki; przywodzą mi na myśl obudzoną za wcześnie modelkę bez makijażu i pięknych ubrań. Także zapachy w świeżym porannym powietrzu były inne – czuło się odór ciał i dym z marihuany. Dalej stały sprzedawczynie warzyw z ludu Bai w barwnych strojach, przyzywając do przywiezionych owoców i warzyw; ich towar pachniał ziemiście i prawdziwie, a liście wyglądały na wyjątkowo świeże i mięsiste. Przystanąłem, by przyjrzeć się z uznaniem bok choy, i spytałem żartobliwie, czy jest modyfikowany genetycznie. Sprzedawczyni Bai przyjrzała mi się zmrużonymi oczyma, uśmiechnęła bezzębnie i skarciła: „Ty cholerny syczuański upiorze!".

Trzeciego sierpnia 2009 roku, nieco po dziewiątej rano, skręciłem w prawo z alei Renmin w wąski brukowany zaułek, idąc za znakami wskazującymi „KOŚCIÓŁ KATOLICKI". Drzwi na dziedziniec stały otworem, a „kościół" widziany z zaułka na pierwszy rzut oka nie różnił się niczym od innych domów mieszkalnych w sąsiedztwie. Choć na okapach wyrzeźbiono ptaki i zwierzęta z legend ludu Bai, w niebo strzelała dzwonnica zwieńczona pomalowanym na złoto krzyżem. Sklepienie wnętrza znajdowało

się na wysokości kilku pięter, a cały budynek miał formę gotowego do lotu motyla o rozpostartych skrzydłach.

Niedzielna msza właśnie się rozpoczęła, wsunąłem się więc cicho w fale śpiewu około setki parafian i przesunąłem wzdłuż ławki, by usiąść obok mego przyjaciela Kun Penga. Nie umiałem śpiewać hymnów, dlatego tylko mruczałem melodię. Przy ołtarzu, na tle czterech wielkich chińskich znaków głoszących, że Bóg jest Miłością, kapłan w średnim wieku i dwóch akolitów odprawiali starodawny ceremoniał. „Jezus bowiem na początku wiedział, którzy to są, co nie wierzą, i kto miał Go wydać" – zaintonował kapłan. Czułem się nieco niezręcznie z powodu swojej obecności w kościele: niewierzący, który przygląda się zachowaniu wierzących. Znałem fragment, który kapłan czytał, i miałem nadzieję, że zgromadzeni nie uznają, iż to ja jestem zdrajcą.

Nabożeństwo toczyło się we wznoszącym się i opadającym rytmie, jak uderzenia fal o piasek plaży: wstawanie, by odśpiewać hymn, siadanie, by wysłuchać kazania, klękanie, by się modlić, znów wstawanie, by odśpiewać kolejny hymn. Kun Peng powiedział mi, że z każdym powtórzonym aktem serce staje się czystsze, pobożniejsze i żarliwsze. Wstaliśmy ponownie, gdy organy zaczęły grać, a kongregacja ustawiła się rzędem w przejściu, by przyjąć komunię świętą, hostię i wino, będące ciałem i krwią Chrystusa.

Nie ja jeden pozostałem na miejscu; jeszcze kilku innych niewierzących przyszło z ciekawości albo posłuchać muzyki. Msza skończyła się przed jedenastą. Kun Peng zaprowadził mnie do sąsiedniego klasztoru, bym mógł go obejrzeć. Wysokie mury przedzielały widok na dwa tradycyjne domy w stylu Bai, zbudowane wokół dziedzińców, na których urządzono ogrody z roślinami i kwiatami, bogatą zielenią w pełnym rozkwicie. Domy wyglądały na zaniedbane. Zakonnice i zakonnicy wchodzili i wychodzili, niektórzy w habitach, inni nie, zajmując się swymi niedzielnymi sprawami. Jeden z zakonników, młody człowiek, powiedział, że ma dwadzieścia cztery lata, jest Tybetańczykiem, katolikiem i seminarzystą. Jak większość Chińczyków byłem

przekonany, że wszyscy Tybetańczycy są oddanymi wyznawcami buddyzmu.

Jia Bo-er przykucnął pod okapem i prał w misce habit. Jego lśniące, czarne, kręcone włosy podskakiwały w słońcu, gdy wyciskał i tarł materiał. Dodał, że jego chrześcijańskim imieniem jest Gabriel. Gdy skończył prać, znaleźliśmy cień, by usiąść i porozmawiać. Pochodził z Shangri-La.

Liao Yiwu: Shangri-La? Czy to nie ten sławny raj opisany przez Johna Hiltona w powieści Zaginiony horyzont*?*

Jia Bo-er: Tak, zgadza się. Większość moich znajomych czytała tę powieść. Książka powstała chyba w 1933 roku. Raj przedstawiony przez Hiltona miał się znajdować w regionie Cizhong, w prefekturze Diqing, należącej do prowincji Junnan. W latach dziewięćdziesiątych władze prefektury oficjalnie zaświadczyły, że nasza wioska to „zaginione Shangri-La". To chyba był taki chwyt reklamowy, żeby przyciągnąć turystów. Jestem dumny, że moja rodzinna miejscowość jest tak powszechnie znana. Moja rodzina od pokoleń mieszka w Cizhongu. Dawniej wszyscy byliśmy buddystami. Jakieś dwieście lat temu żołnierze z klasztorów lamaickich prowadzili nieustanne walki z żołnierzami chińskimi. Ciągnęło się to latami, wsie popadły w biedę, panował w nich zamęt. Starcy opowiadali mi, że w rozdartym wojną regionie ludzie cały czas umierali. W połowie dziewiętnastego wieku przybyło tam kilku księży z katolickiej organizacji Missions Étrangères de Paris. Zmienili życie wielu zwykłych mieszkańców.

Liao: W rejonie Cizhong mieszka więcej buddystów czy chrześcijan?

Jia: Myślę, że pół na pół. Wszyscy żyjemy w tej samej wsi, należymy do tej samej rasy, nosimy podobne płaszcze z koźlej skóry, razem pasiemy kozy i uprawiamy rolę. Panuje harmonia. Gdy spotykamy się na obiedzie z przyjaciółmi czy sąsiadami, oni śpiewają buddyjskie sutry, a my odmawiamy modlitwę, prosząc Boga o błogosławieństwo. Potem przepijamy do siebie.

Czasami zdejmujemy medaliki i porównujemy, który wisiorek jest ładniejszy: krzyż czy miniaturowy Budda. Czytał pan pewnie o spotkaniu papieża Jana Pawła II i Dalajlamy? Podczas spotkania bardzo ciepło o sobie mówili. Dobrze jest popierać harmonię między różnymi wyznaniami, nie sądzi pan? Moja rodzina jest chrześcijańska od czterech pokoleń. Ja całe życie jestem chrześcijaninem.

Liao: Twoje imię nie brzmi tybetańsko.

Jia: To prawda. To zachodnie imię. Ochrzczono mnie w kościele. Ksiądz nazwał mnie Gabriel. Gabriel jest jednym z Bożych aniołów, a samo imię oznacza „człowiek Boży". Jak pan wie, my, Tybetańczycy, nadajemy dzieciom imiona całkiem spontanicznie. Ojciec powinien podać imię natychmiast po narodzinach dziecka. Często czerpie inspirację z tego, na co padnie jego wzrok w chwili, gdy tylko wyjdzie z domu. Jeśli spojrzy na kwiat kalsang kwitnący na łące, może nazwać córeczkę Kal Sang albo Ge Sang. Jeśli poranek jest wietrzny, prawdopodobnie da synkowi na imię Anil, czyli „wiatr" lub „powietrze". Bardzo lubię swoje biblijne imię.

Liao: Gdzie cię ochrzczono?

Jia: W kościele w Cizhongu, zbudowanym przez francuskich misjonarzy jakieś sto pięćdziesiąt lat temu.

Liao: Czy to najstarszy kościół w prowincji Junnan?

Jia: Prawdopodobnie. Kto przebywa w dolinie, na tle ośnieżonych górskich szczytów z daleka widzi wieżę w zachodnim stylu, otoczoną przez buddyjskie świątynie. Leżące w dolinie wsie opływa rzeka Lancang, czyli Mekong. Starzy ludzie w mojej wiosce mówili, że Cizhong był najdalej wysuniętą placówką chrześcijańskich misjonarzy. Od połowy dziewiętnastego do początku dwudziestego wieku misjonarze mieli nadzieję, że ewangelia rozprzestrzeni się też na teren Tybetu, ale lamowie nie chcieli religijnej konkurencji i wielu duchownych zabito. Kashag, czyli rada rządząca Tybetem, rozmieściła tysiące żołnierzy na najważniejszych górskich przełęczach, by nikt z zewnątrz nie mógł wejść do Tybetu. Nie miało znaczenia,

czy było się Hanem, czy cudzoziemcem z Zachodu, i nie miało znaczenia, czy niosło się karabin, czy Biblię. Żołnierze wszystkich aresztowali lub zabijali. Wielu ludzi poszło i nigdy nie wróciło. W końcu misjonarze założyli bazy w Cizhongu i stamtąd obsługiwali tybetańskie wioski.

Liao: Czy wielu Tybetańczyków jest chrześcijanami?

Jia: Nie. Wydaje mi się, że jakichś siedmiuset czy coś koło tego. W Cizhongu najpierw pojawili się misjonarze katoliccy, ale gdy podróżowanie stało się łatwiejsze, założono także Kościoły protestanckie. W ostatnich latach Cizhong stał się popularnym celem wycieczek turystów z Francji, Ameryki, Wielkiej Brytanii, Kanady, Australii, Szwecji i Nowej Zelandii. W drodze na Meilixue Shan, Śnieżne Góry Mainri, często zatrzymują się na modlitwę w kościele w Cizhongu.

Liao: Czy słyszałeś jakieś opowieści o dawnych chrześcijańskich misjonarzach w tym regionie?

Jia: Tak. Widziałem ich groby. Część uszkodzono podczas rewolucji kulturalnej, ale ostatnio zostały odnowione i są chronione. Widziałem także drzewa zasadzone przez zagranicznych misjonarzy na początku przeszłego wieku. Misjonarze wybrali zwrócone ku słońcu zbocza gór, by zasadzić tam winorośl. Te winogrona nazywamy różanym miodem. Mają mocny, gęsty, słodki smak. Pochodzą od dawnego szczepu przywiezionego z Francji. Misjonarze nauczyli mieszkańców regionu, jak się robi wino.

Liao: Próbowałem różanego miodu. Jest czerwony i łagodny.

Jia: Nie drapie w gardle tak jak wino z jęczmienia. Francuscy misjonarze początkowo chcieli mieć wino tylko do komunii świętej. Ale gdy osiedlili się w naszej wsi i zbudowali kościół, ludzie łatwo pokonali różnice kulturowe i traktowali ich jak członków rodziny. Tybetańczycy częstowali francuskich przyjaciół górskim winem jęczmiennym, a Francuzi w rewanżu częstowali swoim czerwonym, różano-miodowym. Tybetańscy kupcy i rolnicy chodzili do kościoła nie po to, żeby się modlić czy śpiewać hymny – wciąż byli buddystami – ale by

odwiedzać francuskich znajomych i pić z nimi wino. Podobno czasami, gdy miejscowy rolnik wypił za dużo, księża kładli go do łóżka, by to odespał.

W czasie zbiorów francuscy księża zabierali swoje wino na pola jęczmienia i pomagali rolnikom w żniwach i zasiewach. Próbowali ich także nauczyć śpiewania hymnów. Wie pan, Tybetańczykom łatwo przychodzi wykrzykiwanie głośnych górskich melodii. Otwierają usta i wyją. Ksiądz im wtedy przerywał, mówiąc: „Amen, niech Bóg błogosławi twój głos. Ale nie musisz tak wyć. Bóg nie jest głuchy, dobrze cię słyszy". Francuscy księża pozmieniali w hymnach wiele rzeczy. Teraz psalmy są śpiewane do tybetańskich góralskich melodii. Podczas niedzielnej mszy czasami się tańczy wokół ogniska. Także Boże Narodzenie obchodzi się, tańcząc wokół ognisk.

Stosunki między lokalnymi mieszkańcami i zagranicznymi misjonarzami nie zawsze układały się gładko. My, Tybetańczycy, głęboko cierpieliśmy, czasami na skutek wojen, kiedy indziej pandemii, a czasami i wojen, i pandemii.

Opowiadano mi, że za życia mojego prapradziadka okolice dotknęła ciężka susza. Przez kilka lat z rzędu nie padał deszcz ani śnieg. Rzeka wyschła tak, że widać było dno. Kozy i bydło padały z głodu, bo brakowało trawy, by je nakarmić. Uprawy zamieniały się w siano. Ludzie byli bliscy śmierci. Lamowie śpiewali i modlili się o deszcz. Nie pomogło. Palono kadzidła lokalnym bogom i bóstwom. Nie pomagało. Część Tybetańczyków zaczęła wyładowywać frustrację na zagranicznych misjonarzach. Byli tacy, którzy twierdzili, że Tybetańczycy obrazili przodków, zapraszając do wsi cudzoziemców i dając im się przekonać do zmiany wiary. W pewnej wsi wieśniacy otoczyli kościół i złapali samotnego księdza. Związali go i zanieśli w góry, chcąc złożyć z niego ofiarę przodkom. Gdy nóż uderzył go w szyję, jego głowa zmieniła się w niebieski kamień, a z przeciętej tętnicy trysnęła nie krew, tylko mleko, które spłynęło po zboczu góry do wsi. Wszyscy wybiegli na dwór i wskoczyli do strumienia, by pić ożywczy płyn. I tak

właśnie nieszczęsna ziemia się odrodziła. Wdzięczni ludzie znieśli ciało kapłana na dół i pochowali za kościołem. Od tamtej pory, ilekroć dotyka ich nieszczęście, modlą się przy jego grobie, prosząc Boga o opiekę.

Liao: Historię i legendy dzieli tylko cienka linia. Czasami nie szkodzi, gdy się ją przekroczy.

Jia: Opowiem jeszcze jedną historię, o złotych igłach. Wiele lat temu nasz region dziesiątkowały dżuma i cholera. Zmarło bardzo dużo ludzi. Wioski pustoszały jedna po drugiej. Nawet żołnierze Han i tybetańscy mnisi musieli przerwać nieustanną wojnę. Zaległa cisza. Na szczęście przybyli misjonarze z wieloma złotymi igłami. To była szczepionka na dżumę; mieli też tabletki na cholerę. Niektórzy mieszkańcy szybko dochodzili do zdrowia, inni powoli, ale wkrótce wszyscy poczuli się lepiej.

Liao: Słyszałem wiele opowieści o tym, jak zachodni misjonarze leczyli i ratowali życie. Odegrali ogromną rolę w opanowaniu pandemii w wielu regionach Chin.

Jia: Pamiętam, że jako dziecko widywałem dorosłych siedzących w nocy przy ognisku. Najpierw pili, a potem opowiadali sobie różne historie, ale byłem za mały, by je wszystkie spamiętać. Moi rodzice mieli siedmioro dzieci; część mego rodzeństwa ma znacznie lepszą pamięć niż ja.

Liao: Siedmioro dzieci?

Jia: Mam trzy starsze siostry i trzech młodszych braci. Jestem środkowym dzieckiem, ale najstarszym synem. Mam szczęście, że wysłano mnie do Chengdu na studia teologiczne. Kościół zawsze mnie pociągał. Cokolwiek Bóg dla mnie zamierzył, będę posłuszny jego planom.

Czasami nie czuję takiego powołania, jak powinienem. Wielu moich przełożonych, na przykład siostra Tao czy ojciec Ding, jest pobożniejszych. Część kolegów z seminarium co trzy lata odnawia śluby. Trzy razy trzy to dziewięć. Po dziewięciu latach złożą ostateczną przysięgę, że będą żyć w celibacie i służyć Bogu przez resztę życia. Ja wciąż się waham

i zastanawiam nad przyszłością. Nie jestem tak przekonany jak moi przełożeni.

Liao: Masz tylko dwadzieścia cztery lata. Czy wciąż się wahasz co do swojej przyszłości w Kościele, ponieważ chciałbyś się ożenić?

Jia: Nie, na razie o tym nie myślę.

Liao: Zamierzasz powrócić do Cizhongu po skończeniu seminarium?

Jia: Nie.

Liao: Dlaczego nie? Cizhong jest twoim rodzinnym miastem, poza tym to wspaniałe miejsce.

Jia: Należę do Kościoła. Pojadę tam, gdzie mnie Kościół wyśle. Biblia mówi, że Jezus opuścił swoje rodzinne miasto i przez wiele lat wędrował po świecie. Zatem skoro już wyjechałem, nie zamierzam wracać. Jestem gotów podróżować po kraju w służbie Bogu.

Liao: Kościół katolicki wymaga przestrzegania celibatu. Kościoły protestanckie są inne.

Jia: Niektórzy myślą, że katolicy są bardziej konserwatywni. Być może to prawda. To dlatego świecki rząd czuje się bardziej zagrożony przez katolików.

Liao: Naprawdę?

Jia: Dam panu przykład. Przy wejściu wisi plakat na temat zaginionej osoby, która żyła ponad dwa tysiące lat temu. Mówi: „Jezus z Nazaretu, wzrost 1,80 m, włosy brązowe, kręcone, błyszczące, pełne życia oczy o przenikliwym spojrzeniu, głos głęboki i donośny. Nie ustępuje siłom zła i pogardza hipokrytami. Bóg jest drogą. Przedstawia prawdę i życie. Jeśli Go znajdziesz, pójdź za nim".

Liao: Czy składacie przysięgę lojalności Watykanowi?

Jia: Właściwie nie. Rząd bardzo ściśle nadzoruje tych biskupów i księży, którzy mają kontakty z Watykanem. Stara się, jak może, żeby zablokować wszelkie związki z Rzymem. Partia komunistyczna wprowadziła do Kościoła wielu swoich ludzi. Władze nieustannie przypominają duchownym, by nie zbaczali z drogi i nie robili niczego, co naruszałoby politykę

partii. Przed każdym większym świętem rząd musi zaaprobować treść kazania.

Liao: Czy ustępujesz siłom zła?

Jia: Jeszcze nie zostałem wystawiony na próbę.

Liao: A twoi rodzice?

Jia: Przeszli przez doświadczenie destrukcyjnej rewolucji kulturalnej. Wspominali jedynie, że nie zrezygnowali z Boga. Modlili się potajemnie. Nie chcą zbyt wiele mówić o przeszłości. Sądzę, że pod tym względem są podobni do większości katolików w Chinach.

Starszy zboru (I)

W trakcie swoich poszukiwań natrafiłem przypadkiem na egzemplarz książki Wu Yongshenga *Historia chrześcijaństwa w Dali*, która opowiada o pracy pierwszych misjonarzy w południowo-zachodnich Chinach. Postanowiłem porozmawiać z jej autorem o dawnym i obecnym rozprzestrzenianiu się religii chrześcijańskiej.

Staromiejski Zbór Protestancki, czyli Fuyintang, zbudowano w 1905 roku. Zajmuje ponad trzysta metrów kwadratowych i stanowi architektoniczną mieszankę – lokalny styl bai łączy się tu z europejskim gotykiem. Fasadę wzniesiono z surowego kamienia, a tradycyjną chińską wieżyczkę na dachu, który przypomina orła z rozpostartymi skrzydłami, wieńczy pomalowany na czerwono krzyż. Swoją wielkością kościół przytłacza stojące w sąsiedztwie stare domy z dziedzińcami i budynki bai.

Gdy 11 sierpnia 2009 roku po południu zajrzałem do kaplicy ze znajomym mnichem Ze Yu, nikogo w niej nie było. Wyszliśmy i skręciliśmy w biegnącą obok spokojną uliczkę. Kierując się adresem otrzymanym od obsługi kościoła, zapukaliśmy do drzwi niedużego domu z dziedzińcem. Starsza dama o siwych włosach wysunęła głowę i spojrzała na nas surowo i ze zniecierpliwieniem. Usłyszawszy, że jesteśmy przyjaciółmi kościoła, zastanawiała się przez kilka sekund, a potem wpuściła nas

do spartańsko urządzonego domu, w którym wisiały krzyże, zwoje z wypisanymi wersetami z Biblii oraz rodzinny portret – przedstawiający, jak założyłem, Wu i jego żonę Zhang Fengxiang (siwowłosą damę) w otoczeniu ich potomstwa – w sumie mniej więcej dwudziestu osób.

Wu Yongsheng urodził się w 1924 roku. Jako starszy w Staromiejskim Zborze Protestanckim cieszył się wielkim szacunkiem społeczności chrześcijańskiej. Trzy miesiące przed naszą wizytą dostał udaru i stracił przytomność. Od razu otrzymał pomoc medyczną, więc choć wciąż trudno mu było chodzić bez laski, zachował wszystkie zmysły, miał jasny umysł i mówił swobodnie. Podarował mi egzemplarz Księgi Psalmów. Przyjąłem, mówiąc, że będę je studiował.

– Powinien pan korzystać z nich jak z lustra, by wyznać swoje grzechy i się zmienić – poprawił mnie Wu. Zachęcał mnicha Ze, by porzucił dążenie do oświecenia przez Buddę i zwrócił się o zbawienie do Jezusa. Ze odpowiedział uśmiechem.

Podczas naszej rozmowy na pytania o poglądy na minione kampanie polityczne Wu odpowiadał ostrożnie, nawet wymijająco; dopiero pod koniec wizyty wyjaśniła się jego niechęć do rozmowy o tych sprawach.

Wu Yongsheng: Urodziłem się w stolicy prowincji, Kunmingu. W 1937 roku, gdy kończyłem szkołę podstawową, młodszy brat mojej matki przyjechał do Kunmingu z Dali i namawiał mnie, bym rzucił naukę. „W całym kraju panuje chaos – powiedział. – Nadchodzą ciężkie czasy. Po co chodzić do szkoły?" Wuj zaproponował, bym został u niego czeladnikiem i nauczył się ciesielstwa. Choć wojna [z Japonią] jeszcze się nie rozpoczęła, już się ją wyczuwało. Cały czas wyły syreny. Ceny żywności gwałtownie rosły, ludzie gromadzili towary. Nasza rodzina żyła w nieustannym strachu. Propozycja mego wuja uszczęśliwiła rodziców, pojechałem zatem z nim do Dali autobusem starego typu, który przewoził i ludzi, i towary. Spędziliśmy cztery dni na drodze wybrukowanej kamieniami

wielkości kartofli. Jazda była tak wyboista, że miałem wrażenie, iż całe moje ciało rozpada się na kawałki. Obecnie podróż z Kunmingu trwa pół dnia.

Liao Yiwu: Czy pana wuj prowadził w Dali własną firmę?

Wu: Tak. Prowadził własny warsztat w starej części Dali. Jako uczeń początkowo pomagałem mu tylko przy prostych zleceniach. Był chrześcijaninem i znał wielu zagranicznych misjonarzy w mieście. Ilekroć potrzebowali, by coś im naprawić, wzywali mego wuja. Traktował mnie jak własnego syna i co tydzień zabierał ze sobą na niedzielne nabożeństwo. Wkrótce poznałem Biblię i nauczyłem się śpiewać hymny. W 1940 roku do Dali przybyło pewne amerykańskie małżeństwo.

Liao: Czy pamięta pan, jak się nazywali?

Wu: Zaraz, zaraz... Pan Harold Taylor i jego żona. Wynajęli niewielki dom z dziedzińcem na ulicy Cudzoziemców. Na drzwiach umieścili tabliczkę z napisem „KOŚCIÓŁ CHRZEŚCIJAŃSKI". Poprosili nas o odnowienie domu. Podczas remontu mieszkaliśmy na pierwszym piętrze. Taylorowie wychodzili z domu rano i wracali późnym wieczorem. Bardzo życzliwie się do nas odnosili. Chcieli, byśmy codziennie przed rozpoczęciem pracy czytali Biblię lub odmawiali modlitwę. Spełnialiśmy ich prośbę. W czerwcu 1941 roku poczułem się natchniony przez Boga i zostałem ochrzczony. Miałem siedemnaście lat.

W dzień mego chrztu wuj zbudził mnie o świcie. „Dziś narodzisz się ponownie" – powiedział. W tamtym czasie mury miejskie były jeszcze w dobrym stanie, a z centrum miasta widziało się wszystkie cztery wieże bramne. Wyszliśmy przez zachodnią bramę i czekaliśmy przy strumieniu spływającym z góry Cangshan. Zbudowano tam młyn do mielenia zboża wyposażony w dwa wielkie drewniane koła, które obracały się dzień i noc. W latach czterdziestych młyn wodny był nowością. Wielebny Taylor miał zaledwie trzydzieści parę lat i lubił technikę. Uważał, że strumień przy młynie jest odpowiednim miejscem na mój chrzest. Polecił mi wejść do stawu na prawo od koła wodnego, a potem odmówił kilka wersetów z Biblii.

Wielkimi rękoma przytrzymywał moje drobne ciało. Powoli zanurzył mnie w wodzie aż po czubek głowy. Nie zamknąłem oczu i widziałem szczyt murów miejskich, górę Cangshan, a potem białe obłoki i niebieskie niebo. Myślałem, że ujrzę Stwórcę przebywającego w niebiosach, ale zadowoliło mnie uczucie otulenia pięknymi, białymi obłokami.

Liao: To musiało być cudowne doznanie.

Wu: Po ceremonii wielebny Taylor wziął mnie za ręce i powiedział łamanym chińskim: „Bracie Wu, dziękuję, że mnie zastąpisz". Nie rozumiałem, o co mu chodzi, aż do dnia, gdy Taylorowie musieli opuścić Dali. Wojska japońskie weszły od strony Birmy i zajęły pobliskie miasto Tengchong. Bombardowali Kunming i Xiaguan. Wielu Amerykanów postanowiło wyjechać.

Liao: Czy w Dali przebywało wielu cudzoziemców?

Wu: Całkiem sporo, z tym że niektórzy nie zostawali długo. Pojawiali się tylko przejazdem.

Liao: Czy Taylorowie byli dobrze znani w regionie?

Wu: Niespecjalnie. Mieszkali w Dali zaledwie dwa lata. Zbudowali mały kościół, ale nie pozyskali zbyt wielkiej liczby zwolenników. Najbardziej znanym małżeństwem misjonarzy byli państwo Liang Xisheng. Ich angielskie nazwisko to... zaraz... Allenowie. Pan Allen miał na imię William. Oni rzeczywiście cieszyli się tu renomą. Służyli w regionie Dali ponad dziesięć lat i znani byli z hojności, tak materialnej, jak duchowej. Inaczej niż Taylorowie, odnieśli sukces i przyciągnęli licznych wyznawców. Wielu uczniów szkoły średniej uczyło się u nich w domu angielskiego. Pewnego wieczoru, gdy pani Allen odmawiała przed snem modlitwy, nagle zauważyła, że spod jej łóżka wystaje męska noga. Jeden z ich byłych uczniów wkradł się do domu, by wziąć coś do jedzenia. Pani Allen weszła do pokoju, zanim zdążył uciec, schował się więc pod łóżkiem, mając nadzieję, że się wymknie, gdy pani Allen zaśnie. Na widok nogi pani Allen podskoczyła i krzyknęła ze strachu. Złodziej, przestraszony hałasem, wcisnął się głębiej.

Wielebny Allen wbiegł z dużego pokoju. Pochylił się i próbował namówić złodzieja, by wyszedł. Powiedział: „Nie martw się. Nie zgłosimy tego na policję. Wiem, że twoja rodzina jest biedna. Po prostu wyjdź i weź, co chcesz. Nie zależy mi na tym". Złodziej zaczął płakać i obiecał się wyczołgać, jeśli wielebny Allen odsunie się od łóżka. Tymczasem pani Allen powiedziała: „Mój drogi, będę się za ciebie modlić. Będę prosić Boga, by wybaczył ci grzechy". Złodziej odparł: „Nie, dziękuję, nie potrzebuję, by pani się za mnie modliła. Nie jestem chrześcijaninem". W końcu wyszedł spod łóżka, ale zobaczył, że pan Allen trzyma w ręce coś błyszczącego. Myśląc, że to broń, złodziej wyciągnął nóż i ugodził pastora w udo. Okazało się, że wielebny Allen po prostu przyniósł szklankę wody. Cios nożem przeraził panią Allen, która wybiegła, krzycząc o pomoc. Sąsiedzi usłyszeli hałasy i pomogli złapać złodzieja.

Liao: Cóż za historia. I co się stało ze złodziejem?

Wu: Następnego dnia wielebny Allen poszedł na komisariat policji i zapłacił za niego kaucję. Wiedział, że chłopak posunął się do włamania z powodu biedy. Nigdy nie wniósł oskarżenia. Przez chwilę ta historia narobiła tu szumu i rozeszła się po całym regionie. Szczodrość Allenów naprawdę wszystkich wzruszyła. Spotykając wielebnego Allena na ulicy, ludzie mówili mu, że jest święty. Machał wtedy rękoma i odpowiadał w dialekcie Dali: „Nie zasługuję na ten honor. Pracuję tylko dla Pana".

Od niepamiętnych czasów Dali było żyzną glebą dla wszelkiego rodzaju religii. Bogowie i bóstwa wypełniają tu każdy cal ziemi. Buddyzm i islam dotarły przed chrześcijaństwem, ale chrześcijaństwo szybko się rozprzestrzeniało, ponieważ mieliśmy wielu wspaniałych chrześcijan, takich jak wielebny Allen, którzy swoim postępowaniem świadczyli o bożym miłosierdziu.

Liao: Czy uważa się pan za jednego z nich?

Wu: Ja jestem tylko zwykłym chrześcijaninem. Byłem cieślą, nie ma o czym mówić. W każdym razie, gdy Japonia zbombardowała Pearl Harbor, Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny.

Niektórych cudzoziemców pracujących na terytoriach zajętych przez Japończyków aresztowano i zamordowano. Wielu było zmuszonych uciec na południe. Część z nich przyjechała do Dali. Około 1906 roku Misja do Chin Wewnętrznych założyła w Henanie chrześcijański szpital i ten szpital przeniósł się do Dali.

Liao: Czytałem o Misji do Chin Wewnętrznych, brytyjskiej organizacji misyjnej założonej w Londynie w 1865 roku przez Jamesa Hudsona Taylora. Z pańskiej książki dowiedziałem się, że wielebny Taylor i szesnastu innych misjonarzy przybyli do Szanghaju w 1866 roku. Prawdopodobnie należeli do najwcześniejszych cudzoziemskich misjonarzy chrześcijańskich w Chinach.

Wu: Prawdopodobnie.

Liao: Proszę, niech pan opowiada dalej.

Wu: W 1942 roku wojska japońskie wkroczyły od strony Birmy. Miasta padały jedno po drugim: Wanding, Tengchong i Baoshan. Kunming i Xiaguan często bombardowano. Chrześcijański szpital był otwarty dla wszystkich. Lekarze cały czas zajmowali się rannymi, tak cywilami, jak i żołnierzami. Wybuchła cholera. Praca w szpitalu trwała naprawdę na okrągło. Zatrudniłem się tam jako stolarz i zostałem stałym pracownikiem. Zainteresowała mnie medycyna, dlatego podjąłem studia i w końcu zostałem lekarzem w tym samym szpitalu. Pracowałem tam aż do przejścia na emeryturę w 1988 roku.

Liao: Czy to nie nadmiernie uproszczony obraz pana życia w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat?

Wu: Nie chcę rozważać przeszłości. Poza tym od czasu udaru moja pamięć czasami zawodzi. Nasz chrześcijański szpital był najlepszy w całym południowo-zachodnim regionie. Pomogliśmy tysiącom pacjentów.

Wciąż pamiętam nazwiska wielu misjonarzy. Tacy ludzie, jak De Meichun (Jessie McDonald), Bao Wenlian (Frances Powell), Shi Airen (M. E. Scott) i Ma Guangqi (Doris M. L. Madden), przenieśli się do Dali z prowincji Hunan pod koniec

1941 roku. Poświęcili życie służeniu tutejszym mieszkańcom. Jednak gdy przyszły wojska komunistyczne, wszystkich zagranicznych misjonarzy zmuszono do wyjazdu. Wciąż pamiętam ten dzień, gdy żołnierze zajęli szpital – 4 maja 1951 roku. Przejrzeli wszystkie zestawy sprzętu, a potem kazali dyrektorce szpitala Jessie McDonald przepisać cały majątek szpitala na państwo. I na koniec ją wyrzucili.

Liao: Czy pan też musiał znosić oskarżenia?

Wu: W porównaniu z tym, co spotkało innych, ataki na mnie były minimalne. Ostatecznie byłem jedynie członkiem personelu szpitala. W tamtym czasie personel liczył około pięćdziesięciu osób i tylko dziesięcioro z nas było chrześcijanami.

Liao: Czy brał pan udział w publicznych wiecach potępienia?

Wu: Nie byłem traktowany indywidualnie, ale musieliśmy brać udział w wielu szkoleniach politycznych.

Liao: Nie wytykano panu bliskich związków z zagranicznymi misjonarzami?

Wu: Wszyscy zagraniczni misjonarze wyjechali. Nie było już niczego, co można by było kwestionować. Musiałem natomiast pisać wiele wyznań. Napisałem w życiu setki wyznań.

Liao: Czy wolno było brać udział w nabożeństwach w kościele?

Wu: Początkowo tak. Potem zakazano wszelkich praktyk religijnych. Wielu ludzi bało się chodzić do kościoła. Niektórzy najpierw uczestniczyli w nabożeństwach, a potem otwarcie wyrzekli się wiary. Ja przetrwałem. W końcu po prostu modliłem się w domu.

Liao: Czy to nie było dziwne, w ciągu dnia brać udział w komunistycznych szkoleniach politycznych, a wieczorem w domu modlić się do Boga?

Wu: W pracy robiłem to, czego wymagały ode mnie władze. Jednak świecka polityka nie mogła zastąpić potrzeb duchowych.

Liao: W latach pięćdziesiątych wielebny Wu Yaozong założył w Pekinie Potrójnie Samodzielny Kościół Patriotyczny, który uzyskał aprobatę władz. Czy popierał pan zasady trzech samodzielności?

Wu: W chwili, gdy wyjechali zachodni misjonarze, kościoły i tak stosowały się już do zasad samorządzenia, samozaopatrzenia i samopropagowania. W Dali także powołaliśmy Komitet Patriotyczny Trzech Samodzielności. Dyrektorem został wielebny Duan Liben. Popierałem doktryny wyłożone w Biblii.

Liao: Czy w epoce Mao mówił pan otwarcie o swoich poglądach?

Wu: Och, nie odważyłbym się. W 1952 roku Wydział Pracy Zjednoczonego Frontu w Dali rozkazał chrześcijańskim kościołom różnych wyznań, żeby się połączyły. Mieliśmy kościół katolicki, kościół episkopalny* i kościół staromiejski. Odprawialiśmy razem nabożeństwa, aż kampanie polityczne stały się naprawdę groźne. Mobilizowano rewolucyjne masy do atakowania chrześcijan. Hasło brzmiało: „Ranić ich ciało, by zmienić ich dusze". W rezultacie ludzie masowo odchodzili od Kościoła. W końcu jedynymi jawnymi chrześcijanami w Dali zostali wielebny Hou Wuling i jego żona, Li Quanben i Yang Fengzhen...

Liao: Co się z nimi stało?

Wu: Wszyscy zginęli tragicznie. Wielebnego Hou Wulinga kilkakrotnie publicznie oskarżano. Zmarł podczas szkolenia politycznego, na tętniaka... ale proszę, nie mówmy o nim. Nawet myśl o tym łamie mi serce.

Przed zakończeniem rewolucji kulturalnej zakazano wszystkich jawnych praktyk religijnych. Kościołowi odebrano budynki i cały majątek. Jedynie w milczeniu można było się modlić i czytać Pismo. Radość sprawiało choćby samo poruszanie wargami, by wymówić imię Boga.

Nie potrafiłem się zmusić, by otwarcie bojkotować politykę rządu. Nie śmiałem publicznie przyznawać się do wiary. Gdy zdałem sobie sprawę, że brak mi odwagi, poprosiłem Boga o wybaczenie. Dzięki litościwemu Panu byłem w stanie przeżyć kampanie polityczne w latach pięćdziesiątych.

* Kościół anglikański.

Liao: Czy cierpiał pan podczas rewolucji kulturalnej?

Wu: Czerwona Gwardia chciała wyplenić wszystkie „węże i demony". Moja żona i ja nie mogliśmy uciec. Splądrowano nam dom, przesłuchiwano nas. Nałożyli nam błazeńskie czapki i oprowadzali po ulicach. Spalili nasz cenny zbiór książek religijnych. To takie smutne... ale przeszłość jest jak przelotne chmury. Pozwalam jej odejść.

[*W tym momencie, widząc, jak bardzo poruszony jest jej mąż, włączyła się Zhang Fengxiang i zaproponowała, że będzie kontynuować jego opowieść. „Przeszłość jest dla mojego męża zbyt traumatyczna – powiedziała. – Nie chce wspominać, szczególnie od czasu udaru"*].

Zhang Fengxiang: Urodziłam się w 1933 roku w biednej rodzinie w mieście Chuxiong, w prowincji Junnan. Niedaleko mego domu znajdował się kościół Betel. Gdy miałam pięć lat, zaczęłam razem z innymi dziećmi z sąsiedztwa chodzić tam na darmową naukę. Naszymi nauczycielami byli cudzoziemcy o niebieskich oczach i dużych nosach. Cały czas się uśmiechali i byli bardzo cierpliwi. Nauczyli nas czytać i pisać po angielsku. Potem uczyliśmy się modlić i śpiewać hymny. Po kilku latach zaczęliśmy poznawać historię biblijną. Kochałam chodzić na lekcje, ponieważ nauczyciele dawali nam cukierki i zabawki, jeśli prawidłowo odpowiadaliśmy na ich pytania. Pod ich wpływem przyjęłam chrześcijaństwo i zostałam ochrzczona, gdy miałam piętnaście lat. W 1950 roku zapisałam się do szkoły pielęgniarskiej związanej z kościołem chrześcijańskim w Dali, a po jej ukończeniu podjęłam pracę pielęgniarki. W 1953 roku, mając dwadzieścia lat, w miejscowym kościele poślubiłam Wu Yongshenga. Oboje pracowaliśmy w tym samym szpitalu.

Na początku rewolucji kulturalnej wzięto nas na cel. Poddawano nas wszelkiego rodzaju torturom. Maoistowscy rebelianci oskarżali nas, że jesteśmy szpiegami. Zebrali nas wszystkich przed kościołem, walili w bębny i gongi i śpiewali rewolucyjne pieśni. Zwołali wiec, na którym nas publicznie

oskarżano. Najpierw zrzucili na stos książki religijne i dokumenty, a potem to wszystko podpalili. Wznosili okrzyki i tańczyli. Kilkoro chrześcijan, w tym mego męża i mnie, zmusili do pochylenia się nisko nad ogniem.

Wciąż nie było im dość. Rozbili okna, ławki, półki na książki, meble, stare zwoje z malowidłami, a nawet organy przywiezione przez zachodnich misjonarzy. Wie pan, w wieży kościoła wisiał wielki dzwon. Zdjęli go i próbowali rozbić, ale nawet go nie zarysowali. W końcu zabrali go ze sobą. Nikt nie wie, co się z nim stało. Taka szkoda. Ten dzwon odlano w Londynie i przewieziono do Dali w 1905 roku.

Działali skrupulatnie. Nic nie zostało. Jeden z nich uważał, że skoro szpiegujemy, mogliśmy gdzieś schować telegraf albo broń. Mój mąż powtarzał, że nie jesteśmy szpiegami, ale ich przywódca nie chciał słuchać. „Ci imperialiści wyjechali, ale was tu zostawili. Przydzielili wam specjalne zadania. Lepiej się przyznajcie, jeśli chcecie, by was łagodniej potraktowano". Wysunęłam się naprzód i wyjaśniałam w imieniu męża: „Nie wolno nam przechowywać w kościele niczego nielegalnego. To święte miejsce". Rugali mnie, że jestem niewzruszona jak granit. Przynieśli kilka szpadli i wiertarki elektryczne. W parę godzin zniszczyli podłogę, a w środku kaplicy wykopali wielką dziurę.

Liao: Musieli się chyba naoglądać za dużo filmów szpiegowskich.

Zhang: Potem kościół zajęło kilkunastu lokalnych mieszkańców, którzy postanowili w nim zamieszkać. Kaplicę zamieniono w warsztat dla kowali, zdunów, garncarzy i cieśli. Nas zatrzymano i torturowano. Ilekroć nas wypuszczali, wracaliśmy do szpitala i podejmowaliśmy opiekę nad pacjentami. Pewnego dnia grupa chłopów powiesiła plakat ze słowem „Dziękujemy". Ten plakat wisiał obok listy haseł: „Rozwalić psie głowy Wu Yongshenga i Zhang Fengxiang".

W tej sytuacji staraliśmy się funkcjonować, jak się dało. Przyjmowaliśmy upokorzenie bez oporu.

Mój mąż wspomniał o wielebnym Duan Libenie, który stał na czele miejscowego Komitetu Patriotycznego Trzech Samodzielności. W 1956 roku wyjechał do Pekinu na ogólnokrajową konferencję dotyczącą reformy Kościołów chrześcijańskich w Chinach. W lipcu 1966 roku miejscowe władze nakazały wszystkim lokalnym przywódcom katolickim i protestanckim udział w „konferencji religijnej". Okazało się, że to pułapka. Przez czterdzieści dni trzymano ich i przesłuchiwano. Potem wielebnego Duana wysłano na wieś, by „zreformował swój sposób myślenia przez ciężką pracę". Wiele wycierpiał, więcej niż zwyczajni chrześcijanie, tacy jak my. Nie ma go już wśród nas.

W 1980 roku Wydział Pracy Zjednoczonego Frontu powiadomił nas, że możemy odprawiać niedzielne nabożeństwo. Nabożeństwa były zakazane przez ponad dwadzieścia lat. Nie zwrócono znacznej części kościelnego majątku i wątpimy, by kiedykolwiek do tego doszło.

Anglikanin

> W 1937 roku, po inwazji Japonii na Chiny, Cai Yongchun i Wu Shengde, dwaj profesorowie Uniwersytetu Huazhong w centralnie położonym mieście Wuhan, przenieśli się do Dali i założyli Kościół episkopalny. W 1943 roku obaj założyciele otrzymali fundusze z diecezji w Szanghaju na zakup dwudziestu budynków i domów, stojących na działce o powierzchni mniej więcej sześciuset tysięcy metrów kwadratowych. Przebudowali nieruchomości na kaplicę, sierociniec i szkołę podstawową, by przyspieszyć szerzenie się ewangelii. W 1948 roku kościół objął młody kapłan Hou Wuling. W 1964 roku, podczas szkolenia politycznego, wielebny Hou wyjął krzyż schowany w kieszonce na piersi i osunął się na ziemię. Zmarł na skutek tętniaka.
>
> WU YONGSHENG, *Historia chrześcijaństwa w Dali*

Kim był ten młody kapłan, Hou Wuling? Króciutka wzmianka na jego temat w książce Wu Yongshenga nie rzucała wiele światła na życie tego człowieka ani na okoliczności jego śmierci. Jak taki przywódca religijny – bo tym najwyraźniej był – mógł mignąć jak meteor, na moment rozbłysnąć i zniknąć niemal bez śladu? Co się z nim działo w epoce komunizmu? Co go skłoniło, by w czasie szkolenia politycznego wyjąć ukryty krzyż? Zaintrygowało mnie to jak dobry wątek detektywistyczny. Zacząłem od przejrzenia istniejących dokumentów kościelnych, ale nie zdołałem znaleźć niczego na temat Hou.

W książce Wu natrafiłem także na wzmiankę, że gdy rząd odwołał swój wyrok na Hou, to właśnie Wu powierzono skontaktowanie się z jego rodziną. Wu powiedział, że Hou stał na czele miejscowego Kościoła episkopalnego w Dali, ale nie chciał podać żadnych szczegółów. Czyżby unikał politycznej miny?

Porozumiałem się z Kun Pengiem, który wydawał się znać wszystkie znaczące osoby. Potrzebowałem więcej informacji i miałem nadzieję, że Kun wskaże mi właściwy kierunek. Szczególnie chciałem odszukać członków rodziny Hou. Kun zadzwonił do mnie kilka dni później. Nie udało mu się znaleźć córki Hou, trafił jednak do trzech starszych wiekiem chrześcijan, którzy mogli coś wiedzieć o jego życiu. Rozmawiałem z nimi wszystkimi i uzyskałem kilka informacji.

Hou rzeczywiście stanął na czele Kościoła episkopalnego w Dali w 1948 roku, gdy kraj rozdzierała wojna domowa. Odpowiadał za gromadzony latami majątek kościoła, ale głównie opiekował się tysiącami wyznawców, którzy żyli w nieustannym lęku przed wojną. Był młody i pilnie wypełniał obowiązki. Wu pamiętał, że Hou starał się utrzymać neutralność Kościoła w wojnie między komunistami a rządzącymi wówczas nacjonalistami, trzymał się też z dala od polityki po zwycięstwie Mao w 1949 roku. Jednak nowy komunistyczny rząd uważał cudzoziemskich misjonarzy za wrogą siłę. Organizacje religijne wszystkich wyznań rozpadły się. Chrześcijanie wyrzekali się wiary podczas publicznych zgromadzeń, mówiąc, że był to „wstydliwy rozdział" w ich życiu. Taki obrót spraw doprowadzał Hou do rozpaczy. Ponieważ odmówił odrzucenia wiary, stał się celem kampanii politycznych. Na konferencji zorganizowanej przez Wydział Pracy Zjednoczonego Frontu jeden z urzędników go zaatakował: „Czy próbujesz podważyć władzę rewolucyjnych mas?". Hou zachował milczenie; odpowiedzią było jego działanie – nadal wyznawał Boga i strzegł swego kościoła. Przezwano go Milczącym Barankiem.

Komuniści brali go na cel przy każdej kolejnej kampanii politycznej. W 1953 roku rząd chciał mu odebrać Szkołę Podstawową

Huiyu, założoną i prowadzoną przez Kościół episkopalny w Dali. Urzędnicy zamierzali zmienić jej nazwę na Szkołę Podstawową nr 2. Hou nie wpuścił funkcjonariuszy rządowych do budynku. W odpowiedzi wysłali mu rachunek za media i naprawy. Ponieważ nowa władza zabrała mu wszystkie źródła finansowania, Hou nie mógł zapłacić, odłączył więc elektryczność.

– Nasze serca są otwarte, a oświetla je prawda – powiedział uczniom. – Nie potrzebujemy światła elektrycznego.

Hou modlił się przy świecach w szkolnej kaplicy, gdy miejscowi milicjanci wdarli się do środka i go zabrali. Oskarżono go o sabotowanie własności szkoły i prowadzenie działań kontrrewolucyjnych. Rząd przeszukał jego kościół i sprawdził księgi rachunkowe, po czym obwiniono go o kontrrewolucyjną korupcję. Wkrótce postawiono mu kolejny zarzut – gwałcenie niepełnoletnich sierot płci żeńskiej. Oskarżenia się mnożyły, Hou aresztowano i przez rok trzymano w więzieniu; ponieważ jednak brakowało dowodów, by go skazać, został zwolniony.

Hou opiekował się swoją trzódką, więc popadał w konflikt z partią. Pewnego dnia przed jego drzwiami stanęła kobieta imieniem Li Huijun z dziesięcioletnią córką. Uciekły ze wsi, gdzie ich rodzinę prześladowano jako członków „złej klasy posiadaczy ziemskich". Hou i jego żona przyjęli kobiety do siebie. Kilka miesięcy później córka Li, która chorowała na gruźlicę, zmarła. Komitet uliczny zauważył obecność Li w kościele i sprawdziwszy jej pochodzenie, odesłał do wsi. Li uciekła ponownie. Miejscowa milicja odszukała ją i znów zabrała do domu. W 1954 roku kobieta uciekła po raz trzeci i schowała się w kościele. Jej prześladowcy udali się za nią do Dali. Znaleziono ją w pokoju przylegającym do kościelnej biblioteki. Li się powiesiła.

W tym samym roku zażądano od Hou, by poparł nowo powstały Potrójnie Samodzielny Kościół Patriotyczny i zgłosił do niego akces. Odmówił, nazywając go „zbiorową kapitulacją". Miejscowi prorządowi przywódcy religijni zwołali konferencję i „jednogłośnie" przegłosowali pozbawienie go funkcji oraz zakazali mu uczestnictwa we wszelkich przedsięwzięciach religijnych.

W 1957 roku uznano go za prawicowca. W 1958 roku miejscowe władze w Dali oficjalnie zajęły ziemie Kościoła episkopalnego i zbudowały na nich fabrykę chemiczną. Zagrożono Hou więzieniem, jeśli odmówi wyprowadzki. Przyznano mu łóżko w dormitorium dla robotników fabrycznych. Jego żona zabrała córkę i wróciła do rodziców do Chengdu. Hou regularnie był celem oskarżeń na wiecach potępienia, które trwały, nawet gdy w 1959 roku kraj ogarnęła klęska głodu. Jeden z chrześcijan, którym udało się przeżyć, powiedział, że ludzie byli za słabi, żeby bić wrogów klasowych, dlatego zamiast tego szczypali ich i gryźli. Pamiętał, że Hou chodził cały posiniaczony.

By złagodzić nieco skutki klęski głodu, w 1963 roku rząd kierowany przez Liu Shaoqi przyjął szereg rozwiązań mających na celu ograniczenie wprowadzanych przez Mao radykalnego uprzemysłowienia i nacjonalizacji. Mao się wycofał. Prześladowanie chrześcijan osłabło, pojawiło się więcej żywności. W 1964 roku Mao odpowiedział „kampanią edukacji socjalistycznej", a Hou wezwano, by z czterdziestoma innymi prawicowcami i kontrrewolucjonistami wziął udział w tygodniowej politycznej sesji szkoleniowej, zorganizowanej w osobnym, strzeżonym przez żołnierzy budynku. Kazano mu odpowiadać na pytania zadawane jedno po drugim, bez przerwy, aż w końcu przestał mówić i upadł martwy na podłogę. Brak oficjalnych dokumentów dotyczących szczegółów tej śmierci, a obecni przy niej ludzie cierpią na zbiorową amnezję. Mogę się oprzeć jedynie na kilku linijkach w książce Wu: że Hou wyciągnął krzyż, osunął się na ziemię i zmarł z powodu tętniaka. Nie musiał już cierpieć na przesłuchaniach, znosić oskarżeń podczas publicznych zgromadzeń i wysiadywać na sesjach szkoleń politycznych.

Wiadomo, że ciało Hou poddano kremacji kilka godzin po śmierci. Nie przeprowadzono autopsji. Po kilku dniach z Chengdu przybyła żona Hou i zabrała do domu urnę z jego prochami. Według pana Wu nigdy nie odważyła się spytać, jak zmarł jej mąż. Może i dobrze, że zmarł przed rewolucją kulturalną – powiedział Wu.

W 1980 roku Wydział Pracy Zjednoczonego Frontu w Dali wydał oświadczenie, oficjalnie rehabilitujące Hou. Wu przyjął je w imieniu rodziny, a następnie przesłał je do Hou Mei-en, córki mieszkającej w Chengdu. Jest pewien, że żona i córka Hou wciąż żyją, choć od trzydziestu lat nie miał z nimi żadnego kontaktu. Spytałem, czy rząd wypłacił rodzinie rekompensatę za ich cierpienia, ale Wu pokręcił głową: „Ani grosza". Majątek kościoła władze sprzedały prywatnym deweloperom. Państwowa fabryka chemiczna zbudowana na kościelnej ziemi zbankrutowała i została zamknięta. Obecnie w tym miejscu stoi Oddział Wewnętrzny Szpitala Ludowego nr 2 w Dali.

Chory na raka

Promienie światła rzucane przez zachodzące słońce rozjaśniały róg maleńkiego dziedzińca Li Linshana. Podczas rozmowy z nami Li wyrabiał duży kawał ciasta, by zrobić z niego pierożki. Jego blada twarz zaczerwieniła się z wysiłku, czoło pokrył mu pot. Słyszałem, że był śpiewakiem operowym, nalegałem więc, by zaprezentował mi kilka pieśni z tradycyjnej opery Shanxi. Wyprostował plecy, nabrał głęboko powietrza i wypuścił. Powiedział, że opera wymaga od śpiewaków wyższego rejestru, a on już nie ma na to sił i nie uda mu się nic więcej niż niższa oktawa.

– To może zabrzmieć, jakby śpiewała kobieta – ostrzegł.

Podobał mi się jego śpiew; wydawało mi się, że włączył w niego kilka stylów śpiewania hymnów. Entuzjastycznie biłem brawo.

Gdy ugotowane na parze pierożki stanęły na niskim stoliku na dziedzińcu, usiedliśmy, a Li rozpoczął modlitwę dziękczynną, która trwała dość długo. „Dzisiaj modlimy się za pokój na świecie. Panie, przyprowadziłeś do mnie brata Kun Penga i pana Liao, by wysłuchali skromnej historii mojego życia. To wybitni intelektualiści, ale chcą być moimi przyjaciółmi. Dziękuję Ci za Twoje błogosławieństwo i mam nadzieję, że pobłogosławisz ich dobrym zdrowiem..." Wszyscy wokół stołu pochylili głowy. Patrzyłem, jak pierożki stygną. Doświadczywszy głodu w latach sześćdziesiątych, nigdy nie odmawiam jedzenia, można

nawet powiedzieć, że jestem obżartuchem, ale jadłem powoli i uśmiechałem się przez cały czas posiłku. Uśmiechałem się, gdy zakończyliśmy wywiad i podaliśmy sobie ręce na do widzenia. Uśmiechałem się jeszcze przez pół kilometra drogi. Nie chciałem się uśmiechać i twarz mnie bolała od udawania. To był dom wielkiego cierpienia.

Krążąca wokół od jakiegoś czasu burza wybuchła w końcu ulewnym deszczem i wichurą, wkrótce jednak pokazał się księżyc, a rozpierzchające się chmury na tle wysrebrzonego nieba wyglądały jak strzępy mokrego górskiego mchu.

Po raz pierwszy usłyszałem o Li Linshanie od swego przyjaciela Kun Penga na wiosnę 2009 roku. Kun namawiał mnie, byśmy odwiedzili Li jak najprędzej.

– Inaczej będzie za późno – powiedział.

Po pewnych przygotowaniach 16 sierpnia około południa wyruszyłem wąską, gliniastą ścieżką przez szerokie, porośnięte trawą pole. Na łące daleko po lewej widziałem krowy i gromady psów. Zbliżając się już do podnóża góry, usłyszałem odległy grzmot. Nad moją głową przepływały chmury wielkie jak statki. Poprzedniej nocy przeszła wielka burza; wypełniła mi sny męczącymi obrazami wielkiej wody, która zalała miasto i sięgnęła pod szczyty gór, a ja, jedyny ocalały, skakałem z jednego na drugi jak małpa.

Li mieszkał w starej części Dali. Kun Peng czekał na mnie na alei Renmin, by poprowadzić mnie przez resztę drogi; wąskimi zaułkami, skręcając to w lewo, to w prawo, doszliśmy do ulicy Guangwu, gdzie zatrzymaliśmy się przed bramą. Czerwony transparent zawieszony nad wyblakłą framugą głosił czterema wyraźnymi chińskimi znakami: Błogosławieństwo Boże.

Kun zawołał z ulicy. Bramę otworzyła opalona kobieta, obecna żona Li. Byli małżeństwem od pięciu lat. Weszliśmy na maleńki dziedziniec, a Kun przedstawił mnie Li, który kucał w kącie i w obu dłoniach trzymał kuchenne noże.

– Cieszę się z poznania pana – powiedział. – Przepraszam, że nie mogę podać wam ręki; robię dla was pierożki.

Wrócił do krojenia i siekania. Kun ujął mnie za ramię.

– Z brata Li zostały tylko skóra i kości – szepnął.

– Jest szczupły, to prawda, ale robi wrażenie energicznego człowieka – odparłem, zaskoczony nieco bezceremonialną uwagą Kuna.

Li usłyszał i roześmiał się.

– Jestem energiczny, bo dziś jest szczególny dzień. Nakręca mnie wasza wizyta. Dlatego robię pierożki. Gotuję po raz pierwszy, od kiedy zachorowałem. Kto wie, może też po raz ostatni. – Li wyjaśnił, że używa tradycyjnego przepisu ze swojej rodzimej prowincji Shanxi. – Muszę bardzo drobno posiekać mięso i warzywa. Chcę was przyjąć prawdziwą pierożkową ucztą w stylu Shanxi.

Li wkrótce skończył, wytarł ręce w starą ściereczkę i zaczęliśmy rozmawiać.

Liao Yiwu: Kiedy pan zachorował?

Li Linshan: Hmmm... właściwie nie wiem. Chyba zawsze byłem chory. Urodziłem się w 1963 roku, pod koniec trzyletniego okresu klęski głodowej. Moja matka podczas ciąży nie mogła w mieście dostać dość jedzenia. Wróciła do swojej rodzinnej wsi w prowincji Shanxi. Babcia mówiła, że gdy się urodziłem, wyglądałem jak maleńkie kociątko, cały zwinięty, zbyt słaby, nawet żeby zapłakać. Rodzice nie wierzyli, że przeżyję, i postanowili mnie porzucić, ale babcia ich powstrzymała. „Oddycha. Jeśli go owiniemy ciepło i położymy przy ogniu, pewnie uda nam się go ogrzać i uratować" – powiedziała. Ojciec westchnął i odparł: „Od trzech lat nie jesteśmy w stanie wykarmić nawet samych siebie. Jak zdołamy wykarmić dziecko? Poza tym nie wydaje mi się, by miał płuca do śpiewania".

Liao: Pańscy rodzice byli śpiewakami?

Li: Byli zawodowymi śpiewakami w miejscowym zespole chińskiej opery. W operze Luozi cieszyli się znaczną sławą. Rodzice przez kilka lat występowali w tej grupie operowej, ale czasy były tak ciężkie, że wrócili do rodzinnej wsi w okręgu

Danshan. Sądzili, że rolnictwo zapewni im stały dochód, ale nigdy im się nie powiodło. Do ich nieszczęścia w dużej mierze przyczyniał się stan mego zdrowia. Nieustannie dręczyły mnie różne choroby. Ale biedaków nie stać na lekarza.

Liao: A teraz?

Li: Cierpię na coś, co lekarze nazywają rakiem wpustu żołądka. Rak umieścił się tam, gdzie przełyk spotyka się z żołądkiem. W 2007 roku, gdy go zdiagnozowano, był jeszcze we wczesnym stadium. Od tej pory rak się rozrósł. Operacja, naświetlania, chemoterapia – to kosztowałoby co najmniej dwadzieścia tysięcy juanów. Ja naprawiam ubrania – zaszycie dziury czy przyszycie guzika kosztuje juana. W żaden sposób nie zdołałbym zgromadzić takiej sumy. Lekarze powiedzieli, że nawet po operacji dają mi nie więcej niż jakieś pięć lat życia. Nie mamy pieniędzy. Nie wiem nawet, gdzie mógłbym pieniądze pożyczyć. A zresztą gdyby udało mi się pożyczyć dość, by przedłużyć sobie trochę życie, moja rodzina przez kilka pokoleń musiałaby to spłacać. Jestem Chińczykiem i urodziłem się w biednej okolicy. Cóż mogę zrobić?

Liao: W początkach rewolucji pańskie rodzinne miasto było bazą komunistów. Przewodniczący Mao w kilku artykułach wspomina jego wkład w rewolucję.

Li: To prawda. W pierwszym okresie mieszkańcy mego miasta przyłączyli się do Mao i jego partyzantki i w najcięższych czasach popierali komunistycznych żołnierzy. Po zwycięstwie rewolucji lud miał zostać panem kraju, ale jego sytuacja życiowa jeszcze się pogorszyła.

Widzi pan, nie mieliśmy wody. Kopaliśmy studnie tak głębokie, że zmieściłoby się w nich dwóch stojących na sobie mężczyzn, ale wciąż pozostawały suche. Woda była na wagę złota. Deszczówka nic nie kosztowała, ale też nie było jej dużo. Smakowała jak błotnista zupa i zawierała dużą liczbę robaków. Gdy się napełniało czerpak, widać było, jak się kręcą w wodzie. W porze suchej każda kałuża była cenna. Niestety, pora sucha trwała u nas bardzo długo. W tamtych czasach

wszyscy jeździli ciągniętymi przez osły wózkami z wielkimi wiadrami. Wyruszaliśmy po wodę w góry, pięć czy sześć kilometrów od domu.

Teraz sporo się zmieniło. Rząd przeprowadził kilka inwestycji wodnych, by nieco poprawić sytuację. Ale wie pan, zanim w wieku trzydziestu lat opuściłem swoją wieś, myłem się jedynie w ulewnym deszczu, stojąc całkiem nago na podwórku. To było nasze doroczne oczyszczenie. Gdy urodziła się moja pierwsza córka, położna umyła moją żonę i niemowlę maleńką ilością wody.

Liao: Nie obawialiście się zakażenia?

Li: Nigdy nie uważaliśmy zakażenia za chorobę. Ludzie chorzy na raka nie mogli sobie pozwolić na leczenie, więc o zwykłych zakażeniach nie ma nawet co wspominać. Same musiały się goić. W moim rodzinnym mieście dochodziło do licznych zachorowań na raka żołądka i przełyku. O ile dobrze pamiętam, jedyną osobą dość zamożną, by móc się leczyć, był szanowany nauczyciel, który pracował w mieście, ale wtedy już przeszedł na emeryturę. Gdy zachorował na raka, trafił do szpitala i przeszedł operację. Rząd pokrywał wszystkie jego wydatki medyczne. Operacja się udała. To była ważna wiadomość, przedtem niemal niespotykana. Na jego powrót ze szpitala cała miejscowość przygotowała wielkie święto. Emerytowany nauczyciel dorzucił sześćset juanów. Miejscowe trupy operowe zbudowały scenę i występowały przez trzy dni. Ludzie ściągali z daleka, żeby zobaczyć operę.

Liao: Jaka była średnia długość życia tamtejszych mieszkańców?

Li: Chyba około sześćdziesięciu lat. Zdarzały się wyjątki. Mój dziadek dożył osiemdziesiątki, ale nie miał pojęcia, jak mu się udało tak długo żyć. Mój ojciec był z całej rodziny najzdrowszy. Pracował na polach jak wielki byk, od rana do wieczora, bez przerwy. Zmarł w wieku pięćdziesięciu lat. Zatrucie. Przed wyjściem do pracy w polu spryskał całe ciało środkiem owadobójczym, żeby zabić pchły. Dzień był słoneczny i gorący. Ojciec wkrótce zaczął się pocić. Myślę, że środek owadobójczy

dostał się do wnętrza ciała przez otwarte pory. Najpierw ojca rozbolał żołądek. Potem ból stał się nie do zniesienia. Potykając się, ojciec wrócił do domu i położył na łóżku. Pamiętam, że krzyknął raz i drugi, a potem stracił przytomność. Zanim wieczorem na niebie pojawiły się gwiazdy, zadygotał parę razy i wkrótce odszedł.

Ludzie zazwyczaj używali DDT albo proszku „666". Środek, którego użył ojciec, był silniejszy; swędzące ugryzienia pcheł doprowadzały go do szału i chciał się szybko od tego uwolnić. Z braku wody ludzie nigdy nie brali prysznica ani nie prali ubrań. Pchły to lubiły.

Liao: Czy wiele osób ginęło od środków owadobójczych tak jak pana ojciec?

Li: Nie, to się rzadko zdarzało. Już jako dzieci eksperymentowaliśmy ze środkami owadobójczymi. Najpierw czuliśmy palenie, niektórym na ciele robiły się fioletowe plamy. Potem schodziła z nich skóra. W poważniejszych przypadkach skóra robiła się czerwona i podrażniona. Czasami kręciło się nam w głowie. To zazwyczaj mijało po trzech, czterech godzinach. Ciało stopniowo przyzwyczajało się do trucizny. Poza tym w lecie po opryskaniu się tym środkiem zazwyczaj czekaliśmy, aż wyschnie, i dopiero wtedy wychodziliśmy z domu. Mój ojciec był taki niecierpliwy, że wypadł na gorące słońce, gdy wciąż jeszcze był mokry.

Liao: Co pan robił przed przybyciem do Junnanu?

Li: W 1988 roku zobaczyłem w gazecie ogłoszenie o szkole krawieckiej w stolicy prowincji, Taiyuanie. Opuściłem wieś i udałem się do Taiyuanu, wydając wszystkie oszczędności na czesne i koszty utrzymania. Po ukończeniu szkoły wróciłem do domu. Byłem teraz „sławnym krawcem", który widział szeroki świat. Było to tuż przed chińskim Nowym Rokiem. Wiele rodzin przychodziło do mnie, przynosząc materiały i prosząc, bym im uszył ubrania. Nie może pan sobie nawet wyobrazić, jak się denerwowałem – świeżo upieczony absolwent bez żadnej praktyki. Musiałem improwizować. Ale przeżyłem.

Kilka lat później, gdy już lepiej opanowałem rzemiosło, zacząłem szyć przyzwoite stroje. W 1994 roku do domu z wizytą przyjechał mój wuj ze strony matki. Mieszkał w Chuxiongu w prowincji Junnan. Dopiero co się rozwiodłem i czułem się nieszczęśliwy. Ten wuj namawiał mnie do przeprowadzki do Chuxiongu, a nawet opłacił mi bilet na pociąg. Podróż trwała cztery dni.

Liao: Jak mówi chińskie przysłowie: „Przesadzone drzewo usycha, ale gdy człowiek się przenosi, rozkwita".

Li: Mogę do woli używać wody, która leci z kranu nad wanną, i brać prysznic, kiedy tylko zechcę. Czasami czuję się winny, że zrobiłem się taki rozrzutny. Pewnej nocy śniło mi się, że siedzę w wannie. Wtedy wokół mnie pojawili się ludzie z mojej miejscowości, przeklinając mnie i wyzywając: „Ty bydlaku! Jak możesz marnować tyle wody, że napoiłaby tu całe pokolenia?!". I zaczęli mnie gryźć. Obudziłem się oblany potem.

Liao: Czy po przyjeździe tutaj nadal pracował pan jako krawiec?

Li: Tak. Najpierw zatrudniłem się u krawca na ulicy Cudzoziemców. Potem otworzyłem własną pracownię. W mieście było wielu obcokrajowców i takich, którzy obcokrajowców naśladowali. Wszędzie widziało się różne egzotyczne i dziwaczne stroje. To naprawdę wyglądało kosmopolitycznie. Ale ja byłem prostakiem z Shanxi i nie miałem szans, by rywalizować z innymi krawcami, dlatego postanowiłem specjalizować się w poprawkach krawieckich – obszywaniu, wymianie zamków błyskawicznych, łataniu dziur – takich drobiazgach. Nie płacono za to dużo, ale gdy się zsumowało, to całkiem dobrze mi się powodziło. Przyjechałem tu, mając trzydzieści jeden lat. W ciągu piętnastu lat udało mi się odłożyć sporą sumkę i mogłem coś posyłać do domu.

Liao: Kto się teraz zajmuje pana pracownią?

Li: Nie muszę się już martwić o pracownię. Zamknąłem ją. Jestem za słaby, żeby obsługiwać maszynę do szycia. Nie zostało mi już wiele czasu.

Liao: Czy czuje się pan zagubiony?

Li: Nie, nie jestem zagubiony. Bóg się o mnie zatroszczy.

Liao: Kiedy zaczął pan wierzyć w Boga?

Li: Już w dzieciństwie słyszałem o chrześcijaństwie. Nie wiem, czy to było w podręcznikach, czy w gazetach, ale mówiono nam, że zagraniczni imperialiści zniewolili naród chiński, wykorzystując chrześcijaństwo, że jest to rodzaj duchowego opium. Byliśmy ateistami. W mojej miejscowości nie mieszkał żaden chrześcijanin. Niektórzy starzy ludzie w święta zapalali kadzidełka w świątyniach i wielbili bogów buddyjskich i taoistycznych. Dawniej patrzyłem na nich z pogardą, nawet ich potępiałem, że są przesądni. Dopiero po przybyciu do Junnanu otworzyły mi się oczy. Zobaczyłem ludzi wszystkich kolorów skóry, z wielu krajów. Z niektórymi zacząłem się spotykać. Mamy tu protestantów, katolików, muzułmanów, bahaitów, wszelkiego rodzaju wyznania.

Padłem ofiarą komunistycznej ideologii ateistycznej. W sensie duchowym brakowało mi oparcia. Nie miałem pojęcia, jak to się skończy. Ilekroć coś mnie niepokoiło, szukałem drogi ucieczki, albo przez palenie czy picie, albo po prostu chowając to gdzieś głęboko w środku. Moja najstarsza córka dostała wysokiej gorączki, jak się okazało spowodowanej zapaleniem opon mózgowych. Nie od razu rozpoczęliśmy jej leczenie. Skończyło się na tym, że zachorowała na padaczkę, potem przestała słyszeć i mówić, a w końcu zmarła, nie mając jeszcze dziewięciu lat. W tym czasie serce mi nieustannie krwawiło, nie wiedziałem, co robić ani gdzie szukać pomocy.

Gdy się dowiedziałem, że mam raka, bardzo ciężko było mi się z tym pogodzić. Liczyłem na palcach dni i mówiłem sobie: „Nie mam wcale szczęścia w życiu. Jaki jest jego sens?".

Liao: Gdyby miał pan dwadzieścia tysięcy juanów, mógłby się pan poddać leczeniu. Wszystko by się inaczej ułożyło.

Li: Gdybym się poddał operacji, być może przedłużyłoby mi to życie o pięć lat. Ale w jakim celu? Cały czas tylko czekałbym na śmierć. Rak jest tępym nożem, który mnie dźga i powoli tnie

na kawałki. Ból staje się nie do zniesienia; ledwie go wytrzymywałem. Nie miałem nawet dość sił, by popełnić samobójstwo.

Liao: A co się zmieniło?

Li: Był taki człowiek, brat Yang. Urodził się w Baoshanie w Junnanie i mieszkał tu niedaleko. Bardzo często przechodził obok mojej pracowni. Poznaliśmy się; wpadał do mnie na pogawędki, pytał o moje życie i pracę. Pewnego dnia opowiedziałem mu o swoim raku. Przeraził się. Usiadł i wysłuchał mojej historii. Naprawdę się o mnie martwił. Powiedział: „Leczenie raka będzie cię dużo kosztowało". Wytłumaczyłem mu, że nie mam pieniędzy, mogę jedynie czekać na śmierć. Nie zgodził się ze mną. Powiedział: „Nie poddawaj się za łatwo. Uwierz w Boga. Bóg znajdzie sposób, by cię wyleczyć".

Nie potraktowałem tego poważnie. Odwiedzał mnie wielokrotnie, mówiąc takie rzeczy, jak: „Stary Li, w twoim obecnym stanie wiara w Boga jest jedynym wyjściem. Szpital ci nie pomoże. Twoi krewni są bezradni. Rząd nic nie zrobi. Zwykli ludzie, tacy jak my, a szczególnie tacy biedacy jak my, muszą mieć wsparcie duchowe, potrzebują wiary. Jesteś na granicy śmierci, czemu się wahasz? Powierz siebie Bogu".

Na te słowa łzy napłynęły mi do oczu. Przyznam się panu, że choć byłem żałosnym żywym duchem, zachowywałem się jak snob, obawiałem się, że inni mnie zdemoralizują albo przyniosą pecha. Ale Bóg wciąż i wciąż do mnie przemawiał przez brata Yanga. W końcu powiedziałem głośno i wyraźnie: „Boże, przyjmij mnie".

Brat Yang od razu na miejscu odmówił za mnie modlitwę. Hałas i ruch na ulicy wciąż trwały. Słońce wciąż świeciło nad miastem. Dachówki nie spadły z dachu, a ptaki siedziały na nich, ćwierkając jak zawsze. Przyroda się nie zmieniła. To we mnie zaszła przemiana.

Poszedłem za bratem Yangiem, trzymając złożone ręce, a łzy spływały mi po twarzy jak krople deszczu. Powiem panu, to nie smutek mnie wypełniał, tylko wdzięczność. Po raz pierwszy w życiu nie myślałem o sobie ani o innych istotach

ludzkich. Myślałem o Bogu, który jest nad nami, nad wszystkim, co żyje, nad najwyższą górą i nad jeziorem Er Hai. Rodzice mnie urodzili, ale to Bóg dał mi życie. Wcześniej tego nie wiedziałem. Rak przyczynił się do mego oświecenia, dodał skrzydeł memu sercu, uprzednio wdeptanemu w błoto; sprawił, że wzniosło się i poczuło błogość raju.

Liao: Wzruszył mnie pański poetyczny opis. Proszę mi opowiedzieć coś więcej o bracie Yangu.

Li: To pastor z lokalnego kościoła domowego. Uważa, że chodzenie do kościoła niekoniecznie oznacza, że ktoś wierzy w Jezusa. Ale jak pan wie, rząd nie uznaje legalnego istnienia kościołów domowych, więc w 2008 roku, podczas Wielkanocy, zostałem ochrzczony w tutejszym starym kościele, który ma ponad stuletnią historię. Wielu chrześcijan w regionie postępuje tak jak ja: robimy jedno i drugie, chodzimy na nabożeństwa do kościoła i po domach prywatnych.

Liao: Czy pana zdrowie poprawiło się, od kiedy się pan nawrócił?

Li: Choroba zapewne postąpiła. Mam coraz większe problemy z jedzeniem. Czuję tkwiący tam guz. Przy każdym posiłku muszę liczyć na szczęście. Najpierw piję wodę, potem powoli połykam małe kęsy. W dobre dni przejście się trochę otwiera i odrobina jedzenia przechodzi gładko. Kiedy indziej nie mogę się nawet napić wody. Gdy tak się dzieje, chodzę głodny. Czuję się jednak bardziej odprężony, radośniejszy. Gdy po raz pierwszy zacząłem się modlić, wypełniały mnie samolubne myśli. Miałem nadzieję na cud, jak gdyby Bóg był mi to winien; w rezultacie nigdy nie mogłem się skupić. Myślałem, że Bóg jest pewnie bezradny, Bóg mnie nie uratuje. Przez minione czterdzieści parę lat czułem się nieszczęśliwy, głęboko nieszczęśliwy. Niełatwo było całkiem się zmienić. Pastor pouczył mnie, bym modlił się za przyjaciół i krewnych, modlił się za tych, których dotknęły klęski, codziennie zdarzające się na świecie, modlił się za jednostki i narody, popełniające zbrodnie niesprawiedliwości, chciwości i morderstwa, odmawiające

przyznania się do swoich występków. Powinniśmy się modlić do Pana, by wybaczył tym ludziom i narodom i dał im szansę odkupienia win. Powinienem się modlić za innych, a jeśli będę to robił szczerze i głęboko, Pan mi pomoże bez mojej wiedzy.

Liao: Wspomniał pan przedtem o samobójstwie; czy wciąż by je pan popełnił, gdyby pan mógł?

Li: Teraz uważam, że to grzech. To Bóg daje życie. I tylko On ma prawo je zakończyć. Chorowałem na różne choroby, przechodziłem operacje, mieszkałem we wsi bez wody. Uważałem, że życie jest nie do zniesienia i nie uda mi się przeżyć, a tymczasem przeżyłem. Myślę, że naturalna śmierć będzie łatwiejsza niż poddanie się operacji czy mieszkanie we wsi bez wody. Śmierć pojawi się jak liść spadający na ziemię. Moja dusza uleci w ramiona aniołów.

Epilog

Liao opublikował tę historię na zagranicznej stronie internetowej prowadzonej w języku chińskim. Johna Zhanga, pastora Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w San Mateo w Kalifornii, głęboko poruszyła odwaga pacjenta. Przez organizację non profit Humanitarian China zebrał sumę wystarczającą na pokrycie kosztów leczenia. Li Linshan mógł poddać się operacjom. Obecnie pacjent jest na drodze do wyzdrowienia.

Wspólnota

Li Linshan, chory na raka, chciał, bym poszedł z nim na chrześcijańskie nabożeństwo, uważał bowiem, że to mi pomoże lepiej zrozumieć, co Bóg dla niego uczynił. Osiemnastego sierpnia 2009 roku o zmierzchu wyszedłem z domu, w którym się zatrzymałem w Dali, i skierowałem się ku najbliższemu skrzyżowaniu, gdzie umówiłem się z Li. Wieczór był przyjemny, wiał ciepły południowy wietrzyk, a na niebie rozsnuły się różowe obłoki. Włączono latarnie; w oknach niskich domów migały cienie krzątających się ludzi. Li na mnie czekał i razem ruszyliśmy do podmiejskiej wioski przez wschodni rejon starego miasta.

Zaczynałem przyzwyczajać się do splątanych zaułków, łączących miasto z rolniczymi przedmieściami. Wędrowaliśmy wzdłuż chaotycznej mieszaniny nowej zabudowy i starych domów. Gigantyczne maszyny wypluwały z siebie pył z kamieniołomu. Ciężarówki i traktory szalały na wąskich drogach, spychając pieszych w jeden rządek idący gęsiego po chodniku. Li Linshan szedł swobodnie przed siebie i wydawał się nie zwracać uwagi na otaczający nas bałagan i ruch. Zaczął mruczeć hymn, co poprawiło mi nastrój. Zachodzące słońce rzucało gęste, fioletowe cienie. Przez chwilę wydawało mi się, że znajdujemy się w na wpół ukończonym olejnym obrazie.

Li powiedział, że naszym celem jest wieś Ganjia w pobliżu jeziora Er Hai, lecz chaotyczna mieszanina wysokich budynków i niskich domków wzdłuż drogi w żaden sposób nie wskazywała, gdzie kończy się jedna wieś, a zaczyna następna. Szedłem po prostu za swoim przewodnikiem, który opowiadał, że jeszcze niedawno ciągnęły się tu pola zbóż, ale ostatnio założono fermy świń i drobiu. To z nich brał się przesycający powietrze smród. Dopiero gdy minęliśmy rodzinny sklep spożywczy i skręciliśmy na dziedziniec, zdałem sobie sprawę, że dotarliśmy na miejsce. Na schodach domu powitały nas ubogo odziane kobiety. Entuzjastycznie uścisnęły nam dłonie i wprowadziły do wnętrza już tak zatłoczonego, że miałem wrażenie, iż wpadłem do garnka z parującą, gorącą zupą, wrzącą hałasem i śmiechem. Pokój był skąpo umeblowany, maleńki i niski. Podwójne łóżko, szafa w chińskim stylu i stos kartonowych pudeł wypełniały połowę przestrzeni; w drugiej połowie cisnęło się chyba z osiemnaście osób, zajmujących niedużą sofę, kilka krzeseł i ławek. Ludzie wstali, by zrobić nam miejsce, podali cukierki i owoce. Wcisnąłem się pod ścianę, za maleńki stoliczek do kawy, na którym stał dzbanuszek plastikowych fiołków i termos. Li zaraz po wejściu otoczyli witający go ludzie, a jakaś kobieta podprowadziła go do sofy, którą ktoś żartobliwie nazwał „tronem naszego czcigodnego przywódcy". Po mniej więcej dziesięciu minutach pogawędki ucichły, a Li poproszono, by rozpoczął śpiewanie hymnu. Wybrał „Bóg tu jest...".

Li stanął przed zgromadzonymi z otwartym zbiorem hymnów, zaczerpnął głęboko powietrza i zaczął śpiewać coś, co brzmiało jak zawodzenie; jednak gdy przyłączyli się inni, mówiący rozlicznymi akcentami, docierający do moich uszu nieśmiały dysonans stopniowo rozpłynął się w harmonii, jak mleko mieszane z wodą.

W zachodnich filmach słyszałem hymny wykonywane przez kościelne chóry złożone z mężczyzn i kobiet, chłopców i dziewczynki, które pięknie śpiewały szkolonymi głosami przy akompaniamencie organów lub pianina. Doskonale rozumiałem, dlaczego niektórzy nazywali ten śpiew boskim. Natomiast melodie,

które teraz mruczałem, były świeckimi chińskimi piosenkami ludowymi, łatwymi do zapamiętania i śpiewania. Niektóre przypominały mi piosenki z lat osiemdziesiątych, gdy chińskie społeczeństwo zaczęło właśnie przyswajać sobie muzykę pop. Ten hymn prawdopodobnie napisała Xiao Min, młoda wiejska dziewczyna z centralnie położonej prowincji Henan. W filmie dokumentalnym *Krzyż. Jezus w Chinach*, który niedawno oglądałem, Xiao Min mówiła, że natchnął ją Bóg; bez żadnego muzycznego przygotowania tworzyła i śpiewała hymny podczas pracy w polu. Skazana na więzienie, nadal pisała muzykę i słowa hymnów. W ciągu kilku lat skomponowała ponad tysiąc dwieście hymnów, które rozpowszechniły się w całych Chinach. Kilka miesięcy wcześniej w domu mego przyjaciela Wang Yi w Chengdu także śpiewano jeden z nich, napisany przez Xiao Min:

Ze łzami i śmiechem, z pieśnią i w milczeniu
Doświadczyliśmy wzlotów i upadków,
Pokonaliśmy najciemniejszą dolinę,
Wspięliśmy się na najwyższe góry.
Rok za rokiem Dobra Nowina, zbawienie, szczęście i uniesienie,
Błogosławieństwo nad całymi Chinami.

Gdy Li śpiewał hymn, zwróciłem uwagę na dwie kobiety i mężczyznę, którzy wmieszali się między zgromadzonych. Jedna z kobiet wślizgnęła się na miejsce tuż koło mnie. Była młoda i miała piękne, długie, ciemne włosy jak modelka z reklamy szamponu. Zapach jej perfum wytrącał mnie z równowagi. Uśmiechnęła się i spytała, czy może dzielić ze mną książkę hymnów; wskazując na otwarte usta, zachęcała mnie, bym śpiewał głośniej.

Podczas przerwy między hymnami a świadectwami wiary nawiązałem rozmowę z tą młodą kobietą. Wyjaśniła, że jej chrześcijańskim imieniem jest Rut, że jest kaznodzieją i przywódczynią tej konkretnej wspólnoty chrześcijańskiej. Nie chciała podać mi swego chińskiego imienia.

Rut była ubrana modnie i po miejsku. Powiedziała, że pochodzi z mniejszości narodowej Bai, że dawniej wyznawała kult przodków, kłaniała się różnym bóstwom i bogom. Była

właścicielką sklepu w starej części Dali, gdzie urządziła ołtarzyk taoistycznemu bogu fortuny. Codziennie paliła kadzidełka, mając nadzieję, że jej sklep odniesie sukces. Wyszła za mąż, ale gdy po kilku latach małżeństwa wciąż nie udawało jej się zajść w ciążę, zaczęła się martwić.

Rut: Odwiedziłam buddyjską świątynię, prosząc o błogosławieństwo bodhisattwę Guanyin. Ale życie nie potoczyło się tak, jak chciałam. Mąż mnie porzucił. Nasza rodzina się rozpadła. Całkiem się pogubiłam. Nie czułam się w nastroju, by prowadzić firmę w Dali. Wróciłam i zamieszkałam ze swoją matką we wsi Ganjia. Jest chrześcijanką. Pewnego dnia zaciągnęła mnie do kościoła. Znalazłam się w otoczeniu starych mężczyzn i kobiet. To bardzo dziwne przeżycie, tak być wrzuconą w grupę starych ludzi. Sytuacja była niezręczna i komiczna.

Niedługo potem jechałam autobusem do Xiaguanu. Podczas drogi spod koła wyskoczył kamień, wpadł przez okno i uderzył mnie w stopę. Krzyknęłam z bólu. Inni pasażerowie po prostu siedzieli jak roboty. Nikt nawet nie drgnął. W autobusie panował spokój jak w stawie. Zdumiało mnie to, co się stało. Jak to było możliwe? Czy ktoś przesyła mi sygnał?

Po powrocie z tej wycieczki byłam roztargniona i nie mogłam dojść do siebie. Poszłam do matki, ale nie było jej w pokoju. Na stole zobaczyłam egzemplarz Biblii, która mnie nigdy dotąd nie interesowała, ale wzięłam ją do ręki i otworzyłam. Fragment, który przeczytałam, pochodził z Księgi Izajasza 54,1: „Raduj się niepłodna, która nie rodziłaś! Wykrzykuj radośnie i wesel się ty, która nie zaznałaś bólów, bo więcej dzieci ma porzucona niż ta, która ma męża".

Byłam oszołomiona. Skąd Pan może wiedzieć, że jestem bezpłodna? Czy zachęca mnie, bym nadal próbowała? Głęboko mnie to poruszyło. Następnej niedzieli poszłam do kościoła i odmówiłam modlitwę, w której oddałam się Bogu. Poczułam się jak nowo narodzona. Przybrałam nowe imię, z biblijnej księgi Rut. To dzielna kobieta, która po śmierci męża przyjęła

na siebie odpowiedzialność za wspieranie teściowej. Zbierała na polach porzucone kłosy, podejmowała wszelkie prace. W końcu Bóg ją pobłogosławił, wyszła za innego mężczyznę i urodziła syna.

Wkrótce wszyscy przyjaciele zaczęli nazywać mnie Rut. Zgłosiłam się jako wolontariuszka do pracy w szkole w biednym regionie głęboko w górach. Szkołę sponsorował Kościół. Dostawałam miesięcznie trzysta juanów na żywność i podstawowe wydatki. Panowały tam naprawdę ciężkie warunki. Przez chwilę zachwiałam się w wierze. Pewnego ranka obudziłam się, czując się strasznie, w depresji. Okryłam się kołdrą i zaczęłam się modlić. Prosiłam Boga, by wskazał mi właściwą ścieżkę. Modliłam się od jakichś dziesięciu minut, gdy usłyszałam, że ktoś coś mamrocze. W sąsiednim łóżku spała mała dziewczynka, która wydawała się mówić przez sen: „Nie przejmuj się, Rut. Wszystko będzie dobrze". Obudziłam ją i spytałam, co mówiła. Nie oprzytomniała jeszcze i nie zrozumiała mego pytania. Powiedziałam łagodnie, ale głośniej: „Coś do mnie mówiłaś. Spróbuj sobie przypomnieć". Dziewczynka usiadła i po chwili przypomniała sobie swój sen. „Płakałaś. Aniołowie głaskali cię skrzydłami po głowie i mówili, żebyś się nie przejmowała" – powiedziała.

Rut przerwała swoją opowieść, gdy siedząca obok nas kobieta dała znak, że pora zamilknąć. Zaczynała się kolejna seria hymnów, a następnie niektórzy członkowie wspólnoty mieli opowiadać o swoich doświadczeniach, w ten sposób otwierając serca przed Ojcem w niebiosach. Wiejskie kobiety, z których wiele niemal nie umiało czytać ani pisać, przez patriarchalne społeczeństwo od dawna pozbawione prawa do mówienia, właściwie nie „opowiadały" swoich historii, tylko je odgrywały, wyrażając myśli z taką elokwencją, jakby wszystkie były wyszkolonymi, zawodowymi aktorkami. Ich opowieści przeplatały żywe anegdoty. Zróżnicowanie tonu i od czasu do czasu wybuchy płaczu pogłębiały wrażenie, stawiając ich przedstawienia na wysokim

poziomie emocjonalnym. Były prawdziwymi gawędziarkami. W porównaniu z nimi czułem się zaledwie gryzipiórkiem.

Ilekroć ktoś kończył opowieść, słuchacze odpowiadali „Amen".

Spotkanie wspólnoty trwało mniej więcej półtorej godziny – niezrównany występ, nieprzypominający niczego, co można by wystawić na scenie teatralnej czy wymyślić. W końcu „kurtyna opadła" i wszyscy wstali: „W imię Jezusa Chrystusa, amen". Przez chwilę panowała cisza, a potem pokój zaczął powracać do swego świeckiego charakteru; rozmowy i śmiech przybierały na sile i stawały się coraz głośniejsze. Moje myśli wciąż krążyły wokół sceny, która się przed chwilą rozegrała, rozważałem dźwięki i obrazy. Wyciągnąłem notatnik i korzystając z otwartej, rozluźnionej atmosfery, chciałem przeprowadzić wywiady z „braćmi". Dowiedziałem się, że początek tej wspólnocie dała rodzina Rut. Wielu jej krewnych zaliczało się do członków założycieli. Zajmowali się rolnictwem, a Rut jako pierwsza opuściła wieś. Jej pięćdziesięciodziewięcioletnia matka przyjęła chrześcijaństwo dziewięć lat wcześniej, a Rut przystąpiła do Kościoła przed sześciu laty; w tej wsi należały do „weteranek" chrześcijaństwa.

Dwaj wujowie i ciotki Rut ze strony matki właśnie się nawrócili. Starszy wuj, pięćdziesięcioparoletni, pracował jako kierowca ciężarówki w powiatowej elektrowni. Został ochrzczony pod koniec 2008 roku. Poprzednio żył w nieustannym strachu, ponieważ wciąż wjeżdżał i wyjeżdżał ciężarówką z głębokich dolin i ciemnych tuneli, gdzie często spadały lawiny błotne i dochodziło do osunięć ziemi; po przyjęciu wiary stwierdził, że modlitwa pozwala mu zachować spokój w niebezpiecznych strefach i odgonić strach. Nabrał więc więcej energii.

Młodszy wuj był rolnikiem, spokojnym i nieśmiałym. Na oko miał nieco ponad czterdziestkę. Przyłączył się do Kościoła zaledwie dwa miesiące wcześniej, co wiązało się z nagłą chorobą. Młodszy wuj cierpiał na rozliczne dolegliwości, w tym na zapalenie pęcherzyka żółciowego wywołane przez kamienie. Lekarz zalecił operację, ale to nie wchodziło w grę.

– Nie byłoby nas stać na zapłacenie rachunku – powiedział – nawet gdybyśmy sprzedali wszystko, co mamy.

W tej sytuacji matka Rut zasugerowała, by zwrócił się do Jezusa. Wierzyła, że wiara ukoi psychiczną udrękę i zmartwienie brata, co z kolei pomoże złagodzić jego fizyczne dolegliwości. Przez minione dwa miesiące łączył modlitwę z ziołowym lekarstwem przepisanym przez wiejskiego lekarza. Jego stan się poprawił. Matka Rut stara się jeszcze przekonać męża, by przystąpił do Kościoła.

Rut przedstawiła mnie przyjaciółce, która przyprowadziła do kościoła córkę. Kobieta miała trzydzieści parę lat, była ożywiona i rozmowna. Trudno sobie było wyobrazić, że jeszcze niedawno tę młodą matkę dręczyły depresja i bezsenność, myśli samobójcze i uzależnienie od leków.

– Wyzwoliłam się z długoletniego uzależnienia od leków. Zawsze przyprowadzam córkę na spotkania wspólnoty. Oddaję ją w opiekę naszemu Ojcu Wiekuistemu.

Podeszła do nas młoda kobieta, która usłyszała naszą rozmowę, ale zanim otworzyła usta, po jej policzkach popłynęły łzy. Zaczęła nieopanowanie płakać, a stojący wokół nas też w milczeniu ocierali oczy. U męża tej kobiety zdiagnozowano raka pęcherzyka żółciowego. Rodzina sprzedała wszystko, co miała, by opłacić operację, ale go nie uratowano. Właśnie niedawno zmarł. Uspokoiwszy się, przeprosiła i powiedziała, że wiara daje jej siły, by dalej żyć. Przyciągnęła do nas dziewczynkę.

– Moja córka jest w czwartej klasie – powiedziała. – Razem czytamy Biblię. Gdy się modli, robi to znacznie lepiej ode mnie. Jeśli jej ojciec słyszy ją w niebie, jestem pewna, że czuje wielką dumę.

Większość kobiet we wspólnocie była w średnim wieku. Moją uwagę przyciągnęła pewna siwowłosa babcia; sądziłem, że jest chrześcijanką z długim stażem. Okazało się, że jest tu nowa, przystąpiła bowiem do Kościoła zaledwie trzy miesiące wcześniej. Dorastała, poszcząc i śpiewając buddyjskie mantry. W młodości wielbiła lokalnych bogów, ale także chodziła do

chrześcijańskich kościołów. Jak większość członków ludu Bai dość swobodnie traktowała sprawy kultu i była gotowa przyjąć wszystko, co jej zdaniem mogło się okazać dla niej korzystne. Pewnego dnia, wracając do domu z pola, dostała udaru i upadła przy drodze. Przypadkiem znalazła ją Rut i zabrała do szpitala. Leczenie w porę uratowało jej życie. Gdy kobieta wyzdrowiała, Rut zaczęła jej opowiadać o ewangelii. Ponieważ babcia miała problemy ze słuchem, Rut głośno krzyczała jej do ucha. Teraz ilekroć czuje, że jej serce niewłaściwie pracuje, łapie się za piersi, modli się i jej stan się natychmiast poprawia.

Pozostałe kilka minut spędziłem z małżeństwem z mojej rodzinnej prowincji, Syczuanu. Rozmawialiśmy w dialekcie syczuańskim. Oboje dorastali w powiecie Anyue, a do Dali przeprowadzili się osiemnaście lat temu. Pracowali w firmie handlującej marmurem i granitem. Mówiła głównie żona, mąż natomiast potakiwał. Po przeprowadzce do Dali zatrudniali się dorywczo i pracowali wiele godzin dziennie. Zaoszczędziwszy dość pieniędzy, otworzyli własny sklep, w którym sprzedawali marmurowe płyty. Wolny czas, powiedziała żona, wypełniała sobie grą w madżonga.

Żona: Dziesięć lat później stałam się hazardzistką i grałam w madżonga w każdej wolnej chwili. Nie powinno to pana dziwić. Jak pan wie, w Syczuanie madżong cieszy się chyba największą popularnością. Wszyscy potrafią przesuwać kostki. Madżong wiąże się z hazardem. Zwykli ludzie stawiają dziesięć czy dwadzieścia fenów dla zabawy, ale w niektórych kręgach stawki są znacznie wyższe. Na początku nie traktowałam swego uzależnienia poważnie. Uważałam, że bez problemu mogę się z niego wyzwolić. Myliłam się. Łatwo weszłam w grę, ale nie potrafiłam przestać. Gdy pragnęłam rozgrywki, nic innego nie miało znaczenia, nic nie było w stanie mnie powstrzymać. Po urodzeniu pierwszego dziecka jedną ręką je karmiłam, a drugą przesuwałam kostki. Traciłam dużo pieniędzy. Ilekroć przegrywałam, szłam do świątyni się pomodlić,

paliłam kadzidełka w nadziei, że litościwy Budda zapewni mi szczęście i następnym razem wygram. Gdy los mi sprzyjał, część wygranej dawałam świątyni.

Nie byłam dobrze wykształcona, ale byłam pobożna. W domu zbudowałam ołtarzyk, przy którym codziennie wielbiłam boga fortuny i boginię współczucia. Mimo to mój los się nie odmieniał, wciąż dużo przegrywałam. Mąż próbował wyperswadować mi grę, ale go nie słuchałam. Denerwował się. Z gniewu sam zaczął grać, wpadł w nałóg i w studnię bez dna. Przy dwojgu hazardzistów w domu nie dało się uniknąć długów. Czasem brakowało nam pieniędzy nawet na jedzenie, mimo to nie potrafiliśmy wyzwolić się z uzależnienia. W końcu oboje się rozchorowaliśmy. Wiele osób sądziło, że jesteśmy heroinistami. Rzeczywiście, był to rodzaj narkotyku.

Na szczęście poznaliśmy Rut, która szczodrze nam pomogła, gdy nie mieliśmy gdzie się podziać. W pewien piątkowy wieczór usłyszałam kazanie. W następną niedzielę wzięłam udział w spotkaniu tej wspólnoty i padłam na kolana, by odmówić modlitwę, w której oddałam się Bogu. Zmieniłam imię na Yue Lang – Jasny Księżyc – by upamiętnić swoje odrodzenie w ten rozświetlony księżycem wieczór. Zaraz po powrocie do domu zgarnęłam wszystkie figurki na swoim ołtarzu i kostki madżonga i wszystko razem wrzuciłam do rzeki. Wysprzątałam dom w środku i na zewnątrz, aż się zlałam potem. Dobrze się poczułam. Przez poprzednie cztery lata cierpiałam na bezsenność, ale wtedy, gdy tylko padłam na łóżko, zasnęłam i spałam do następnego ranka. Po obudzeniu otworzyłam okna i poczułam świeży wiatr. To było w 2005 roku. Od tamtej pory grałam w madżonga tylko raz. Nie mogłam się skoncentrować. Wiedziałam, że zgrzeszyłam. Po powrocie do domu modliłam się na kolanach. Mąż mnie zobaczył i spytał: „Po co to robisz? Czy jest to tego warte?". Tej nocy śnił mi się krzyż, tak jasno świecący, że rozbolały mnie oczy.

Od tamtej pory nie grałam. Sytuacja naszej rodziny się poprawiła. Nie cierpię już na bezsenność. Jestem całkiem

zdrowa. Mój mąż przestał nawet palić. Nie muszę o nic prosić Pana. On wszystko wie. Ilekroć coś mi się udaje, nagradza mnie błogosławieństwem. Póki żyję, będę podążać ścieżkami Pana i pragnąć odkupienia.

O jedenastej wieczorem chrześcijańscy bracia i siostry zaczęli się żegnać. Ponieważ byłem jedynym niewierzącym w tej grupie, wszyscy po kolei namawiali mnie, bym swoje zmartwienia powierzył Bogu. Czułem się wzruszony prostotą i szczerością ich ofiary. Wierzyli, że wiara to cenny dar, i chcieli się z gościem podzielić swoim duchowym przebudzeniem. Na skrzyżowaniu dróg rozstałem się z Li Linshanem, który oparł się na ramieniu żony i poszedł powoli do domu. Patrzyłem, jak idzie ulicą, krok za krokiem. Wiedziałem, że rak powoli go zżera, ale bez wytchnienia podążał ku światłu swego domu.

Część II Wioski Yi i Miao

Lekarz

Ciemność na wsi jest naprawdę ciemna, ciemna jak czarny atrament, gdy chmury zakrywają niebo, a księżyc jest tak młody, że jeszcze się nie narodził. Od lat nie widziałem takiej ciemności. W porywach chłodnego wiatru przenikało mnie poczucie samotności, choć wiedziałem, że mój towarzysz podróży znajduje się na wyciągnięcie ręki. Doktor Sun (podaję tylko jego nazwisko, ponieważ woli unikać nadmiernego zainteresowania władz) prowadził mnie w tę ciemną noc do leżącej w górach wsi Fakuai w okręgu miejskim Tianxin w Junnanie. Jak się dowiedziałem, w slangu lokalnego języka yi Fakuai oznaczało tyle, co „talia góry" – i rzeczywiście tam właśnie leżała wioska; doktor Sun jednak uściślił cel naszej wyprawy, mówiąc, że zmierzamy do „pępka góry".

Doktor Sun, lekarz misjonarz, którego poznałem w 2004 roku, zgodził się przedstawić mnie kilku chrześcijańskim przywódcom w wioskach zamieszkanych przez grupy etniczne Yi i Miao. Odwiedzał te tereny trzy czy cztery razy w roku. Wyruszyliśmy 9 grudnia 2005 roku, jak mi się wydawało – dość wcześnie; gdy skończył się asfalt, a furgon, którym jechaliśmy, zaczął podskakiwać na „landrynkowej" drodze, zbudowanej z mieszanki gliny i drobnych kamyków, dzień już dobiegał końca. Kierowca nie zwolnił, mimo że zęby mu dzwoniły, i samochód pędził naprzód.

Doktor Sun chyba wzruszył ramionami – furgon trząsł się tak gwałtownie, że trudno było być pewnym.

– Przyzwyczai się pan – zaśmiał się.

Doktora Suna najwyraźniej dobrze znano w tych okolicach; gdy około dziewiątej wieczorem weszliśmy do zbudowanego wokół dziedzińca domu jednego z jego asystentów, powitano go jak zaginionego brata – grupa siedząca wokół ogniska natychmiast skoczyła na nogi i otoczyła go ciasnym kręgiem. Właściciel domu pomógł rozładować przywiezione przez nas torby z darami w postaci ubrań. Dochodziła północ, zanim wszystkie rozdano, wieśniacy się rozeszli, a my mogliśmy wymoczyć nogi w ustawionych przy ognisku miskach z gorącą wodą. Żaden z nas nie czuł się śpiący, więc rozmawialiśmy.

Liao Yiwu: Przebywanie tu z panem, w tej zagubionej w górach wiosce, wydaje mi się całkiem nierzeczywiste. Tak tu cicho i pięknie. Gdy się poznaliśmy, mówił pan, że urodził się w Nankinie. Jak to się stało, że znalazł się pan w Junnanie?

Dr Sun: I moi dziadkowie, i rodzice byli lekarzami zajmującymi się ziołolecznictwem. Prowadzili jeden z najstarszych i najbardziej szanowanych szpitali w mieście. Spore zarobki inwestowali w zakup ziemi rolnej. Z nadejściem komunistów świat stanął na głowie. Moja rodzina stała się obiektem prześladowań, bo należała do złej klasy wyzyskiwaczy. Skonfiskowano nam szpital i cały majątek. Rodzice byli znani ze swoich lekarskich umiejętności, dlatego miejscowi wyżsi urzędnicy komunistyczni uznali ich za przydatnych. Dzięki temu uniknęli stracenia. Niełatwo żyło się w rodzinie o tak mętnym politycznym zapleczu. W szkole nieustannie mnie nękano i zakazywano udziału w wielu szkolnych przedsięwzięciach.

W 1975 roku, gdy byłem w gimnazjum, zgłosiłem się na ochotnika i wyjechałem do Xishuangbanny na południowym krańcu Junnanu – tak daleko na południe, jak to tylko było możliwe. Pracowałem w państwowym gospodarstwie rolnym.

Byłem najmłodszym robotnikiem, ale skłamałem na temat swego wieku. Chciałem uciec z Nankinu, uciec od mojej rodziny, zniknąć.

Wie pan, w Xishuangbannie żyje wiele różnych mniejszości narodowych. Największą grupę etniczną stanowi lud Dai; są tam też Hani, Lagu, Bulang, Yao, Yi, Wa i Bai. Łatwo tam się zagubić. Przydzielono mnie do komuny Jinghong, która leżała blisko granicy z Birmą i Tajlandią i składała się z wielu wsi zamieszkanych przez Dai.

Sądziłem, że żyjąc tak daleko od miasta, zdołam uniknąć kampanii politycznych Mao. Myliłem się. Wszędzie było tak samo, tylko na wieś docierały one z mniej więcej dziesięcioletnim opóźnieniem. O ile w większych ośrodkach celem ataków politycznych przestali już być dawni właściciele ziemscy, a ich miejsce zajęli intelektualiści i urzędnicy rządowi, o tyle w mojej komunie kierownictwo wciąż organizowało wiece potępienia wymierzone w dawnych właścicieli. W dniu, w którym przyjechałem, poznałem młodego człowieka z ludu Dai. Wydawał się miły. Wspiął się nawet na drzewo jak małpa, by zerwać owoce dla przybyszów z miasta. Nie wiedzieliśmy, że jest synem bogatego właściciela ziemskiego, póki miejscowa milicja go nie pobiła. Często go bito.

Wydaje mi się, że to tam zrodziły się moje rozczarowanie społeczeństwem i wątpliwości co do komunizmu. Im byłem starszy, tym bardziej stawałem się reakcjonistą. Zdałem sobie sprawę, że te wszystkie hasła polityczne – „Lud jest panem kraju", „Partia jest zawsze wielka, wspaniała i ma rację" – są całkowicie bzdurne.

Pewnego dnia w 1976 roku zbierałem banany, gdy głośniki zaczęły nadawać muzykę żałobną, a spiker powiedział ponurym tonem, że zmarł nasz wielki przywódca, przewodniczący Mao. Zaśmiałem się w duchu i pomyślałem, że codziennie skandowaliśmy: „Niech żyje, niech żyje", a on sobie umiera jak zwykły człowiek. Co za nowina! Oczywiście nie dzieliłem się tymi uczuciami z nikim innym.

Później komuna przydzieliła mnie do pracy w ośrodku zdrowia. W 1977 roku, gdy w Chinach znów odbyły się egzaminy wstępne na uniwersytet, zdałem wszystkie testy i zapisałem się na Akademię Medyczną w Pekinie. Pięć lat później obroniłem dyplom i dostałem pracę w szpitalu związanym ze Szkołą Medyczną Suzhou koło Szanghaju. Zostałem chirurgiem na oddziale ratownictwa medycznego. Zajmowałem się wszelkiego rodzaju okropnymi przypadkami – pęknięte wątroby, wylewające się wnętrzności, poważne urazy głowy, oderwane kończyny. To tam doskonaliłem swoje umiejętności chirurgiczne. W 1988 roku awansowałem na kierownika, a w 1995 roku zostałem prodziekanem szkoły medycznej.

Liao: Był pan bardzo młody i miał przed sobą świetlaną przyszłość.

Sun: Podstawowym wymogiem stawianym chirurgowi na oddziale ratunkowym jest umiejętność postawienia szybkiej i właściwej diagnozy i natychmiastowego działania. Tam się nie da pogrywać. Jednak jako kierownik nie wykorzystywałem tych nabytych umiejętności. Działałem według innego zestawu reguł. Korzystając z kierowniczego stanowiska, wprowadziłem pewne reformy. Szkoła przydzieliła mi samochód santana, ale poprosiłem władze, by go sprzedały, a pieniądze przeznaczyły na szpital. Codziennie jeździłem do pracy rowerem. Zlikwidowałem tradycyjne wielkie przyjęcia dla personelu z okazji świąt i zakazałem wydawania publicznych pieniędzy na jedzenie i picie. Uszczelniłem także system zwrotu kosztów. Wszystkie te posunięcia naruszały interesy innych kierowników; nienawidzili mnie i spiskowali przeciwko mnie. To było denerwujące i przygnębiające. Na początku lat dziewięćdziesiątych nasza szkoła zaprosiła kilku zagranicznych wykładowców i studentów, by prowadzili tu wykłady i uczyli się. To dzięki nim wpadła mi w ręce Biblia. W tym okresie zastanawiałem się nad swoim życiem. Praca zastępcy dziekana była dla mnie głęboko frustrująca. Biblia nauczyła mnie szacunku i miłości do Boga, dwóch ważnych cech, których

Chińczykom brakowało. Zbyt wielu Chińczyków zrobi wszystko dla drobnych zysków materialnych, nie zwracając uwagi na moralność, etykę czy prawo. Jak to zmienić? Czy możemy polegać na partii komunistycznej? Czy możemy polegać na ustawach rządowych? Najwyraźniej nie.

We wrześniu 1990 roku wziąłem udział w sesji modlitewnej w akademiku zamieszkiwanym przez zagranicznych studentów. Wtedy modliłem się po raz pierwszy. Ujrzałem tam także kilku chińskich studentów. Zacząłem uczestniczyć w niedzielnych mszach w prywatnych domach i stopniowo wykształciłem w sobie zwyczaj cowieczornej modlitwy; rozważałem przed snem, co zrobiłem tego dnia i jak mogłem zrobić to lepiej. W zimie 1991 roku wyjechałem na urlop do Xishuangbanny. Przypadkiem było wtedy Boże Narodzenie. Podczas nabożeństwa świątecznego w domu pewnego chrześcijanina poczułem takie wzruszenie, jak nigdy przedtem. Pomógł mi misjonarz z Niemiec i zostałem ochrzczony.

Liao: Czy można było być równocześnie chrześcijaninem i urzędnikiem państwowym?

Sun: Czułem, że muszę dokonać wyboru, ale tego wyboru właściwie dokonano za mnie. Jeden ze studentów obecnych podczas mojej pierwszej sesji modlitewnej złożył na mnie donos. W 1997 roku przyszedł do mnie szef z formularzem podania o przyjęcie do partii komunistycznej. Powiedział, że wstępując do partii, zadam kłam „pogłoskom" o swoim związku z ruchem chrześcijańskim, że od wielu lat pracuję w służbie zdrowia i wyrobiłem sobie pozycję w kręgach medycznych, i że jest to drobne ustępstwo, które otworzy przede mną wiele drzwi.

Powiedziałem mu, że nie mogę wypełnić formularza. „To, co pan słyszał, to nie pogłoski. To prawda" – dodałem. Mój szef, wstrząśnięty, udał, że nie usłyszał, co powiedziałem. „Wierzę w Jezusa Chrystusa – wyjaśniłem. – Dokonałem już wyboru, i jest to jedyny wybór".

Był całkiem wytrącony z równowagi. „Jest pan komunistycznym urzędnikiem. Otrzymuje pan pensję i premię komunistycznego urzędnika, a wierzy pan w Jezusa Chrystusa. Po co panu Jezus? Czy zapewni panu jedzenie i ubranie?"

Spojrzałem mu w oczy i powiedziałem z rozmysłem: „Odchodzę. Muszę ratować swoją duszę".

Szpital zwolnił mnie ze wszystkich obowiązków, musiałem też odejść ze szkoły medycznej. Wkrótce potem znalazłem zatrudnienie w szpitalu w Jinghongu w Xishuangbannie, ale nic z tego nie wyszło. Spróbowałem w Specjalnej Strefie Ekonomicznej Shenzhen, a w końcu wylądowałem w Tajlandii, gdzie pojechałem na północ, do pięknego miasta Chiang Mai. Przyjęto mnie na wolontariusza w szpitalu sponsorowanym przez międzynarodową organizację humanitarną i wysłano do biednego górskiego regionu w Birmie, nękanego przez wojnę, epidemie chorób i ubóstwo. Wszędzie rósł mak, a uzbrojeni partyzanci bardziej przypominali bandytów. Czasami słyszałem strzelaninę. „Szpital" składał się z kilku chat krytych słomą, stojących pośrodku lasu, ale pracowali w nim doskonale wykształceni lekarze, w znacznej części z Zachodu, którzy co jakiś czas się zmieniali.

Liao: Jak porozumiewał się pan z pacjentami i pozostałym personelem medycznym?

Sun: Wielu pacjentów mówiło po chińsku. Znam także trochę dai i angielski. Panowały tam trudne warunki, ale stosunki w pracy były niezwykle przyjacielskie. Wszyscy bardzo poważnie podchodziliśmy do naszej misji i nie widzieliśmy nic niezwykłego w tym, że czasami trzeba pracować całymi dniami bez przerwy. Wiele się nauczyłem podczas pracy w Birmie.

Wróciłem do Chin w 1999 roku. Miałem dużo pewności siebie i niewiele więcej. Siostrzeniec pomógł mi uzyskać pracę adiunkta w szkole medycznej na Uniwersytecie Junnańskim.

Liao: Przy pana doświadczeniu, dlaczego nie w dużym państwowym szpitalu?

Sun: Jestem chrześcijaninem. Uznałem, że to niemożliwe.

Liao: Jak wiara może stanowić przeszkodę w karierze zawodowej?

Sun: To nie chodzi o wiarę. Nie mogłem tam pracować z powodu sumienia. Powiedzmy, że przed panem siedzi pacjent wycieńczony chorobą, patrzy na pana i ma nadzieję, że go pan wyleczy. Jakie lekarstwo pan przepisze? Wielu lekarzy przepisze to samo, ale w bardzo różnych cenach. Ja przepisałbym coś, co jest najtańsze i najskuteczniejsze. Ale gdybym zawsze tak robił, apteka i szpital byłyby niezadowolone, ponieważ obniżałbym ich zyski, naruszałbym wygodny układ między firmami farmaceutycznymi a szpitalami. Gdy łamie się niejawne reguły i przynosi szkodę zbiorowym interesom szpitali i lekarzy, zostaje się wyrzutkiem.

Liao: W Chinach mówi się teraz: „Lekarze są jak rabusie, skorumpowani i pozbawieni skrupułów".

Sun: Dokładnie tak. Zadaniem lekarza jest zdiagnozowanie choroby i leczenie jej w odpowiedni sposób. To powinno być tak łatwe jak zepchnięcie łodzi, która osiadła na mieliźnie, z powrotem na wodę. Nagrodą jest fakt, że pomogło się pacjentowi. Ale rzeczywistość w Chinach jest inna. Wizyta u lekarza, nawet przy drobnych dolegliwościach, kosztuje setki juanów. Zamiast przepisać serię antybiotyków czy tradycyjnych ziół, co kosztuje dziesięć czy dwadzieścia juanów, i to już z przyzwoitym zyskiem, szpitale chcą, by lekarze brali dziesięć razy tyle. To chciwość. A jako chrześcijanin muszę mówić moim pacjentom prawdę. Nie mogę kłamać, żeby wyciągnąć od nich więcej pieniędzy.

Liao: Został więc pan zmuszony do zostania „wędrownym lekarzem".

Sun: Nikt mnie do niczego nie zmuszał. Pewnego dnia w kościele wpadłem na swego dawnego studenta. W pierwszej chwili go nie poznałem; na Uniwersytecie Junnańskim uczyłem bardzo wielu studentów. Powiedział mi, że dorastał w wiejskiej okolicy, w Jiaoxi w powiecie Luquan, który leży głęboko w górach

nad rzeką Jinsha. Jego wieś znajduje się daleko, ale mieszkańcy chętnie witają przybyszów. Wszystkie wsie w okolicy przeszły na chrześcijaństwo. Mój student dodał, że w jego wsi mieszka kobieta, która umiera na nieuleczalną chorobę. Spytał, czy interesowałaby mnie wyprawa do chorej. Do niczego się nie zobowiązałem, ale następnego dnia pojawił się przed mymi drzwiami, więc z nim wyruszyłem. Cały dzień jechaliśmy dalekobieżnym autobusem. Chora kobieta okazała się żoną miejscowego pastora. Zbadałem ją. Miała raka piersi; guz był wielki jak jajo. Należało ją natychmiast operować. Pastor wyjaśnił, że zabierał żonę do różnych szpitali w stolicy prowincji, Kunmingu, ale za operację żądano tam ośmiu tysięcy juanów. Udał się do krewnych i pozostałych mieszkańców wsi, ale zdołał zgromadzić jedynie dwa tysiące juanów. Powiedziałem pastorowi, że zrobię to za darmo, że przeprowadzałem operacje bardziej skomplikowane niż ta, która jest tu potrzebna, i że musi mi zaufać. Spojrzał na mnie niedowierzająco, tak samo jak gromadzący się wokół nas wieśniacy. Nie jestem pewien, które z moich zapewnień wydało im się najbardziej niewiarygodne.

Chciałem zabrać kobietę z sobą do Kunmingu, by przeprowadzić zabieg w prawdziwej sali operacyjnej, ale odmówiła opuszczenia domu. Tego wieczoru, gdy ukląkłem i modliłem się, przypomniał mi się stary amerykański serial – grupa wesołych lekarzy przeprowadza operacje, opowiadając sobie dowcipy; przenośny szpital wojskowy, namioty na otwartym polu, wojna w Korei.

*Liao: Na pewno mówi pan o serialu M*A*S*H. Widziałem kilka odcinków.*

Sun: Tak. Poczułem się natchniony. Następnego dnia kupiłem kilka podstawowych narzędzi chirurgicznych, by uzupełnić te, które miałem ze sobą, i przeprowadziliśmy operację w jej sypialni. Sypiała na drewnianych deskach; nie potrzebowałem stołu. Trzeba było tylko wysprzątać pokój i mogliśmy tam to zrobić.

Liao: Czy ktoś panu pomagał?

Sun: Tak, inny pastor ze wsi. Był po sześćdziesiątce, taki dziadek. W pokoju było bardzo ciemno; nawet po otwarciu wszystkich okien wciąż panował głęboki mrok. Związałem razem cztery latarki i poprosiłem dziadka, by je trzymał jak lampę nad stołem operacyjnym. Był silny i zdrowy; stał tak wiele godzin bez ruchu, trzymając latarki. Usunąłem guz, co trwało dość długo, ale wcale nie czułem się zmęczony. Przepełniało mnie słodkie uczucie, że jestem tam z ubogimi wieśniakami i wykonuję Bożą pracę, choć nigdy nie sądziłem, że będę operować w takich warunkach.

Wiadomość o tej operacji rozeszła się lotem błyskawicy i zewsząd zaczęli ściągać wieśniacy proszący o pomoc. W końcu zostałem tam ponad tydzień, wliczając w to ośmiogodzinną pieszą wyprawę z Jiaoxi do Zhaji w powiecie Wuding. Nie było drogi. Wspinałem się na góry, przechodziłem rzeki. Zanim dotarliśmy na miejsce, moje buty niemal się rozpadły. Byłem dobrym piechurem, ale ta wyprawa okazała się najdłuższa i najtrudniejsza ze wszystkich, jakie kiedykolwiek przedsięwziąłem.

Liao: Znam tamte okolice. Miejscowi używają osłów do przewozu towarów, a te nieustannie ślizgają się i spadają w przepaście.

Sun: Po tej wspinaczce i wędrówce dobrze się wyspałem, a potem przeprowadziłem dwie operacje, jedną związaną z rakiem szyi, a drugą skóry. Obie przeszły gładko. Znalazłem swoją drogę i swoją misję.

Powiat Yiliang w regionie Zhaotong należy do najbiedniejszych w Junnanie. Szczyty gór są nagie, ogołocone z drzew, a wsie rozproszone. Ludzie mieszkają w niskich, krytych strzechą domach z drzwiami jak wejścia do jaskiń – trzeba się pochylić, żeby wejść do środka. W jednej z odwiedzanych przeze mnie wsi ludzie ciągnęli wodę z dwóch studni – jednej dla zwierząt, drugiej dla ludzi. Gdy region dotknęła susza, musieli przynosić wodę z rzeki płynącej u stóp góry.

Jeździłem tam kilkakrotnie w misjach medycznych. Czasami nie mieliśmy wody, żeby się umyć, i całymi dniami

obywałem się bez prysznica, a nawet bez mycia twarzy. Ale nie obchodziło mnie to.

Podczas jednej z tych wypraw spotkałem pewnego Yi, który z trudem się poruszał, wspierając na prymitywnej kuli. Na moje pytanie odpowiedział, że stracił część nogi w wypadku drogowym. Spytałem, czy mogę obejrzeć jego nogę, i skłoniłem go, żeby usiadł. Nie wiem, co za bydlak przeprowadził amputację, ale wyglądało to okropnie. Ten Yi nie miał połowy prawej nogi, a jego kość udowa wystawała jak nóż; otaczające ją ciało gniło, smród był straszny. Powiedziałem mu: „Muszę to naprawić albo pan umrze".

Spojrzał na mnie, najpierw zdumiony, ale zrozumiał, co powiedziałem, i po policzkach spłynęły mu łzy. Jeśli miałem mu uratować życie, musiałem amputować resztę nogi. Wkrótce wokół mnie zebrał się tłum. Nikt nie wiedział, kim jestem, oprócz tego, że przybyłem z Kunmingu. Byli jednak ufni; pomogli mi zanieść mężczyznę do jego chaty i położyć na łóżku. Wyjąłem z torby narzędzia, wysterylizowałem je, zdezynfekowałem zakażony obszar, podałem narkozę i usunąłem zgangrenowaną tkankę.

Wyszukałem naczynia krwionośne i je podszyłem, jak babcia, która przyszywa podeszwy butów, a potem rozpocząłem amputację. Sam proces nie kryje w sobie żadnej tajemnicy. Przypomina stolarstwo. Trzeba mieć piłę, dłuto, młotek i hebel. Nosiłem z sobą niewielką piłę o ostrych zębach. Kość udowa dorosłego człowieka jest dość twarda; nie tak twarda jak żelazo, ale twardsza niż drewno. Niełatwo jest odciąć człowiekowi nogę. Ramiona mi drętwiały od wibracji piły, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Pot spływał mi po twarzy. Gdybyśmy byli w normalnym szpitalu, pomogłyby mi pielęgniarki, ale tu miałem jedynie niewyszkolonych wieśniaków, którzy po prostu stali, nie wiedząc, co robić. Wygładziłem i zaokrągliłem przeciętą kość młotkiem i dłutem, a potem zszyłem zdrową skórę i ciało.

Kiedy indziej udałem się do prefektury Rzeki Czerwonej,

gdzie znajduje się sławna fabryka papierosów. Odwiedziłem leprozorium, by zoperować człowieka z zapaleniem wyrostka robaczkowego. Żaden lekarz w okolicy nie chciał się nim zająć. Jeden wysłał lekarstwa, ale nie zgodził się pójść na miejsce, by postawić diagnozę. Usunięcie wyrostka to nieskomplikowana operacja i bez wahania zaszedłem tam, by ją przeprowadzić, choć pacjenci na oddziale okazywali zdziwienie. „Ma pan jaja, żeby nas tu odwiedzać" – powiedzieli. Pacjentem był mężczyzna w średnim wieku; jego ręce i stopy wydawały się zdeformowane z powodu martwej i martwiejącej skóry. Był bardzo spokojny, nie skarżył się na ból. Przy operacji pomagała mi katolicka dziewczyna z prowincji Gansu. Wszystko poszło dobrze. To był prosty zabieg, przeprowadzony w znieczuleniu miejscowym. Założyliśmy mu szwy, pacjent skinął głową z podziękowaniem i powoli wrócił na swój oddział.

Skoro mówimy o trądzie... Pewnego dnia czekałem na autobus przy drodze koło Shimenkanu, gdy wśród drzew na wzgórzu dostrzegłem na wpół schowaną, krytą strzechą chatę. Sądząc, że być może mieszka tam pustelnik albo uczony, postanowiłem złożyć wizytę. Przewodnik był wystraszony i próbował mnie zatrzymać: „To dom dwojga trędowatych". Zaciekawiony, poszedłem tam, ignorując ostrzeżenia. Zobaczyłem stare małżeństwo drzemiące na słońcu. Zbadałem ich i stwierdziłem, że żadne nie ma objawów trądu. Byli całkiem zdrowi.

Stary człowiek, Zhang Zhi-en, mieszkał dawniej w pobliskiej wsi. W latach siedemdziesiątych, wykopując zioła w górach, natknął się na węża, którego miejscowi nazywają wężem Ma. Zabił go motyką. Gdy opowiedział o tym innym wieśniakom, rozeszła się pogłoska, że zachorował na trąd. Według lokalnych ludowych wierzeń ludzie zapadają na trąd po spotkaniu w wężem Ma, którego nazwa brzmi podobnie do chińskiego słowa oznaczającego trąd. Mężczyznę zamknięto na lata w miejscowym sanatorium. Jego byłą żonę, także uważaną za trędowatą, spalono żywcem, gdy z powodu innej

choroby nie mogła się podnieść z łóżka. Stara kobieta, którą zobaczyłem przed chatą, była drugą żoną tego człowieka. Prowadzili bardzo biedne życie. Nikt ich nie odwiedzał. Część domu się zawaliła, ale nie mieli jak tego naprawić. Skontaktowałem się z miejscowym kościołem i sam ofiarowałem dwa tysiące juanów na remont. Na dachu położyliśmy dachówki i teraz dom wygląda naprawdę ładnie. Kupiliśmy nawet kilka świń i kurcząt, by mogli je hodować. Życie tego mężczyzny znacznie się poprawiło. Ludzie w kościele go akceptują.

Liao: Poznałem raz jednego z pana uczniów, Małego Suna ze wsi Malutang. Czy mógłby mi pan opowiedzieć jego historię?

Sun: Był robotnikiem sezonowym w stoczni w Kantonie, miał żonę i dzieci. Prowadził całkiem dobre życie, póki nie stracił władzy w nogach. Wszędzie szukał pomocy lekarskiej. Znany profesor z Uniwersytetu Medycznego Zhongshan zbadał go, ale tylko pokręcił głową. Paraliż postępował. Małego Suna opuściła żona. Koledzy z pracy zorganizowali mu transport do rodzinnej wsi, gdzie musieli się nim zająć rodzice, obsługując go we wszystkim, od jedzenia po toaletę. Bardzo to było smutne. Ani operacja, ani zachodnia medycyna nic tu nie mogły pomóc, pomyślałem jednak, że być może zadziała tradycyjna akupunktura. Brakowało mi formalnego wykształcenia w akupunkturze, pobierałem więc nauki u dobrze znanego chińskiego lekarza ziołolecznika, pana Lianga. Było to naprawdę przyjemne i dające satysfakcję doświadczenie. Gdy pan Liang podpisał mi już świadectwo, udałem się do Małego Suna, a on zgodził się na leczenie. Po pierwszej wizycie powiedział, że bolą go nogi, co oznaczało, że je czuje. Kontynuowaliśmy leczenie. Równocześnie przepisałem mu zioła. Powoli, po pewnym czasie, zdołał wstać, a teraz może nawet chodzić bez laski. Uczy się u mnie medycyny i sam jest już w stanie leczyć drobne dolegliwości.

Liao: Otworzył w mieście golarnię, gdzie zajmuje się także stomatologią.

Sun: Przedstawiłem go odwiedzającemu nas dentyście z Ameryki. Mały Sun został przez niego wyszkolony. Podobno całkiem dobrze sobie teraz z tym radzi.

Liao: Poznałem całkiem sporo pana uczniów.

Sun: W ciągu kilku ostatnich lat przeszkoliłem trzydziestu czy czterdziestu, dysponujemy teraz podstawową wiejską siecią lekarską. Choć dostęp do wykształconych, wykwalifikowanych lekarzy jest bardzo ważny, pilniejszą sprawą są ludzie w terenie, dysponujący podstawową wiedzą medyczną. Jeśli na wsi dochodzi do nagłego wypadku, lekarz nie dotrze szybko. Wieśniacy w tych górskich regionach prowadzą naprawdę ciężkie życie, są oddaleni o wiele godzin drogi od najbliższego miejskiego ośrodka, a nawet tam szpitale są źle wyposażone i mają nie najlepszy personel. Wszystko w porządku, jeśli ktoś jest zdrowy i dobrze się czuje, ale gdy wieśniaka dopadnie nagła choroba, ma problem. Wiele osób umiera co roku na skutek naprawdę drobnych chorób i uszkodzeń ciała.

Liao: Ale założenie i prowadzenie wiejskiej sieci medycznej to zadanie rządu.

Sun: Partia komunistyczna jest dogłębnie zepsuta; jak możemy liczyć na rząd? Wielką pomoc okazało kilka zagranicznych organizacji dobroczynnych, ale to akcja doraźna. Najczęściej musimy polegać na własnych zasobach. W 1999 roku porozumiałem się z organizacją dobroczynną w Singapurze. Przysłali trzech lekarzy, jednego ze Stanów Zjednoczonych, jednego z Hongkongu i jednego z Singapuru. Jeździliśmy po całym regionie. Wówczas to spotkaliśmy pewnego człowieka, również noszącego nazwisko Sun. Mieszka we wsi Dazhuji, w powiecie Zehei. Miał pewne wykształcenie medyczne i prowadził niedużą przychodnię, ale był bardzo zadłużony, a jego przychodnia stała na skraju bankructwa. Organizacja charytatywna zaoferowała pomoc finansową. Wydaje mi się jednak, że ważniejsze jeszcze okazało się to, iż daliśmy mu tak bardzo potrzebną pewność siebie. Powiedziałem mu: „Zagraniczna pomoc jest niewątpliwie dobra, ale nie można zawsze na niej polegać.

Musi pan znaleźć sposób, by wykorzystać miejscowe środki. Najlepszym na to sposobem jest zająć się chińskimi ziołami. Są łatwo dostępne w tym regionie". Od lat pan Sun pomaga innym, zdołał też spłacić długi. Teraz całkiem dobrze mu się powodzi.

Liao: W pana domu w Kunmingu poznałem dwóch amerykańskich lekarzy chińskiego pochodzenia. Czy są pomocni?

Sun: Kilkakrotnie odbyli podróże w rejony wiejskie i chętnie wspomogli nas finansowo. Zobaczyli, jak to jest w odległych zakątkach Chin. Poradziłem im, żeby trzymali się z daleka od urzędników rządowych, wtedy ich pieniądze przyniosą korzyść bezpośrednio mieszkańcom wsi.

Muszę przyznać, że nasza pomoc jest ograniczona. Wielokrotnie stajemy bezradni w obliczu ludzkiego cierpienia. W odległej wsi Jiaoxi poznałem naczelnika wioski, który miał na szyi wielki guz. Na początku, gdy guz był niewielki, jakiś lekarz usiłował go usunąć, ale nie wyczyścił dokładnie rany, więc guz odrósł i robił się coraz większy. Gdy mi go pokazano, pokrywał już całe lewe ramię i tył głowy i był tak ciężki, że naczelnik nie potrafił utrzymać równowagi w pozycji stojącej. Był to rak węzłów chłonnych na takim etapie, że nie nadawał się już do operacji. Mogłem jedynie siedzieć z tym mężczyzną. Czytałem mu Biblię i powiedziałem: „Pana życie na ziemi ma kres, ale dla Boga jest nieskończone". Pokiwał głową i uśmiechnął się. Trzymałem go za rękę i siedziałem obok niego w ciszy przez godzinę. Zmarł następnego dnia.

Raz zaprowadzono mnie do domu pięćdziesięciopięcioletniej kobiety. Z trudem łapała powietrze, bardzo cierpiała. Miała krwotok wewnętrzny, ale na jakiekolwiek leczenie było za późno. Poprosiłem o miskę z ciepłą wodą, umyłem jej twarz i rozczesałem włosy. Jako lekarz nic nie potrafiłem dla niej uczynić, ale jako człowiek mogłem jej przywrócić nieco godności. Siedziałem z nią, trzymałem za ręce. Oddychała ciężko, z bólem. Było mi bardzo smutno. Wyszeptałem: „Starsza siostro, wiem, że w tym życiu bardzo cierpiałaś. Nie bój się. To minie. Bramy niebios są przed tobą szeroko otwarte. Tam

twoje cierpienia się skończą". Łzy spłynęły jej po twarzy, jej ciało drgnęło kilkakrotnie i po paru minutach umarła. Szybko to poszło.

A teraz opowiem panu pogodniejszą historię. W lecie 2001 roku podróżowałem po regionie Jiaoxi i zatrzymałem się w pewnej wiosce. Była mniej więcej trzecia po południu. Odpoczywałem z godzinę, gdy miejscowy urzędnik spytał, czy nie odwiedziłbym pewnego bliskiego śmierci człowieka. Wymagało to dwuipółgodzinnej wędrówki błotnistą górską ścieżką. Kilka razy poślizgnąłem się i upadłem. Była już ósma, gdy dotarliśmy na miejsce. Pamiętam, że słońce zachodziło za wzgórzami. Ciemny, przykryty strzechą dom chorego otaczała chyba setka ludzi. Przy drzwiach stała czerwona trumna z otwartym wiekiem. Wyglądało to dość niesamowicie. Pacjent kaszlał krwią; wszędzie widniały czerwone plamy. Wydawał się umierający. Członkowie jego rodziny powiedzieli mi, że chory ma raka płuc, i pokazali mi jego prześwietlenie. Pacjent był całkiem przytomny. Zrobiłem mu zastrzyk, żeby zatrzymać krwawienie, i spytałem o historię jego choroby. Zbadanie go doprowadziło mnie do wniosku, że to nie rak, tylko gruźlica – także groźna. Nie miałem z sobą żadnych lekarstw przeciwgruźliczych, dlatego następnego ranka z dwiema córkami chorego wyruszyłem do Kunmingu, dokąd dotarliśmy po południu. Odesłałem je do domu z lekarstwami i instrukcjami na temat właściwego ich przyjmowania. Gdy poszedłem tam trzy dni później, trumna sprzed drzwi zniknęła, a stan chorego się poprawiał. Wizyta kontrolna po trzech tygodniach potwierdziła, że szybko dochodzi do siebie.

Liao: Wędruje pan po terenach wiejskich, służąc ludziom. Z czego się pan utrzymuje? Czy bierze pan od ludzi pieniądze za leczenie?

Sun: Przez pierwsze dwa lata pewna organizacja kościelna w Stanach Zjednoczonych zapewniała mi wsparcie finansowe, bym mógł pracować charytatywnie. Zaprzyjaźniłem się blisko z młodą kobietą z tej organizacji. Potem jej szef zmienił zdanie

i wstrzymał pomoc finansową. Ale pokładam ufność w Bogu. Nie mam dużych wydatków. Potrzebuję pieniędzy tylko na bilety autobusowe czy kolejowe. Gdy podróżuję od wsi do wsi, zatrzymuję się w domach lokalnych chłopów, którzy dają mi miskę ryżu z fasolą.

Liao: Nie jest to plan perspektywiczny.

Sun: Ludzie są naprawdę mili. Niektórzy chłopi nalegają, bym przyjął pieniądze za leczenie – dziesięć czy dwadzieścia juanów. Ci, którzy wymagają bardziej skomplikowanego leczenia, dają dwieście lub trzysta. Mam pewne kontakty, które pozwalają mi płacić za lekarstwa cenę hurtową, a pieniądze, które dostaję od chłopów, pokrywają te wydatki. W ciągu minionych dwóch lat kilku zagranicznych lekarzy usłyszało o mnie i zainteresowało się tym, co robię. Przysyłają lekarstwa, a dwaj amerykańscy lekarze chińskiego pochodzenia wynajęli w Kunmingu gabinet, z którego korzystają, gdy tu są; ja z kolei opiekuję się ich pacjentami, gdy przebywają w Stanach Zjednoczonych.

Liao: Kiedyś zatrzymałem się w ich biurze.

Sun: Może się tam pomieścić sześć osób. W dużych miastach jest dość lekarzy. Myślę, że spędzę tu resztę mego życia. Doskonale mi to odpowiada.

Epilog

W 2009 roku doktor Sun stał się przedmiotem uwagi władz Junnanu, które oskarżyły go o kierowanie się „ukrytymi motywami" w leczeniu za darmo i wkrótce zakazały mu praktykowania medycyny w tej prowincji. Gdy Liao opublikował historię doktora Suna na zagranicznym portalu chińskojęzycznym, pewien chiński kościół w Stanach Zjednoczonych zaprosił doktora, by przyjechał i opowiedział o swojej pracy. Doktor przybył do Stanów Zjednoczonych w 2009 roku, ale nie pozwolono mu wjechać z powrotem do Chin. Obecnie mieszka w Kalifornii, gdzie stara się udoskonalić znajomość angielskiego i szuka możliwości pracy misyjnej w Afryce.

Męczennik

Nad Wielką Bramą Zachodnią Opactwa Westminsterskiego w centrum Londynu stoją posągi dziesięciu dwudziestowiecznych męczenników chrześcijańskich z całego świata. Jeden z nich przedstawia Wang Zhiminga, który żył i nauczał w powiecie Wuding, w prowincji Junnan, a służył mniejszości narodowej Miao. Aresztowany w 1969 roku za swoją działalność religijną, w 1973 roku został stracony. Miał wówczas sześćdziesiąt sześć lat. Historia Wang Zhiminga była dobrze znana w społeczności chrześcijańskiej w Junnanie, ale poza tym kręgiem większość Chińczyków nigdy o nim nie słyszała. Członkowie jego rodziny, z których wielu kontynuuje dzieło przodka, rzadko rozmawiają z mediami.

Pierwszy raz usłyszałem o Wang Zhimingu w grudniu 2005 roku, gdy podróżowałem po Junnanie z doktorem Sunem. Doktor Sun znał syna Wang Zhiminga, który także był działaczem chrześcijańskim. Odnalazłem go w styczniu 2007 roku.

Kościół we wsi Xiachangchong w okręgu miejskim Gaoqiao jest nieskazitelnie biały, ma różowy dach, a ponieważ stoi na tle wysokich gór, przywodził mi na myśl zamek z bajki. Wiodą do niego błotniste ścieżki; jedną z nich miejscowy wieśniak prowadził doktora Suna i mnie. Szliśmy za nim po wzgórzach, wspinając się i schodząc po zboczach, przez jary porośnięte

krzakami i pnączami. Przy wejściu do wsi czekał Wang Zisheng, syn Wang Zhiminga. Powiadomiono go o naszym nadejściu; przywitał nas jak dawno niewidzianych braci, ściskając nam ręce i klepiąc po ramionach.

Wang Zisheng, urodzony w 1940 roku, właśnie skończył sześćdziesiąt siedem lat. Był niski, krępy jak pień drzewa, na głowie nosił duży bawełniany kapelusz. Ścieżką wijącą się wokół wioski zaprowadził nas do siebie, do chaotycznego „gospodarstwa" zbudowanego wokół dziedzińca, po którym wałęsały się luzem świnie, psy i kury, wypełniając powietrze mocnym odorem swoich odchodów. Gdy Wang Zisheng otworzył drzwi, by wpuścić nas do domu, kwoka z kilkunastoma kurczętami przecisnęła się między naszymi nogami i zniknęła w środku.

Pierwszy wywiad odbywał się w domu i trwał cztery godziny. Gdy już się pożegnaliśmy i wyszliśmy na zewnątrz, dogoniła nas żona Wanga, która wcisnęła nam w dłonie upieczone w piecu gryczane ciasteczka. Byłem okropnie głodny, więc natychmiast je pochłonąłem.

Pół roku później, gdy spisywałem wywiad z Wangiem, stwierdziłem, że przypadkiem wymazałem z taśmy połowę jego opowieści. Kilkakrotnie sprawdziłem przewijanie do przodu i tyłu, waląc głową w ścianę. W poprzednich dziesięciu latach przeprowadziłem ponad dwieście wywiadów, ale taki wypadek zdarzył mi się po raz pierwszy.

W desperacji zadzwoniłem do doktora Suna, błagając go o zaaranżowanie drugiego wywiadu. I tak 5 sierpnia 2007 udałem się do Kunmingu na spotkanie z doktorem.

Nieszczęsny przypadek z taśmą Wang Zishenga okazał się jedynie początkiem serii pechowych zdarzeń. W taksówce, którą jechałem na dworzec autobusowy w Kunmingu, zostawiłem torbę. Było w niej kilka niezwykle cennych dla mnie rzeczy – flet, z którym nie rozstawałem się przez wiele lat, nowy magnetofon, notatnik i kilka ulubionych płyt CD. Odwiedziny na komisariacie policji i telefon do dyspozytora taksówek nic nie dały. Nie mogłem się teraz poddać, więc przeorganizowałem się, kupiłem

nowy magnetofon i wróciłem na dworzec autobusowy tylko po to, by stwierdzić, że jest absolutnie zapchany ludźmi jadącymi na odbywające się w pobliżu święto.

Wydawało się, że cały świat jest mi przeciwny, ale gdy doktor Sun proponował, byśmy wybrali się kiedy indziej, uparcie odmawiałem. Przekonaliśmy w końcu jakiegoś kierowcę ciężarówki, żeby nas zabrał. Tkwiąc w korku spowodowanym tragicznym wypadkiem, pochyliłem głowę i modliłem się jak chrześcijanin, pytając Boga, czy wypróbowuje moją cierpliwość i wytrwałość. Przed zmierzchem, gdy ciężarówka dojechała w końcu do białego budynku kościoła z różowym dachem, stojącego przed wsią Wang Zishenga, serce wypełniła mi wdzięczność.

Wang pracował na polu. Miałem wrażenie, że nasz widok nieco go speszył. Szliśmy powoli do jego domu; słońce chowało się za górami. Wtedy na niebie nagle pojawiły się dwie tęcze, tworząc barwny krzyż. Przez kilka minut moje myśli wypełniało tylko to piękne zjawisko przyrodnicze.

W przepaścistym pokoju Wanga słabo świeciły żarówki, usiedliśmy więc na werandzie na dworze. Nasz drugi wywiad rozpoczął się wśród ataków chmary podeszczowych komarów. Cały czas sprawdzałem magnetofon. Działał.

O dziewiątej wieczorem w końcu uznałem swoje zadanie za wykonane. Poczułem ogromną ulgę. Na szczęście wymazanemu z taśmy wywiadowi można zaradzić z pomocą tak oddanych przyjaciół, jak doktor Sun. Co będzie jednak, jeśli my jako naród zbiorowo stracimy pamięć o naszej przeszłości?

Liao: Jak to się stało, że chrześcijaństwo tak powszechnie przyjęło się we wsiach zamieszkanych przez Miao?

Wang Zisheng: Chrześcijaństwo dotarło do wsi ludu Miao około 1906 roku wraz z przybyciem dwóch chrześcijańskich misjonarzy, jednego z Australii – jego chińskie imię brzmiało Guo Xiufeng; pewien mój krewny, który czyta po angielsku, mówi, że nazywał się Arthur G. Nicholls – a drugiego z Anglii. Znam tylko jego chińskie nazwisko: Shi Mingqing. Należeli

do Misji do Chin Wewnętrznych. Podróżowali trzy czy cztery dni z Kunmingu na osłach, a gdy w końcu dotarli do wiosek Miao, wywołali prawdziwą sensację. Miao nigdy przedtem nie widzieli nikogo o blond włosach, zielonych oczach i z wielkim, zakrzywionym nosem. Obaj pastorzy byli bardzo wysocy, znacznie wyżsi niż Miao. Przyciągali uwagę.

Lud Miao żył w górach od niepamiętnych czasów, uprawiając ziemię, polując i hodując jedwabniki. Byliśmy dość prymitywni, nie lepsi od tych ptaków latających po niebie czy zwierząt biegających po ziemi. Rząd centralny od zawsze próbował podbić plemiona Miao.

Lud Miao wielbił różnego rodzaju duchy i trzymał się wielu tradycji i zwyczajów. Ilekroć planowaliśmy jakieś święto, duże czy małe, dobre czy złe, najpierw paliliśmy kadzidełka, oddając cześć różnym bóstwom i bogom i prosząc ich o opiekę. Przy ślubach i pogrzebach musieliśmy zapraszać do domu taoistycznych kapłanów lub szamanów, płacić im za odprawianie różnych obrzędów, takich jak gra na gongach oraz tańce i śpiewy dla odstraszenia złych duchów. Tutejsze rodziny były biedne jak polne myszy, ale nie mogły uniknąć urządzania wystawnych uroczystości. Gdy ktoś umierał, rodzina zabijała świnie i kozy i zapraszała wszystkich na czuwanie, które czasami trwało nawet cały tydzień. Najbliżsi krewni musieli wtedy zapewnić jedzenie i picie wszystkim gościom. Nie można było tak od razu pochować zmarłego. Odprawiali te wszystkie obrzędy, by pokazać innym wioskom, że wypełnili synowskie obowiązki. Martwili się także, że gdyby tego nie zrobili, przyszłoby im za to później zapłacić. W rezultacie zdarzało się, że zmarły leżał w trumnie dziesięć do dwudziestu dni, zanim został pochowany. Często trup zaczynał śmierdzieć i psuć się.

W roku, w którym przybyli chrześcijańscy misjonarze, cały region dotknęło straszliwe nieszczęście, najgorsza od wielu lat pandemia. W promieniu kilkunastu kilometrów nie mieszkała ani jedna zamożna rodzina. Wszystkie domy były w złym stanie. Po ulewnych deszczach domy się zawaliły, ale

nikt nie miał pieniędzy na odbudowę. Ludzie i zwierzęta żyli stłoczeni razem pod jednym dachem. Gdy jest się biednym, dbałość o higienę osobistą staje się luksusem. W rezultacie dżuma i tyfus przemknęły przez wsie jak wiatr. Ludzie zarażali się i szybko umierali. Nie było czasu, by chować zmarłych. Czasami do jednego dołu wrzucano trzy czy cztery ciała, a mimo to wszędzie leżały trupy.

Obaj cudzoziemcy chodzili do niebezpiecznych miejsc, z których wszyscy inni uciekali. Jeśli tylko ktoś jeszcze oddychał, pastorzy dawali mu lekarstwa. Jeśli jakiegoś wieśniaka nie dawało się już uratować, przykucali przy umierającym, pochylali głowy i odmawiali za niego modlitwę.

Chrześcijańscy pastorzy pomagali także ludziom odbudować domy i rozpocząć nowe życie. Uczyli miejscowych, by oddzielać pomieszczenia dla zwierząt i dla ludzi. Pokazywali, jak chronić źródła wody i dbać o higienę osobistą. Otworzyli także ludziom oczy na oszukańcze chwyty miejscowych czarowników. Wielu z tych, którzy przeżyli, porzuciło praktykę wielbienia duchów i przeszło na chrześcijaństwo. Gdy ludzie zmienili dawny sposób życia, pastorzy zaczęli ich uczyć czytania Biblii i modlenia się. W końcu uznali, że w Sapushanie założą ośrodek swej pracy misyjnej. Zbudowali kościół, pierwszy w prowincji Junnan.

Ludzie znaleźli w kościele wsparcie duchowe. Co niedziela członkowie wielu mniejszości narodowych – Miao, Yi, Lisu – przychodzili z różnych stron do kościoła, by posłuchać Dobrej Nowiny, usłyszeć Słowo Boże. W ciągu tygodnia modlili się w domach lub wspólnie po wsiach. Rodzice przyprowadzali dzieci, prosząc zagranicznych chrześcijańskich kapłanów, by nadawali im imiona. Nie pamiętam pierwotnego imienia swego dziadka, ale australijski pastor Guo Xiufeng zmienił je na Wang Sashi. Nowe imię mego dziadka oznaczało „porzuć świat doczesny, by podążać ścieżką Pana".

Mój ojciec Wang Zhiming urodził się w 1907 roku, rok po przybyciu chrześcijańskich misjonarzy. Nasza rodzina

mieszkała wówczas we wsi Bajiaojing w okręgu Dongcun, w powiecie Fumin. Ojciec zaczął uczęszczać do miejscowej szkoły w 1921 roku, gdy miał czternaście lat. Trzy lata później dziadek przeniósł go do szkoły prowadzonej przez Kościół w Sapushanie. Ojciec ukończył ją w 1926 roku. Miał dziewiętnaście lat, gdy Kościół zlecił mu nauczanie w szkołach i głoszenie ewangelii w powiatach Haoming i Lufeng. Powrócił do Sapushanu w 1935 roku, by nauczać w pobliskich wsiach. Dwa lata później rozpoczęła się wojna z Japonią i obaj zagraniczni pastorzy wyjechali, by podjąć zadania gdzie indziej. Mego ojca wybrano na kaznodzieję w głównej kongregacji w Sapushanie. W 1944 roku został przewodniczącym tamtejszego Stowarzyszenia Chrześcijańskiego.

Liao: A zatem to Sapushan jest miejscem narodzin i rozwoju chrześcijaństwa w etnicznym regionie Miao. Czy parafia była duża?

Wang: Obejmowała wszystkie kościoły Miao w pięciu powiatach: Wudingu, Luquanie, Fuminie, Lufengu i Yuanmou. Była to największa parafia Miao w Junnanie. Ponieważ głównym środkiem transportu były osły, głoszenie ewangelii oznaczało całe dni w drodze, wędrówkę po górach. To było ciężkie życie. Jednak pod przywództwem mego ojca parafia się szybko rozwijała. Według otrzymanych przeze mnie dokumentów przed objęciem władzy przez komunistów w 1949 roku nawróciło się około pięciu i pół tysiąca Miao, Yi i Lisu, którzy przyłączyli się do wspólnoty chrześcijańskiej w Sapushanie. W 1945 roku mój ojciec przez trzy miesiące mieszkał w stolicy prowincji, Kunmingu. Ułożył tam zbiór psalmów w języku Miao. Była to zapewne pierwsza księga hymnów w języku Miao w Chinach.

Po nadejściu komunistów zakazano wszelkiej działalności religijnej. W 1951 roku, gdy miałem jedenaście lat, mój ojciec pojechał do Kunmingu, gdzie został wyświęcony na pastora przez przybyłego z Szanghaju Chu Huai-ana. W tamtym czasie z Chin wyrzucono już wszystkich zagranicznych misjonarzy. Rząd komunistyczny potępił zagraniczne religie

jako opium dla duszy i narzędzie inwazji, służące uciskowi narodu chińskiego.

Liao: W 1951 roku rozpoczęła się reforma rolna. Czy dotknęła waszą rodzinę?

Wang: Nasza wioska była biedna. Nie było żadnych posiadaczy ziemskich ani bogatych chłopów, których można by prześladować. Trzy stosunkowo zamożne gospodarstwa znalazły się w kategorii średniaków, ale reszta należała do klasy biednych chłopów, sojuszników rewolucji. Moja rodzina, choć należała do kategorii biednych chłopów, była również chrześcijańska, a zatem traktowano nas inaczej. Nie mogliśmy uczestniczyć w „owocach rewolucji" – nie otrzymaliśmy ziemi, domu ani pieniędzy.

Liao: Skoro nie mieliście złych panów, którzy mogliby stanowić obiekt potępienia, jak pana wieś prowadziła „sesje walki klas"?

Wang: Sprowadzaliśmy właścicieli ziemskich z innych wsi, by stanowili cel ataków. Ludzie unosili ręce, by potępić posiadaczy, opowiadali straszne historie o tym, jak ich wyzyskiwano, i oprowadzali posiadaczy po polach. Wie pan, że często ich bito i torturowano. Tutejsza wieś nie pominęła ani jednej imprezy wymaganej przez kampanię. Mój ojciec współczuł tym upadłym właścicielom ziemskim. W domu często wzdychał i mówił: „Nie wiem, co się dzieje! Ci życzliwi ludzie dzierżawili nam swoje ziemie. Nie brali od nas nawet wysokich opłat. Było to z ich strony bardzo hojne. A teraz są tak brutalnie traktowani".

Rząd zamknął i skonfiskował własność kościoła w Sapushanie; memu ojcu kazano wrócić do domu i pracować na roli pod nadzorem rewolucyjnych chłopów. Ponieważ był jednym z niewielu ludzi w regionie, którzy umieli pisać i czytać, został wiejskim rachmistrzem. Posłuchał, gdyż Biblia mówi, że należy ciało poddać rządzącym, ale nigdy nie zaprzestał codziennych modlitw.

Czasami chrześcijanie z innych wsi zbierali się późnym wieczorem w naszym domu. Napięta sytuacja polityczna

sprawiała, że wszyscy się denerwowali. Cała działalność modlitewna toczyła się w konspiracji. Potem lokalne władze nakazały członkom miejscowej milicji śledzenie nas i przesłuchiwanie. Ojca zmuszono, by przyznał się do bliskich kontaktów z pastorami w innych krajach. Jego sytuacja sprawiała, że bardzo trudno było mu utrzymywać łączność z innymi lokalnymi chrześcijanami, ale nie poddawał się. W 1954 roku miejscowy urząd bezpieczeństwa publicznego aresztował go pod zarzutem „odmowy poprawy postępowania i ciągłego zaangażowania w działalność religijną i szpiegowską". Wysłano go do więzienia w powiecie Luquan.

Liao: Jak długo przebywał w więzieniu?

Wang: Niezbyt długo. Widzi pan, jego przypadek był wyjątkowy; ojciec cieszył się wielkim prestiżem w etnicznym regionie Miao. Ponieważ zawsze pracował ciężko na polu i słuchał rozkazów, władze po dłuższym namyśle postanowiły potępić mego ojca publicznie, ale równocześnie uczynić z niego pozytywny wzór dla innych reakcjonistów. Byłaby to dobra propaganda dla maoistowskiego ruchu na rzecz reformy sposobu myślenia. Dlatego też wypuścili go po kilku miesiącach, a nawet nominowali go do komitetu przygotowującego Polityczną Konferencję Konsultacyjną w prefekturze Chuzhou. W 1956 roku jako chrześcijański pastor został członkiem delegacji składającej się z przedstawicieli różnych mniejszości narodowych w regionie.

Jego delegacja pojechała do Pekinu, by uczestniczyć w obchodach święta narodowego. Nawet przewodniczący Mao przyjął mojego ojca.

To spotkanie z przewodniczącym Mao wywołało tu spore poruszenie. „Dziennik Ludowy" zamieścił wiadomość o tym wydarzeniu, opatrzoną dużym zdjęciem. Jednak partia komunistyczna nigdy ojcu nie ufała, a on sam nie wierzył w sprawę komunizmu. Mimo przyjęcia przez przewodniczącego Mao ojciec stawał się celem ataków w każdej kampanii politycznej. Napisał wiele „wyznań" i był ofiarą licznych wieców potępienia.

Przed 1964 rokiem, podczas kampanii „ruchu kształcenia socjalistycznego", usunięto go w końcu ze wszystkich publicznych stanowisk i wyrzucono z szeregów rewolucjonistów. Znów wrócił na wieś, by pod nadzorem uprawiać ziemię. Myślę, że wiedział, jaki los czeka ostatecznie kogoś takiego jak on w społeczeństwie ateistycznym. Spodziewał się tej chwili. Nigdy się nie bał.

W 1966 roku rozpoczęła się rewolucja kulturalna. Rewolucyjne masy wpadły na nasze podwórze, splądrowały dom, wszystkich pobiły. Związali nas razem i prowadzili od wsi do wsi. Ojca zmuszono do noszenia wielkiej błazeńskiej czapki ze słowami „Szpieg i sługus imperialistów". Na wiecach potępienia, w których brało udział ponad dziesięć tysięcy osób, byliśmy celem gniewnych pięści. Opluwano nas tak, że mogliśmy niemal utonąć w tej ślinie. Jednak ile byśmy nie cierpieli, ojciec nigdy nie przestał się modlić. Tak to trwało przez trzy lata, aż rewolucyjni buntownicy zaczęli walczyć między sobą i nie mieli już czasu, by się nami zajmować. Codzienne prześladowania właściwie ustały. Ojciec odszukał kilku dawnych chrześcijan i zaczęli zbierać się nocami w jaskiniach w górach na wspólne modlitwy. Nie mieli ani jednego egzemplarza Biblii, ale wierzyli, że jest w ich sercach. Lud Miao jest biedny, ale prosty i uczciwy. Rząd zmuszał ich do okrzyków „Niech żyje przewodniczący Mao", ale nie mogło to złamać ich wiary w Boga. I tak ewangelia znów zaczęła się szerzyć w pobliskich wsiach. Ojciec nadal chrzcił ludzi. Wkrótce władze dowiedziały się o jego działalności. Jedenastego maja 1969 roku o świcie ojca aresztowano. Poprzedniej nocy był w górach, gdzie chrzcił. Ktoś musiał na niego donieść.

Liao: Czy był tam pan, gdy go zabrano?

Wang: Mieszkałem z żoną i dziećmi po jednej stronie drogi, a moi rodzice i młodszy brat naprzeciwko. Obudziły mnie wystrzały głośniejsze niż grzmoty. Brzmiało to, jakby góra się rozpękła. Zobaczyłem trzy ciężarówki z oślepiającymi światłami. Dom moich rodziców otoczony był tłumem ludzi.

Latarki, które mieli z sobą, wyglądały jak gwiazdy w letnią noc. Usłyszałem kolejny hałas, tym razem nie wystrzał, tylko jakby ktoś kopniakiem otwierał drzwi. Rozległy się głośne krzyki, ostrzejsze niż ostrze noża. Wrzeszczeli żołnierze, moja matka wrzeszczała na żołnierzy.

Odesłałem czworo moich dzieci z powrotem do domu i kazałem im tam zostać. Żonie i mnie nie udało się przedostać na drugą stronę ulicy, bo blokowali ją żołnierze, więc ruszyliśmy okrężną drogą. Zanim dotarliśmy na miejsce, ciężarówki odjechały; widziałem światła ich reflektorów skierowane ku górom.

Brat opowiedział mi, co się stało. Dwaj żołnierze strzegli wejścia na dziedziniec, podczas gdy dwaj inni, trzymający załadowane karabiny z nasadzonymi bagnetami, kopniakiem otworzyli drzwi na podwórze, dwukrotnie wystrzelili i wpadli do środka. Ostrzegli, że każdy, kto się będzie opierać, zostanie zastrzelony na miejscu. W domu znaleźli mego ojca w łóżku i zaczęli wrzeszczeć: „Wstawaj! Idziesz z nami!".

Ojciec zachował spokój. Nie mówiąc ani słowa, ubrał się, ale zanim zdołał wstać, żołnierze rzucili się naprzód, złapali go za ręce i wykręcili je. Ojciec spojrzał im w oczy i powiedział: „To niepotrzebne. Pójdę z wami". Potem podniósł ręce, prosząc, by założyli mu kajdanki. Matka krzyczała i nie chciała ojca puścić. Jeden z żołnierzy ją kopnął. Upadła i straciła przytomność.

Zanim dotarłem na miejsce, ojca już nie było. Matkę zaniesiono z powrotem do domu, a rodzina mego brata stała wokół niej. Straciła kontrolę nad fizjologią, spodnie miała przesiąknięte moczem. Gdy po chwili odzyskała przytomność, zaczęła prosić o wodę, powtarzając: „Chce mi się pić, chce mi się pić". Wypiła kilka miseczek i powiedziała, że czuje ból w piersiach. Ten ból dokuczał jej do końca życia.

Ojca trzymano w więzieniu w powiecie Wuding przez cztery lata. W grudniu 1973 roku został stracony.

Nigdy nie sporządzono formalnego aktu oskarżenia, ale postawiono mu pięć zarzutów: po pierwsze, że był służalcem

zagranicznych imperialistów i niepoprawnym szpiegiem, wykorzystującym duchowe opium do zatruwania umysłów obywateli; po drugie, że był kontrrewolucjonistą; po trzecie, że konsekwentnie bojkotował politykę rządu wobec religii; po czwarte, że był członkiem miejscowego gangu właścicieli ziemskich; po piąte, że przewodził dużej grupie złych właścicieli ziemskich i ich popleczników w zasadzce na komunistyczną Armię Czerwoną, gdy w latach trzydziestych przechodziła przez powiat Lufeng. Zginęło wówczas siedmiu komunistycznych żołnierzy. Między miejscowymi Miao a armią Mao w powiecie Lufeng rzeczywiście doszło do wymiany ognia. Ofiary były po obu stronach. Pole bitwy znajdowało się daleko stąd, a ojciec nie miał z tym nic wspólnego.

Liao: Czy wolno wam było odwiedzić ojca, zanim go zabito?

Wang: Mogliśmy odwiedzać obóz, w którym go trzymano, ale nie pozwalano nam się z nim zobaczyć. Wolno nam było zostawiać ubrania, ale nie żywność. Nie udzielano nam żadnych informacji o jego stanie fizycznym. Rewolucyjni żołnierze i wieśniacy nieustannie nas dręczyli: „Wasz ojciec był złym człowiekiem. Wierzył w Boga. Dlaczego się od niego nie odetniecie?". „Bóg nie jest zbawcą. Przewodniczący Mao i partia komunistyczna są zbawcami ludu. Czy wierzycie w Boga, czy w przewodniczącego Mao i partię komunistyczną?"

W końcu miejscowe władze zawiadomiły nas, że ojciec zostanie stracony. Ponieważ uznano go za „niepoprawnego kontrrewolucjonistę", przepisy mówiły, że nie będziemy mogli go zobaczyć. Nasza rodzina należy jednak do mniejszości etnicznej Miao, więc rząd zezwolił na ostatnie spotkanie „z rewolucyjnych przyczyn humanitarnych".

Dwudziestego ósmego grudnia 1973 roku, dzień przed egzekucją ojca, pod naszymi drzwiami pojawili się członkowie miejscowej milicji i poinformowali nas, że możemy go odwiedzić. Zebrało się kilkunastu członków naszej rodziny i razem pojechaliśmy. Dotarcie do obozu zajęło nam parę godzin. Musieliśmy przejść przez kilka punktów kontroli i minąć wysokie

mury, zanim w końcu zobaczyliśmy ojca. Posiwiał i wychudł jak szkielet. Gdy się poruszał, kajdany na jego nogach głośno dzwoniły. Szedł ku nam, kulejąc, a my wszyscy płakaliśmy.

Traktowano go tak, jak się traktuje morderców. Widząc, że cała nasza rodzina płacze i szlocha, jeden ze strażników wrzasnął na nas: „Przestańcie płakać! Pospieszcie się i kolejno porozmawiajcie z ojcem. Macie ograniczony czas". Kazał nam mówić po mandaryńsku, by rozumieć nasze rozmowy.

Moja matka skinęła ojcu głową i powiedziała: „To ty zawsze byłeś tym, który mówi. Najpierw wysłuchamy ciebie".

Ojciec uśmiechnął się. Wiedział, o co matce chodzi. „Nie potrafiłem zmienić swego sposobu myślenia – powiedział zwykłym tonem chrześcijańskiego pastora. – A skoro nie potrafię się zmienić, jestem za to odpowiedzialny i zasługuję na to, co otrzymuję. Wy nie idźcie w moje ślady. Słuchajcie tego, co wam mówi »góra«".

Liao: W sensie świeckim „góra" oznacza władze, ale zakładam, że pana ojciec miał na myśli Boga.

Wang: Tak właśnie. Chrześcijanie od razu wiedzieli, co ma na myśli. Potem powiedział: „Zajmijcie się pracą fizyczną, byście mieli co jeść i w co się ubrać. Zwracajcie uwagę na higienę osobistą i bądźcie zdrowi. Nie chorujcie".

Słowa ojca rozgrzały nam serca. Mówił nam kiedyś, że takich słów używali jego ojciec i zagraniczni misjonarze. Podszedłem do niego i wyszlochałem: „Tato, będziemy słuchać tego, co nam mówi »góra«, ale w domu zostało dużo dzieci, które cię potrzebują. Skoro nie możesz się zmienić i wrócić do domu, co dzieci poczną?". Chodziło mi tak naprawdę o to, że był wielebnym i przywódcą kościoła. Jego owieczki potrzebowały pasterza.

Wtedy moja matka wyjęła sześć jajek i dała je memu ojcu. Ojciec wyciągnął krwawiące ręce, dotknął głowy, piersi i ramion matki, a potem podzielił jajka, zatrzymując trzy i trzy oddając.

Liao: Trójca?

Wang: Zrozumieliśmy symbolikę. W tym momencie wszedł strażnik więzienny i oświadczył: „Wang Zhiming został skazany na śmierć. Egzekucja odbędzie się jutro po publicznym procesie. Ciałem przestępcy zajmie się rząd. Członkowie rodziny nie muszą się tym interesować".

Błagaliśmy strażnika, by wyjaśnił, dlaczego nie możemy zabrać jego ciała. Powiedział, że w odpowiedzi na liczne żądania rewolucyjnych mas rząd postanowił, że jego ciało zostanie rozerwane środkami wybuchowymi. To nas zaszokowało. Nie przestawaliśmy błagać. Obiecaliśmy, że nie zbudujemy nagrobka ani żadnego wyraźnego znaku, który mógłby przyciągać ludzi chcących oddać ojcu cześć. Strażnik odmówił. „Od wieków wiadomo, że wy, ludzie Miao, jesteście przesądni. Kto wie, co się zdarzy, jeśli pozwolimy waszej rodzinie go odpowiednio pochować!"

Ojca zabrano, ale my odmówiliśmy wyjścia, żądając prawa do otrzymania jego ciała. Urzędnik w więzieniu się wściekł i wezwał miejscową milicję, żeby nas usunęła. Nie stawialiśmy oporu. Było już ciemno, gdy dotarliśmy do domu. Czekało na nas kilkudziesięciu mieszkańców wsi. Płakali na wieść, że ciało mego ojca zostanie rozerwane wybuchem. Zostaliśmy w domu i modliliśmy się o bożą pomoc.

Wczesnym rankiem następnego dnia przyszedł do nas wiejski urzędnik i powiedział, byśmy pożyczyli wóz z koniem. Wyjaśnił, że możemy pojechać na publiczny sąd nad ojcem, na którym zgromadzi się dziesięć tysięcy ludzi. Potem wolno nam będzie, według jego słów, „przyciągnąć do domu ciało kontrrewolucjonisty".

Bóg musiał wysłuchać naszych modlitw – powiedzieliśmy sobie. Po drodze razem śpiewaliśmy cicho hymny. W miejscu, gdzie miał się odbyć wiec, stał tłum wykrzykujący slogany i machający czerwonymi flagami. Sądzono także dwóch innych przestępców, lecz ci nie mieli dostać wyroku śmierci. Sprowadzono ich tam dla „edukacji".

Gdy tylko przybyliśmy na miejsce, podeszło kilku uzbrojonych żołnierzy i wymierzyło w nas broń: „Nie ruszajcie się. Kucnijcie i obejmijcie głowy rękoma" – powiedzieli. Uczyniliśmy tak, zwróceni tyłem do podium, ale podczas wiecu, gdy żołnierze nie zwracali na nas uwagi, odwracaliśmy się szybko, żeby zerknąć między głowami ludzi, co się z ojcem dzieje. Na podium ustawiono dwa rzędy krzeseł. Siedzieli tam wszyscy członkowie władz powiatu. Mego ojca umieszczono pośrodku podium ze związanymi rękoma i nogami, a dwaj pozostali przestępcy stali po jego obu stronach. W kąciku ust ojciec miał krew. Dowiedzieliśmy się później, że strażnik przeciął mu bagnetem język, żeby nie mógł wznosić okrzyków ani głosić kazania. Kilku byłych członków Kościoła i działaczy weszło na scenę, żeby oskarżyć mego ojca o różne zbrodnie. Gdy to się skończyło, przywódca chwycił mikrofon i ogłosił: „Wang Zheming został skazany na śmierć; egzekucja zostanie przeprowadzona natychmiast". Żołnierze unieśli ojca w górę, by wszyscy mogli go zobaczyć. Tłum zaczął krzyczeć. Ludzie wymachiwali pięściami i wrzeszczeli, ale słyszałem tylko słowa: „Precz z...", „Rozwalić..." i „Niech żyje przewodniczący Mao". W tamtych czasach krążyło powiedzenie: „Gdy masy rewolucyjne się radują, kontrrewolucjoniści upadają".

Żołnierze założyli ojcu na plecy drewnianą tablicę – nazywano ją „znakiem śmierci". Sięgała mu do pasa, a wypisano na niej pięć przestępstw, które rzekomo popełnił. Widniało na niej także jego imię i nazwisko, przekreślone dużym czerwonym iksem. Żołnierze zanieśli go do ciężarówki i wepchnęli do środka z innymi więźniami, przyginając mu nisko głowę. Najpierw jechały dwa samochody, ciężarówka z moim ojcem za nimi, a potem kolejna ciężarówka z uzbrojonymi po zęby żołnierzami. Na dachu ostatniego samochodu zamontowano karabin maszynowy. Słyszałem, że ojca obwożono przez pół godziny po ulicach, zanim zabrano go na stare lotnisko, gdzie go zastrzelono.

Liao: A pan gdzie wtedy był?

Wang: Zostaliśmy na placu, gdzie wciąż trzymano nas na muszce. Gdy większość gapiów się rozeszła, żołnierze związali nas wszystkich długim sznurem i zaprowadzili do obozu, a tam do pokoju, w którym na podłodze leżały wszystkie rzeczy mego ojca. Oficer bezpieczeństwa publicznego powiedział: „To śmieci pozostawione przez kontrrewolucjonistę. Zabierzcie je do domu".

Liao: Czy nie mieliście zabrać ciała ojca?

Wang: Zrobili to dla nas przyjaciele ze wsi. Pożyczyli wóz, a gdy dotarli na stare lotnisko, wokół ciała ojca zgromadziło się już kilkuset gapiów, jak czarne wrony. Na straży stał żołnierz. Pozwolił im zabrać ciało, upewniwszy się najpierw, że przybysze są właściwymi ludźmi. Spotkaliśmy się z nimi w obozie. Wilgotną ściereczką otarłem ojcu twarz. Siostra przykryła go kołdrą. Była pierwsza po południu. Świeciło słońce, niebo było niebieskie. Gdy wyjeżdżaliśmy, droga była pusta, wóz jechał powoli, a my szliśmy po obu jego stronach. Pamiętam, że wokół nas latały i świergotały ptaki, a my mieliśmy wrażenie, że ojciec jest wciąż przy nas.

Czasami Miao zatrzymywali nasz wóz i żegnali się z nim. Niektórzy byli starzy, niektórzy młodzi, niektórych znaliśmy, inni byli obcy. Mała dziewczynka wdrapała się na wóz, odsunęła kołdrę i dotykała ciała mego ojca, od głowy po stopy. Uśmiechnęliśmy się na ten niewinny gest i na moment zapomnieliśmy o swoim smutku.

Zanim dotarliśmy do wsi, słońce zdążyło już zajść. Zanieśliśmy ciało ojca do pokoju. Miał pogodny wyraz twarzy, jakby spał. Władze wsi i członkowie milicji pilnowali domu, by nie pozwolić nikomu wejść i oddać ojcu czci, ale po północy, gdy strażnicy poszli do siebie spać, bracia chrześcijanie cicho pukali i wchodzili, by się z nami modlić.

Liao: Ile osób przyszło tej nocy?

Wang: Siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt. Wędrowali w milczeniu górskimi ścieżkami, bez latarek, żeby nikt ich nie

zauważył. Poruszali się cicho jak lunatycy. Koło drugiej nad ranem ostatni skończyli się modlić i odeszli. Ciało ojca było zimne i sztywne. On też odszedł.

O świcie poszedłem z dwoma braćmi i szwagrem na wzgórze, gdzie przez jakieś dwie godziny kopaliśmy grób. Po śniadaniu wnieśliśmy na wzgórze trumnę i umieściliśmy ją w dole. Potem wróciliśmy po ciało ojca.

Liao: Dlaczego osobno nieśliście ciało, a osobno trumnę? Czy to zwyczaj Miao?

Wang: Nie, nie. Nie mieliśmy wyboru. Brakowało nam sił, by nieść trumnę razem z ciałem. Przyjechała ciężarówka z żołnierzami, najwyraźniej po to, by zapobiec możliwemu buntowi ludu Miao. Żołnierze z naładowaną bronią rozproszyli się po całej wsi. Tylko członkom rodziny wolno było podejść do grobu ojca. Planowaliśmy krótki pogrzeb, ale z powodu żołnierzy mieszkańcy wsi mogli się tylko przyglądać z odległości jakichś stu metrów. Chcieliby się włączyć, ale nic nie mogli zrobić. Zazwyczaj trzeba ośmiu ludzi, żeby nieść trumnę, ale w mojej rodzinie było tylko czterech mężczyzn. Kilkakrotnie próbowaliśmy, ale nie potrafiliśmy jej unieść. Dlatego w końcu wyjęliśmy ciało z trumny. Żołnierze nie odjechali, póki nie skończyliśmy zakopywać grobu i nie wróciliśmy do domu.

Liao: Wiele rzeczy zmieniło się w 1974 roku. Przewodniczący Mao i premier Zhou Enlai chorowali i zbliżali się do końca swoich dni. Rewolucja kulturalna słabła.

Wang: Tak, czuliśmy, że nadchodzą zmiany. Nadzór polityczny nieco poluzowano, we wsi znów zaczęliśmy się modlić i prowadzić życie religijne. Dowiedziały się o tym miejscowe władze, które zwołały wszystkich Miao na zebranie. Jeden z członków kierownictwa nas pouczał: „Zaledwie parę miesięcy minęło od egzekucji tego kontrrewolucjonisty. Nie wyciągnęliście właściwych wniosków. Spotykacie się potajemnie, by prowadzić praktyki religijne. Wasze lekceważenie partii komunistycznej zostanie ukarane. Kto jest waszym przywódcą? Wystąp!".

Byłem pierwszym, który wystąpił. W 1976 roku zostałem formalnie aresztowany i wrzucony do tego samego więzienia, co przedtem ojciec. Funkcjonariusze bezpieczeństwa publicznego powiedzieli, że jestem bardziej niepoprawny niż on. Ojciec popełniał przestępstwa niezamierzenie, ponieważ przeszedł pranie mózgu w przedkomunistycznych czasach, ja natomiast działam z premedytacją. Przez pierwsze cztery miesiące siedziałem w karcerze, małej ciemnej celi z betonową podłogą. Były tam porcelanowa miseczka i pojemnik na mocz. Wszystko, co robiłem – jedzenie, picie, oddawanie moczu i kału – odbywało się na tej niewielkiej przestrzeni. Cały czas siedziałem w ciemności. Człowiek nie może żyć w ciemności. Roślina umiera bez światła słonecznego. Zwierzęta szaleją po dwóch tygodniach.

Liao: Ale człowiek może pozostać przy zdrowych zmysłach, ponieważ potrafi myśleć.

Wang: Miałem Boga w sercu. On mnie utrzymywał przy zdrowych zmysłach. Podczas rewolucji kulturalnej siedmiu członków mojej rodziny było prześladowanych, mój ojciec został stracony, mój drugi brat, Wang Zihua, dziekan Szpitala Ludowego w Etnicznej Autonomicznej Prefekturze Lisu Nujiang, stał się celem publicznego potępienia. Wang Zihua nie mógł znieść bicia i nieustających publicznych oskarżeń. Popełnił samobójstwo, rzucając się do rzeki Saluin. Mój starszy brat, Wang Zirong, przeszedł tę samą drogę, co ja. Aresztowano nas równocześnie, obu skazano na osiem lat i zwolniono w tym samym czasie. Mnie wysłano do obozu pracy w powiecie Yao-an, mój brat zaś pozostał w powiecie Luquan. Aresztowano także dwie siostry mojej matki i jedną z sióstr ojca. Skazano je na odpowiednio pięć lat i trzy lata za organizowanie tajnych zgromadzeń religijnych i uczestnictwo w nich.

W 1979 roku Chiny rozluźniły kontrolę nad religią i wszystkich nas zwolniono przedwcześnie, po odsiedzeniu trzech lat. Na początku 1980 roku wydawało się, że zaczyna wiać pomyślniejszy wiatr. Rząd przysłał wiadomość, że zostałem wybrany

na deputowanego do Kongresu Ludowego powiatu Wuding, miejscowej legislatury. Nie mogłem odmówić nominacji. Wyciągnąłem swoje „świadectwo skrócenia wyroku" i zaniosłem do przewodniczącego lokalnego Kongresu Ludowego. Wskazałem słowa wydrukowane na dokumencie: „Przestępca przyznał się do zbrodni i otrzymuje przedterminowe zwolnienie za dobre zachowanie". Zapytałem: „Jak były przestępca może się nadawać na prawodawcę?". Przewodniczący zrobił się czerwony na twarzy i powiedział: „Co za fuszerka. Zajmę się tym". Parę dni później otrzymałem nowy dokument, stwierdzający, że oczyszczono mnie ze wszystkich zarzutów. Imię mojego ojca także oczyszczono, oficjalnie odwołując wyrok. Wtedy mogliśmy zbudować mu grobowiec.

Liao: To chyba jedyny znany pomnik upamiętniający chrześcijanina zabitego podczas rewolucji kulturalnej.

Wang: W 1996 roku Kościół odprawił tu za mego ojca wielkie nabożeństwo żałobne, największe w historii; sam chór liczył dwa tysiące osób.

Liao: A w 1998 roku Opactwo Westminsterskie w Londynie wybrało pana ojca do grona dziesięciu dwudziestowiecznych męczenników chrześcijańskich, którym oddano cześć. Proszę mi o tym opowiedzieć.

Wang: Uhonorowano go posągiem nad Wielką Bramą Zachodnią Opactwa Westminsterskiego. Dowiedziałem się o tym dopiero później. Ktoś nam przysłał gruby plik dokumentów. Wszystkie po angielsku. Ponieważ skończyłem tylko szkołę średnią – nie pozwolono mi się dalej uczyć z powodu „kontrrewolucyjnych działań" ojca – nie zrozumiałem ani słowa. W grudniu 2002 roku syn kuzyna pojechał do Londynu i zrobił zdjęcia posągu mego ojca na murze Opactwa Westminsterskiego. Oglądając je, wszyscy płakaliśmy. Ojciec walczył z diabłami w tamtych mrocznych czasach i zatriumfował.

Liao: Czy czuje pan gorycz, myśląc o przeszłości?

Wang: Nie, nie czuję goryczy. Jako chrześcijanie wybaczamy grzesznikom i podążamy dalej. Jesteśmy wdzięczni za to, co

mamy dzisiaj. Tak wiele pozostało do zrobienia. W połowie lat sześćdziesiątych, gdy ojciec był kaznodzieją, w powiecie Wuding było 2795 chrześcijan. W 1980 roku, gdy został „zrehabilitowany" przez partię komunistyczną, liczba chrześcijan w powiecie Wuding wzrosła do dwunastu tysięcy. Teraz jest ich około trzydziestu tysięcy. W naszym współczesnym społeczeństwie w umysłach ludzkich panuje chaos i zamęt. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy słów Dobrej Nowiny.

Starszy zboru (II)

W ostatni dzień 2005 roku doktor Sun i ja wyruszyliśmy autobusem z powiatu Luquan do powiatu Zehei. Właśnie rozwiała się gęsta mgła, a bogata zieleń wzgórz koiła wzrok. Autobus jechał powoli wąską, krętą drogą, biegnącą przez wysokie góry, taką, która wije się między głęboką przepaścią po jednej a stromymi skałami po drugiej stronie. Doktor Sun opowiadał, że zaledwie przed kilkoma tygodniami zsunął się tu w przepaść autobus z dwudziestoma pasażerami, ich torbami i zwierzętami.

Daleko, na tle pokrytej śniegiem góry Jiaozi, widniał czerwony punkcik. W miarę jak się zbliżaliśmy, punkcik zamieniał się w krzyż, chrześcijański krzyż, wieńczący biały pięciopiętrowy kościół, górujący nad skądinąd przygnębiającym miasteczkiem w powiecie Zehei.

– Mieszka tu dużo Yi i Miao – powiedział doktor Sun, gdy wędrowaliśmy pustymi ulicami, obserwowani przez mieszkańców siedzących lub stojących pod okapami pozornie identycznych domków. – Wielu z nich jest wyznawcami Jezusa.

Doktor Sun zaprowadził mnie do jednego z dwóch sklepów w przyziemiu kościoła – była to apteka, którą pomógł założyć, by służyła mieszkańcom – i dokądś zatelefonował. Po kilku minutach pod kościół podjechał motocykl, a jego kierowca, opalony młodzieniec, zabrał nasze torby i umocował na tylnym siodełku.

Ruszyliśmy za nim do górnej wioski. Doktor Sun wyjaśnił, że środkowa wioska składa się głównie ze sklepów i drobnych firm; większość domów mieszkalnych znajduje się we wsiach górnej i dolnej, do których przylegały pola uprawne.

Szliśmy ścieżkami z czerwonej gliny. Na starym murze widniał napis „Wszystkie grupy etniczne traktowane są tak samo". Powiedziano mi, że to hasło wypisała w latach trzydziestych armia komunistyczna, uciekająca wówczas przed wojskami nacjonalistów. Skręciliśmy na dziedziniec, gdzie powitało nas stare małżeństwo o twarzach rozjaśnionych uśmiechem. Mężczyzna, Zhang Yingrong, był najbardziej szanowanym starszym chrześcijańskiego zboru w powiecie Zehei, a kobieta, Li Guizhi, była jego żoną.

Zhang Yingrong: Urodziłem się w 1922 roku, ale nie znam dokładnej daty, ponieważ straciłem matkę w wieku pięciu lat, a ojciec nie pamiętał, kiedy przyszedłem na świat. Był starszym zboru i poświęcił życie Panu. Zostałem chrześcijaninem w młodym wieku, ale nie rozumiałem właściwie, co to oznacza; czytałem Biblię, bo tak życzyli sobie rodzice. Gdy miałem szesnaście lat, w okolicy pojawiło się dwóch zachodnich chrześcijańskich kaznodziejów. Chodziłem na nabożeństwa i razem z kolegami wziąłem udział w trzytygodniowym obozie biblijnym. Zmieniło to moje serce. Wyznałem Bogu popełnione grzechy i oddałem się wierze chrześcijańskiej. Mój kościół w Salaowu zarekomendował mnie do szkoły biblijnej, do której chodzili uczniowie ze wszystkich grup etnicznych w regionie – Han, Yi, Lisu, Gan i Dai. Uczyłem się tam przez trzy lata.

Liao Yiwu: Odwiedziliśmy siedzibę Południowo-Zachodniego Seminarium Teologicznego, założoną przez dwóch misjonarzy, którzy zmarli tam ponad pół wieku temu. Czy pan ich znał?

Zhang: Tak. Jeden z nich przyjechał z Australii. Miał wówczas pięćdziesiąt parę lat. Po chińsku nazywał się Zhang Erchang. Jego żona była Kanadyjką. Nie mogę sobie przypomnieć jej

imienia. Drugim założycielem był Zheng Kaiyuan z Wielkiej Brytanii. Przedtem prowadził szkołę religijną w prowincji Syczuan, ale po inwazji Japonii na północne Chiny przyjechał do Junnanu i pomógł założyć seminarium. Kilka miesięcy później seminarium przeniesiono do Salaowu. Gdy ukończyłem szkołę biblijną, znalazłem się w pierwszej grupie studentów przyjętych do tego seminarium. Podczas letnich wakacji jeździłem z moimi nauczycielami, by nauczyć się wygłaszania kazań.

Nasz powiat leżał daleko, był zapóźniony, a etnicznie dość zróżnicowany. W tamtych czasach mieliśmy tylko górskie ścieżki, a jedynymi środkami transportu były konie, osły i ludzkie nogi. Dotarcie do Kunmingu zajmowało dwadzieścia dni; teraz można tam dojechać autobusem w dziesięć godzin.

Chciałem zostać w Junnanie, ale kilka dni przed ukończeniem przeze mnie nauki do seminarium przyszedł list od kaznodziei w powiecie Zhaojue w prowincji Syczuan. Kaznodzieja ten był lekarzem z Londynu i zamierzał założyć tam szkołę medyczną, jednak mówił wyłącznie po mandaryńsku, a powiat znajdował się w sercu regionu Yi. Język i kultura Yi okazały się nie lada wyzwaniem dla brytyjskiego doktora.

Seminarium wysłało mnie i jeszcze jednego studenta. Pracowaliśmy jako tłumacze i uczyliśmy doktora mówić językiem Yi. Wróciłem do domu na Boże Narodzenie w 1950 roku.

Liao: Chiny znajdowały się już wtedy pod rządami komunistów.

Zhang: Komuniści zajęli Junnan tuż przed Bożym Narodzeniem w 1949 roku. Natomiast w Zhaojue władzę wciąż sprawowali nacjonaliści. Jako chrześcijanin nie zwracałem zbytniej uwagi na politykę; niezależnie od tego, kto rządzi Chinami, ludziom potrzebne jest przewodnictwo ewangelii. Pod koniec 1950 roku partia komunistyczna była zbyt zajęta zmianą władzy, by przejmować się religią. Właśnie rozpoczęto ruch na rzecz reformy rolnej, musiała więc zająć się zbrojnymi powstaniami miejscowych ugrupowań konspiracyjnych i właścicieli ziemskich. Zbliżałem się do trzydziestki, miałem już żonę. Niestety, moją rodzinę uznano za posiadaczy.

Liao: Czy pana rodzina była bogata?

Zhang: W mojej rodzinie było pięciu chłopców i dwie dziewczynki. Ja byłem drugim dzieckiem. Mój starszy brat był szefem powiatu pod rządami nacjonalistów, ale nie posiadał wiele ziemi. Ja, jako seminarzysta, niczego nie posiadałem.

Liao: To dlaczego uznano pana za właściciela ziemskiego?

Zhang: Z kilku powodów. W tamtych czasach w powiecie nie było wielu chrześcijan. Ci z nas, którzy byli chrześcijanami, przeważnie odziedziczyli wiarę po rodzicach. Nasza rodzina się więc wyróżniała. Po drugie, seminarium wysłało mnie do powiatu Zhaojue, który znajdował się pod władzą armii nacjonalistycznej. Komuniści podejrzewali, że zagraniczni imperialiści zlecili mi tajną misję. Po trzecie, przeszłość mego najstarszego brata rzutowała na całą rodzinę.

Liao: I co się działo dalej?

Zhang: Gdy rozpoczął się ruch na rzecz reformy rolnej, wciąż mieszkałem w seminarium. Gdy tylko moja rodzina została sklasyfikowana, zaciągnięto mnie z powrotem do wsi i zamknięto z kilkudziesięcioma innymi „posiadaczami". Początkowo zadaniem partii komunistycznej była konfiskata i redystrybucja ziemi i innego majątku. Nie stosowano właściwie przemocy. Wiele bogatych rodzin schowało ubrania i żywność, sądząc, że po zakończeniu kampanii wszystko to wykopią. Tymczasem kampania stawała się coraz brutalniejsza. Znaleziono schowane ubrania i żywność, a ci właściciele, którzy je ukryli, zostali surowo ukarani. Gdy kazano mi oddać pieniądze, mogłem szczerze powiedzieć, że żadnych nie posiadam. Gdy komuniści próbowali skonfiskować mój majątek, nic im nie mogłem dać. Wszędzie szukali. Byli wściekli. Udali się do seminarium i przynieśli to, co do mnie należało, czyli starą kołdrę. Nie miałem nawet pościeli. Funkcjonariusze naprawdę się zdenerwowali i nieustannie mnie przeklinali. Jak właściciel ziemski może być tak biedny? Nie wierzyli mi. Kazali mi klęczeć na ziemi przez trzy dni i noce. Pilnowali mnie miejscowi milicjanci z wielkimi pałkami i bili, ilekroć zasypiałem.

Liao: Czy przebywał pan wtedy w więzieniu?

Zhang: Nie, to wszystko działo się na dworze. Potłukli trochę dachówek i cegieł i kazali mi na nich klęczeć. Cały czas lał deszcz. Byłem przemoczony, trząsłem się i klęczałem w kałuży, która sięgała mi po uda. Zamknąłem oczy i modliłem się.

Nie byłem jedynym, który klęczał na tym podwórzu. Było nas tam kilkunastu. Zmuszano nas do wyznania naszych „zbrodni". Miałem im powiedzieć, co robiłem w Syczuanie, jaki był ukryty motyw mego wyjazdu, czy starałem się tam porozumieć z armią nacjonalistyczną. Zanim pod koniec lat siedemdziesiątych rząd odwołał wyrok przeciwko mnie, napisałem kilkaset wyznań winy.

[*Zhang przestał mówić, albo zbyt zmęczony, albo niechętny, by ciągnąć dalej; opowieść kontynuuje jego żona*].

Li Guizhi: Gdy mego męża zabrano, pojechałam do Salaowu, by zamieszkać z rodzicami. Ponieważ moja rodzina nie posiadała ziemi, a rodzice nie byli związani ani z rządem nacjonalistycznym, ani z Kościołem, prześladowania nas nie dotknęły; sklasyfikowano nas jako należących do rewolucyjnych mas. Całymi dniami tylko płakałam. Pewnego dnia ktoś przyszedł i powiedział mi, że mój mąż umiera. W rozpaczy pośpieszyłam do Zehei, leżącego w odległości czterdziestu pięciu kilometrów. Zobaczyłam, że mąż klęczy w deszczu jak jakieś widmo. Przykucnęłam przed nim, ale mnie nie rozpoznał. Przestraszyłam się, że jego dusza już uleciała. Zaczął reagować, dopiero gdy kilkakrotnie zawołałam go po imieniu. Przyniosłam z sobą gotowane kartofle i nakarmiłam go. Przyszedł jakiś człowiek z milicji i nawrzeszczał na nas. Zignorowałam go i dalej karmiłam męża. Ten człowiek uderzył nas pałką. Kartofel upadł na ziemię. To było okropne. Mąż klęczał tam przez trzy dni i trzy noce bez jedzenia. W końcu mnie wyrzucili. Gdy dotarłam do domu, czekała już tam straż złożona z członków Stowarzyszenia Biednych Chłopów. Od tej pory nie pozwalano mi wychodzić.

Pod koniec kampanii mój mąż przyczołgał się do domu. Tamtej nocy nie byłam w stanie zasnąć i tuż przed świtem usłyszałam na dworze dziwne dźwięki, jakby drapanie. Gdy otworzyłam drzwi, jakaś pokryta błotem postać leżała u moich stóp i wyciągała ręce. To był mój mąż. Nie miał siły nawet jęczeć. Wciągnęłam go do środka, owinęłam kołdrą. Po kilku godzinach pojawiła się lokalna milicja. Chcieli go zaciągnąć na wiec potępienia. Gdy zdali sobie sprawę, że nie jest w stanie się ruszyć, znaleźli deskę i wynieśli go na niej, umieścili na podwyższeniu i zmusili do otwarcia oczu.

Zhang: Było tam jakieś trzy, może cztery tysiące ludzi. Nie potrafiłem zrobić żadnego ruchu. Na scenie poza mną znajdowało się jeszcze dziesięciu oskarżonych, wszyscy związani sznurami. Był tam także mój najstarszy brat; dwaj milicjanci wykręcali mu do tyłu ręce, tak że musiał pochylać się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Leżałem na desce, patrząc do góry. Przestało padać. Przez głośne krzyki słyszałem szum pobliskiej rzeki. Chmury się rozpierzchły i pojawiło się czyste, niebieskie niebo. Myślałem: ludzie żyli w harmonii pod tym samym niebem, w tej samej wsi przez wiele lat. Dlaczego teraz tak się zachowują? Dlaczego się nawzajem nienawidzą i torturują? Czy o to właśnie chodziło w komunistycznej rewolucji? Wszyscy „wrogowie klasowi" zostali pobici; mieli spuchnięte twarze i poranione głowy. Bicie nie zadowoliło prześladowców; zaczęli zabijać. Po tym wiecu wszyscy dawni urzędnicy starego reżymu zostali straceni, łącznie z moim bratem. Ich dzieci skazano na dziesięć czy dwadzieścia lat więzienia. Niektórzy postradali tam zmysły lub umarli.

Nigdy nie zajmowałem się polityką, nigdy nikogo nie wyzyskiwałem, pozwolili mi więc żyć. Na skutek tortur na resztę życia pozostałem niepełnosprawny. Kazano mi pracować pod nadzorem rewolucyjnych mas. Oczywiście nie wolno mi było głosić ewangelii. W 1958 roku, podczas kampanii Wielkiego Skoku, zesłano mnie do obozu pracy. Mniej więcej w tym czasie nasza komuna budowała tamę. Moim zadaniem

było kopanie gliny. Potem przydzielono mnie do innej grupy reedukacyjnej, z którą przez dziesięć miesięcy pracowałem przy piecu do wypalania, ładując węgiel. Nasza grupa liczyła dwustu pięćdziesięciu członków; w ciągu miesiąca jedna trzecia zachorowała, bo brakowało żywności. Codziennie jedliśmy kleik ryżowy i nie mieliśmy sił do ciężkiej pracy. Ja zresztą nigdy nie byłem silny.

To było w lecie 1959 roku, gdy panował powszechny głód. Zjedliśmy wszystko – korę z drzew, trawę i liście, takie rzeczy, których nawet zwierzęta nie chciały tknąć. Wiele osób zmarło na skutek zatrucia pokarmowego. Pewnego dnia trzy osoby z mojej grupy upadły martwe przy drodze. Przechodnie zdarli z nich ubrania. Martwi mieli odsłonięte zęby i wystawione języki, jakby wciąż byli głodni. Musieliśmy głęboko zakopać ich ciała, bo inaczej znów by ich wyciągnięto. Ludzie rzucali się na wszystko.

[*Zhang milknie, by odpocząć*].

Li Guizhi: Gdy zabrano go do obozu pracy, nasza najstarsza córka miała zaledwie trzy miesiące. Cały dzień płakała z głodu. Osiem miesięcy później umarła, a ja wciąż cierpiałam z powodu tej straty, gdy kuzyn przyniósł mi wiadomość: „Twój mąż ginie z głodu. Lepiej idź go uratować". Gdyby umarł, chyba też nie zdołałabym dalej żyć. Więc następnego ranka przed świtem czekałam pod domem naczelnika wsi. Gdy się obudził, weszłam i uklękłam przed nim, błagając, by pożyczył mi trochę zboża, żebym mogła zanieść jedzenie mężowi. Dał mi pięć kilogramów i trzy juany na jadący do obozu autobus. W obozie wszędzie leżały trupy. W jednej chwili widziało się kogoś, jak stoi przy piecu węglowym; wystarczyło się odwrócić, a w następnej chwili ta osoba leżała na ziemi martwa. Mego męża nie było tam, gdzie sypiał, dlatego dałam komuś niewielką część tej żywności, którą z sobą przywiozłam, żeby pomógł mi go odszukać. Znalazłam męża zwiniętego na kupie zgniłej trawy. Musiałam kilkakrotnie zawołać go po imieniu i potrząsnąć nim, dopiero wtedy otworzył oczy. Zjadł trochę

i poczuł się na tyle silniejszy, że wstał. Zanim odeszłam, schował resztę jedzenia w skrytce. Na jesieni 1959 roku obóz rozwiązano, więc powrócił do domu. Wkrótce potem dotknął go paraliż. Chorował na reumatyzm. Przez trzy miesiące nie był w stanie się ruszyć. Ponieważ nie mógł chodzić do pracy w polu, obcięto nam przydział żywności i jego stan się pogorszył. Znów poszłam błagać naczelnika wsi o więcej jedzenia. Naczelnik przedyskutował to z innymi urzędnikami we wsi i w końcu dali nam trochę pszenicy, z której ugotowałam kaszę, zmieszałam z dzikimi warzywami i tym codziennie męża karmiłam. To była nieustająca walka.

Pewnego dnia przez naszą wieś przechodził lekarz zajmujący się ziołolecznictwem i usłyszał o chorobie mego męża. Kazał mi wykopać na podwórzu dół i wypełnić go suchymi liśćmi morwy. Potem spaliliśmy liście, a na nich postawiliśmy mego męża, podpierając go tak, że dym wysuszał jego ciało przez cały dzień, od świtu do zmroku. Wilgoć stopniowo wyciekała mu z ciała. Następnego dnia wypełniliśmy dół suchymi igłami sosnowymi i zrobiliśmy to samo. I wie pan co? To rzeczywiście zadziałało. Wkrótce mąż mógł wstać, choć tylko na parę minut. Potem przyjaciel dał nam butelkę Junnan Baiyao*, lekarstwa, które skutecznie pomaga na reumatyzm. W tamtych czasach bardzo trudno było je zdobyć. Dzięki Bogu po skończeniu kuracji mąż stopniowo odzyskał zdrowie. Wciąż nie może ciężko pracować na polu, ale porusza się bez problemów.

Zhang: Nauczyłem się także, jak przeżyć. Gdy wzywali mnie na wiec potępienia, stawiałem się na czas. Zanim zmusili mnie do pochylenia się, pochylałem się sam. Przeżyłem kampanie „odrzucania czterech staroci"** i „edukacji socjalistycznej". Najstraszliwszą kampanią była rewolucja kulturalna. Mam tylko jeden ząb. Resztę wybili mi czerwonogwardziści.

* Junnan Baiyao – „biały proszek z Junnanu", chińskie lekarstwo ziołowe wspomagające krążenie, przyspieszające gojenie się ran i działające przeciwbólowo.

** Cztery starocie – stare idee, stara kultura, stare zwyczaje i stare nawyki.

Liao: Co się działo po zakończeniu rewolucji kulturalnej?

Zhang: Przed 1982 rokiem nikt nie śmiał otwarcie się modlić. Gdyby nas złapano, znów musielibyśmy przejść przez te same wiece potępienia. Jednak chrześcijaństwo szerzyło się stopniowo wśród wieśniaków. W minionych latach rozluźniono przepisy i nastąpiło odrodzenie. Ludzie tłumnie przychodzili do Boga, jedna wieś za drugą. W dawnych czasach żarliwie popierali komunizm. Teraz nikt w niego nie wierzy. Zdarza się, że członkowie partii komunistycznej przychodzą się modlić do Boga i wyznawać grzechy. Niektórzy nawet dali pieniądze na naprawę kościoła. W przeszłości doświadczyłem wielu cierpień. Ilekroć wpadałem w rozpacz, modliłem się i prosiłem Boga o wskazówki. Przeżyłem pięćdziesiąt pięć lat cierpień.

W ciągu całego życia czterokrotnie byłem poddany próbie. Pierwsza nadeszła, gdy miałem osiem lat. Pasłem kozy w ciepły jesienny dzień i zasnąłem. Gdy się przebudziłem, zobaczyłem, że wszystkie kozy uciekły. W strachu, że ojciec mnie zbeszta, wybuchnąłem płaczem, co zwabiło dwa wilki, które przybiegły, gotowe mnie chwycić. Nie czułem, że są tuż obok, po prostu wciąż płakałem. Wilki to zajadłe, ale podejrzliwe zwierzęta. Mój nieprzerwany płacz musiał je zaniepokoić, stały więc, nie ruszając się. Potem nadszedł mój ojciec; wiedział, jak sobie radzić z wilkami. Złożył dłonie w trąbkę i zawył. Jego wycie usłyszały psy pasterskie, które zaczęły szczekać. Wilki się przestraszyły i niechętnie odbiegły. Tego wieczoru odnaleźliśmy wszystkie zagubione kozy. Gdy ludzie usłyszeli tę historię, uznali, że Bóg mnie ochronił.

Gdy miałem siedemnaście lat, zachorowałem na ospę, nie zdając sobie z tego sprawy. Pewnego dnia, gdy wracałem do domu, ogarnęła mnie gorączka; miałem wrażenie, że przez pory mego ciała przeciska się wiele kiełków fasoli. Znalazłem w pobliżu strumyczek i podczołgałem się do niego, żeby napić się wody. Wkrótce zemdlałem. Gdy doszedłem do siebie, zauważyłem, że na twarzy i ciele pojawiły mi się czerwone kropki, jak robaki. Przez następne półtora dnia na zmianę

traciłem i odzyskiwałem przytomność. Potem znalazł mnie pies i zaczął szczekać, przyciągając uwagę przechodniów, którzy zanieśli mnie do domu lekarza. Doktor uratował mi życie. Gdyby Bóg mnie nie strzegł, pies by mnie nie znalazł.

Potem przeżyłem brutalne bicie i ozdrowiałem podczas ruchu na rzecz reformy rolnej, a żona uratowała mi życie, gdy umierałem w obozie pracy w 1959 roku.

Liao: Ma pan dobrą żonę.

Zhang: Gdy wyszła za mnie, miała tylko siedemnaście lat, była piękną dziewczyną. Wyrosła w rodzinie proletariackiej. W tamtym czasie mogła mieć każdego mężczyznę, jakiego by zechciała. Zobaczyłem ją, gdy razem z bratem poszedłem głosić Słowo Boże w jej wsi. Poprosiłem swata, by nas poznał. Na szczęście powiedziała tak. Moja żona wiele dla mnie wycierpiała. W tej chwili czuje się stosunkowo dobrze, ale od siedmiu lat choruje na reumatyzm i raka. Nie ma nadziei na wyzdrowienie. Choć jestem bezsilny i nie mogę dzielić z nią cierpienia, mam nadzieję, że miłość Boga przynosi jej pociechę. Bez żony już dawno bym umarł. Teraz jest coraz słabsza i słabsza. Ja też się starzeję. Nie potrafię ulżyć jej w bólu. To zapewne ostatnia przeszkoda, jaką mamy w życiu do pokonania.

Epilog

Starszy zboru Zhang zmarł spokojnie w domu w dzień chińskiego Święta Księżyca w 2007 roku. Miał osiemdziesiąt pięć lat.

Pastor z ludu Yi

Scena przypominała czasy Mao, gdy to każdego wieczoru członkowie naszej komuny na syczuańskiej wsi zbierali się w jednym z domów z dziedzińcem i siadali wokół lamp gazowych na sesję nauk politycznych, sesję potępiania właścicieli ziemskich i kontrrewolucjonistów, albo żeby wysłuchać rocznych wyników finansowych czy kłócić się o rozdział zboża. Ponieważ wszyscy mieliśmy za sobą cały dzień pracy w polu, byliśmy zmęczeni i wielu z nas zasypiało.

To zgromadzenie było inne; przede wszystkim obecni byli uważni, skupieni, chętni, nawet entuzjastyczni. Miejscowy kierowca, którego zatrudniłem w charakterze przewodnika, wyjaśnił mi, że wezmę udział w Eucharystii, na którą przybędą przywódcy religijni ze wsi leżących w promieniu dwustu kilometrów. To nabożeństwo odbywało się raz na miesiąc, za każdym razem w innej wsi, a pastorzy i starsi wracali potem do domu, żeby udzielić komunii świętej swoim kongregacjom.

Kierowca powiedział, że goszczenie takiego nabożeństwa to ogromny honor. W regionie Sayingpan większość wsi rywalizowała o ten zaszczyt. Gdy nadchodziła kolej danej miejscowości, gospodarze urządzali z tej okazji wielkie święto. Spytałem z ciekawości, dlaczego nabożeństwo nie jest odprawiane w kaplicy.

– W drodze tutaj widziałem kilka białych kościołów – dodałem.

– Zazwyczaj odprawia się nabożeństwa w poszczególnych domach – wyjaśnił. – Gospodarz zabija wówczas świnie i kurczaki, by przygotować bankiet dla wszystkich braci i sióstr uczestniczących w nabożeństwie.

Jedzenie będzie jutro, po porannych modlitwach. Dziś wieczór uroczystość ma bardziej standardowy charakter.

Ludzie zaczynali siadać. Znalazłem sobie miejsce w kącie, z dala od wzniesionego przed domem prowizorycznego podium. Ledwie zdążyłem opaść na krzesło, a już przede mnie wysunęły się trzy pary rąk, jedna trzymająca filiżankę herbaty, a dwie pozostałe – miseczki wypełnione po brzegi cukierkami i suszonymi, czarnymi pestkami arbuza. Zawahałem się, ale po chwili przyjąłem je z wdzięcznością.

Tłum gęstniał, kolana dotykały kolan, powietrze zrobiło się ciężkie od zapachu tytoniu i czosnku. Na czystym niebie nad nami pojawiły się gwiazdy i księżyc na nowiu. Nabożeństwo najwyraźniej już się rozpoczęło, nie rozumiałem jednak języka, a przez tłum głów przede mną nie widziałem też, kto mówi. O ile mogłem się zorientować, byłem jedynym Hanem; wszyscy pozostali należeli do Yi, niewielkiej, odrębnej grupy etnicznej, liczącej około ośmiu milionów ludzi. Nie znałem ich obyczajów. Równie dobrze mogłem znajdować się w najgłębszej, najczarniejszej Afryce, a nie w zakątku własnego kraju. Mimo to czułem się bezpiecznie, choć samotnie. Głos ze sceny rozlegał się przez półtorej godziny bez przerwy. Nikt nie przerywał, nikt nie recytował ani nie śpiewał.

Zrobiłem zdjęcie aparatem z fleszem kapłanowi na scenie i głęboko zażenowany wymknąłem się z dziedzińca. Wpadłem na mego kierowcę. Najpierw próbował mi wyjaśnić sens padających z podwyższenia słów, lecz przerwał w połowie zdania, ujął mnie za ramię i podprowadził do siwego mężczyzny, który właśnie wynurzył się ze wspólnej toalety.

– To wielebny Zhang Mao-en – powiedział kierowca. – Człowiek, z którym chce pan przeprowadzić wywiad.

Zhang był najwyższym rangą duchownym w regionie Sayingpan; to on prowadził nabożeństwo.

Wymieniliśmy pośpiesznie powitania. Usilnie prosiłem o wywiad, ale nie od razu się zgodził. Wydawał się zaintrygowany faktem, że pracuję nad książką o chrześcijanach w Chinach.

– Zobaczę, co się da zrobić – powiedział. – Pewnie wszystko skończy się późno. Czy to panu nie przeszkadza?

– To nie problem. – Pokręciłem głową. – Mogę zaczekać.

– Nie musi pan tu czekać – stwierdził. – Ma pan za sobą długi dzień. Proszę pójść do mnie do domu i tam przenocować. Możemy porozmawiać rano. O szóstej? Pański kierowca wie, gdzie mieszkam.

Przyjąłem zaproszenie. Gdy dotarliśmy do domu Zhanga, dochodziła już druga w nocy. Jego żona nalała gorącej wody do dwóch drewnianych misek, byśmy mogli wymoczyć nogi. Potem, oświetlając drogę lampką oliwną, zaprowadziła nas do sypialni na piętrze, gdzie wyczerpany padłem w ubraniu na twarde łóżko.

Obudziło mnie szczekanie psów; otworzyłem oczy i zobaczyłem, że już zrobiło się widno. Zhanga wciąż nie było, wróciliśmy więc i znaleźliśmy go w domu rolnika, gdzie razem z pomocnikiem stał przy piecu w ciemnej, przypominającej jaskinię kuchni. Nie spał niemal przez całą noc. Przygotowywali pudełka z cieniutkimi hostiami i butelki czerwonego wina, które pastorzy mieli zabrać ze sobą, by celebrować Eucharystię.

Usiedliśmy przy piecu. Jego pomocnik, członek Kościoła od niedawna, wycofał się w kąt pełnego sadzy pomieszczenia, a Zhang zamknął na parę minut oczy, po czym dał znać, że jest gotów na moje pytania. Był wczesny ranek 6 sierpnia 2006 roku.

Liao Yiwu: Kiedy został pan chrześcijaninem?

Zhang Mao-en: Kiedy przebywałem jeszcze w łonie matki.

Liao: Jak to?

Zhang: Moja rodzina wyznaje chrześcijaństwo od dziewięćdziesięciu dwóch lat. Gdyby żył jeszcze mój najstarszy brat Zhang Run-en, też miałby dziewięćdziesiąt dwa lata. Ojciec

się nawrócił, gdy urodził się Run-en, i ochrzcił go. Jesteśmy jedną z najstarszych chrześcijańskich rodzin w prowincji Junnan. Jeszcze wcześniej uwierzyła inna rodzina Yi, po drugiej stronie rzeki Pudu. Na początku minionego wieku przez rzekę Pudu prowadziły uczęszczane szlaki handlowe, a kaznodzieje podążali konno za kupcami, przynosząc ewangelię do Degi. Z Degi trafiła do regionów górskich – Shengfy, Zehei, Malitangu i Salaowu.

Na początku trzeciej dekady dwudziestego wieku w tych regionach panowała bieda. Przed pojawieniem się Kościoła nie było tu szkół. Po najeździe Japonii na Chiny w 1937 roku przybył tu australijski misjonarz i założył seminarium. Nie znam jego angielskiego nazwiska, ale po chińsku nazywał się Zhang Erchang. Gdy się urodziłem, w 1939 roku, mieszkało tu wielu chrześcijan – moi rodzice i rodzeństwo, rodzice moich rodziców, bliżsi i dalsi krewni, inni mieszkańcy wsi, biedni i bogaci. Ledwie nauczyłem się mówić, zacząłem zapamiętywać proste hymny. Pierwszą książką, jaką dostałem od rodziców, była Biblia. W odległych wioskach zamieszkanych przez Yi wielu ludzi nie umiało pisać i czytać, ale wystarczyło wspomnieć jakiś wers z Biblii, a już recytowali dalej z pamięci.

Przed przejęciem władzy przez komunistów moją rodzinę uważano za zamożną. Ojciec był starszym zboru, wygłaszał kazania z wielebnym Zhang Erchangiem. Prowadził też rodzinną farmę. Dorastał w rodzinie, która od czterech pokoleń uprawiała ziemię. W jego czasach ceny za produkty rolne spadły, trudno było utrzymać się z rolnictwa, rodzina zaczęła więc hodować bydło, konie, świnie i kaczki. Trzymaliśmy także pszczoły. By uzyskać lepszą cenę za zwierzęta, wysyłaliśmy świnie i kaczki na większe rynki w Jiulongu i Zhuanlongu. W tamtych czasach nie było ciężarówek, moi krewni musieli zwierzęta i ptactwo przeganiać, co zazwyczaj zajmowało dziesięć do piętnastu dni. Dwa razy do roku zbieraliśmy też miód, a potem wynajmowaliśmy tragarzy, którzy zanosili go

do stolicy prowincji, Kunmingu. Mieliśmy pięćdziesiąt uli. Trudno było się nimi zajmować, ale przynosiły zyski.

Za zarobione pieniądze ojciec mógł ofiarowywać Kościołowi żywność i zaopatrzenie. Wkrótce prowadzenie gospodarstwa i głoszenie kazań okazały się dla niego nadmiernie wyczerpujące. Gdy miałem cztery lata, zmarł, a jego miejsce zajął jego brat.

Początek lat czterdziestych był dla chrześcijaństwa złotym wiekiem. Nasz główny kościół znajdował się w Salaowu. Mieliśmy dwunastu pastorów. Działały oddziały w Shengfie, Pufu, Zehei, Malutangu, Dasongshu, Jiaoxi i Jiaopingu. Oddział w Dedze był drugi co do wielkości, zaraz po głównym kościele. Mój stryj został starszym w naszym oddziale. Pełnił tę funkcję aż do przejęcia władzy przez komunistów w 1949 roku. Potem zakazano wszelkiej działalności religijnej.

Mój najstarszy brat i ja obaj urodziliśmy się w Roku Królika, ale on był ode mnie o dwadzieścia cztery lata starszy. W wieku lat dwudziestu ożenił się z dziewczyną z Pufu i zamieszkał z żoną u jej rodziny. Jego teść był starszym zboru w Pufu i potrzebował jego pomocy. Brat ukończył miejscową chrześcijańską szkołę średnią. Był bystry i oddany. Doskonale radził sobie i w świecie ludzi, i w świecie Boga. Został naczelnikiem powiatu w Pufu, a potem był odpowiedzialny za pobór do wojska. Swoje stanowisko w lokalnych władzach wykorzystywał do tworzenia warunków sprzyjających głoszeniu ewangelii. Gdy Kościół założył w Salaowu Południowo-Zachodnie Seminarium Teologiczne, brat odszedł z pracy w administracji rządowej i został administratorem seminarium. Osobiście wybierał nauczycieli, zajmował się wyszukiwaniem i rekrutowaniem miejscowych talentów. Co roku darowywał ponad sto kilogramów zboża na utrzymanie kaznodziejów. Wszyscy zagraniczni misjonarze go lubili.

Brat z oddaniem zajmował się również sprawami społecznymi. Historycznie rzecz biorąc, region był znany z uzależnienia od opium. Występowało ono powszechnie i wśród

bogatych, i wśród biednych. Dodatkowo jeszcze wielu Yi uzależniło się od hazardu. Te dwie plagi doprowadzały do niepokojów społecznych, wszędzie działali bandyci i triady. Każda kolejna władza miała z tym wielki problem. Mój starszy brat głęboko wierzył, że wiara chrześcijańska wpłynie na poprawę standardów moralnych ludności, pomoże wyzwolić się z uzależnienia od opium i hazardu. Aktywnie popierał wiarę jako sposób na wyzwolenie się ze społecznych bolączek.

Liao: Przed pana bratem rysowała się obiecująca przyszłość...

Zhang: Niestety, odszedł z tego świata w wieku trzydziestu sześciu lat.

Liao: Zmarł na skutek choroby?

Zhang: Nie. Został stracony w 1951 roku, gdy miałem dwanaście lat. Jego śmierć pozostawiła w mojej rodzinie bolesną pamięć, ale opuścił ten świat z godnością.

Liao: Jak to się stało?

Zhang: Gdy rozpoczął się ruch reformy rolnej, moja rodzina znalazła się na celowniku. Rodzinę mego najstarszego brata zaklasyfikowano do grupy właścicieli ziemskich. Brat i jego teść, starszy zboru, trafili do więzienia powiatowego. Torturowano ich. Brat służył pokonanym władzom nacjonalistycznym, ale miał czystą kartę. Miejscowi mieszkańcy bardzo go lubili. Kiedy nowe władze komunistyczne wysłały zespoły robocze do różnych wsi i nieustannie mobilizowały ludzi, by wystąpili i potępili mego brata, nikt nie chciał otwarcie tego zrobić. W latach pięćdziesiątych prowadzono dużą akcję na rzecz egzekucji i wyeliminowania członków triad i złych właścicieli ziemskich. Początkowo mego brata oszczędzono. Ale rząd nie chciał go wypuścić. W 1951 roku wrzucili go do więzienia w powiecie Luquan. Urzędnicy wiejscy, dawniej biedni i bezdomni, pod naciskiem władz zgodzili się „wyrównać z nim rachunki".

Nie pozwolono nam go zobaczyć; nie wiedzieliśmy, co robić, jak go bronić. Dowiedziałem się później, że choć oskarżono go o jakieś zbrodnie, nigdy nie podano, co takiego konkretnie

zrobił. Musieli coś znaleźć, by uzasadnić, dlaczego na tak długo go zamknęli. Powiedziano mi, że szef zespołu roboczego odczytał zarzuty wymyślone przez miejscowego naczelnika wsi, ale gdy spytał naczelnika o szczegóły, ten nie potrafił mu odpowiedzieć. A ponieważ uważał, że przez to pytanie stracił twarz, zaczął wrzeszczeć na szefa zespołu. Brakowało dowodów, dlatego też inny wiejski urzędnik zaproponował, by nie wydawać na brata wyroku śmierci, ale urzędnik z regionu obawiał się, że oszczędzenie mego brata da zły przykład i osłabi entuzjazm mas. W tamtych czasach, by zostać kandydatem do władz wsi, wystarczyło głośno wrzeszczeć na wiecach potępienia i bezwzględnie obchodzić się z „wrogami klasowymi".

Za młody pan jest, by zrozumieć, jak to było. Traktowano nas gorzej niż zwierzęta. Ludzie mogli nas katować, ilekroć przyszła im na to ochota. W szczytowym okresie kampanii rządowe zespoły robocze podsycały uczucie nienawiści. Nawet najmilsi i najżyczliwsi chłopi zaczęli nam wygrażać pięściami, bić nas i kopać. Pod koniec rewolucyjni chłopi nie potrzebowali powodu, by zabić właściciela ziemskiego. Na wiecach potępienia ludzie dawali się porwać emocjom, potrafili kogoś wyciągnąć i zastrzelić na miejscu. Bum, bum, i już człowiek odchodził na zawsze. Nikt nie kwestionował tej brutalnej taktyki i nie ponosił odpowiedzialności. Większość członków zespołów roboczych przysyłano z miasta, więc brakowało im rozeznania w tym, co się dzieje na szczeblu lokalnym. Przewodniczący Mao powiedział, że urzędnicy powinni słuchać głosu ludu, zatem członkowie zespołów roboczych nie śmieli głosu ludu ignorować. Gdy ludziom raz zrobiono pranie mózgów za pomocą ideologii komunistycznej i maoistowskiej propagandy, nie potrafili myśleć logicznie. Przepadły wszelkie ludzkie uczucia. W szczytowym okresie nawet zespołom roboczym z trudem przychodziło powstrzymywanie fanatyzmu.

Postaram się to wyjaśnić. Na tych terenach trudno było znaleźć kogoś, kto nie byłby uzależniony od opium lub hazardu. Jedynie ci, którzy uwierzyli w Boga, mieli dość siły woli,

żeby odrzucić złe przyzwyczajenia. Pamiętam, że gdy byłem dzieckiem, ludzie w tej okolicy nie uprawiali zboża. Uprawiali natomiast mak. Biegaliśmy po polach makowych, łapiąc motyle. Poza tym wszyscy oddawali się hazardowi. To było bardzo dziwne zjawisko. Majątek szybko przechodził z rąk do rąk. Po południu ktoś mógł być bogatym posiadaczem, wieczorem był już bezdomny, bo wszystko stracił w grze – ziemię, dom, nawet żonę.

Gdy nastali komuniści, zakazali palenia opium i uprawiania hazardu, zakazali też chrześcijaństwa. Poza pracą na polach ludzie nie mieli wieczorami co robić. Kampanie polityczne stały się swego rodzaju rozrywką. Cały nadmiar energii wyładowywano, bijąc i zabijając ludzi, i konfiskując własność innych. Ci bezdomni narkomani i hazardziści nagle stali się lojalnymi sojusznikami rewolucji. Nie musieli spłacać długów. O uzależnienie od hazardu i narkotyków, praktykę zastawiania żon i dzieci za pieniądze na narkotyki, o bezdomność i wszystko inne nagle zaczęto obwiniać posiadaczy ziemskich wyzyskujących biednych rewolucjonistów.

Bieda stała się honorowym wyróżnikiem, a dzieci biedoty – potomstwem prawdziwego proletariatu. Czuły się lepsze od innych, dostawały dobre jedzenie i ubrania. Nie musiały nawet ponosić odpowiedzialności za zabicie kogoś podczas wiecu potępienia. To była lepsza rozrywka niż palenie opium i hazard, nie sądzi pan?

Liao: Mówimy, że w epoce Mao lud stał się prawdziwym panem narodu.

Zhang: Polityka partii komunistycznej być może w założeniu miała szczytne cele, ale ludzie, którzy ją wdrażali, na wiele sobie pozwalali i interpretowali na własny sposób. Zabijanie przypadkowych ofiar dawało poczucie wyzwolenia. Mój najstarszy brat wiedział, że nie przeżyje.

Liao: Czy był pan przy jego egzekucji?

Zhang: Po aresztowaniu brata nikt nie wiedział, gdzie przebywa, nawet jego żona i dzieci. Dwa dni przed egzekucją

rodzinie powiedziano, że brata przeniosą z więzienia w powiecie Luquan do Sayingpanu na wiec potępienia, a potem na kolejny w okręgu Shengfa. Następnie zostanie odesłany do Pufu i tam stracony. Jeśli chcemy go po raz ostatni zobaczyć, musimy wstać o północy i pójść na piechotę dwadzieścia kilometrów na miejsce między Sayingpanem a Shengfą, i czekać na poboczu drogi. Tak zrobiliśmy. Poprzedniego wieczoru siedzieliśmy razem i płakaliśmy. Staraliśmy się być cicho, by sąsiedzi nas nie usłyszeli. Matka zabiła kurczaka i ugotowała go z ryżem, a potem matka, mój drugi starszy brat i starsza siostra wyszli z domu. Matka nie pozwoliła mi iść z nimi, bała się, że będzie to dla mnie zbyt traumatyczne. Miałem wtedy trzynaście lat. Wrócili następnego wieczoru. Po latach matka opowiedziała mi o ostatnim spotkaniu z moim bratem.

Czekali w wyznaczonym miejscu przez jakieś trzy godziny. Ciężarówka, która wiozła mego brata, zatrzymała się, a on wysiadł. Matka błagała policjantów, by mu zdjęli kajdany, żeby mógł zjeść ostatni posiłek. Zgodzili się. Brat zjadł kurczaka i zupę. Gdy skończył jeść, szepnął do matki:

„Wkrótce mnie już nie będzie. Nie smućcie się. Gdy przebywałem w więzieniu, miałem z sobą miniaturową Biblię, którą udało mi się przeszmuglować. Modliłem się w głębi serca. Wiem, że nie uniknę śmierci. Ludzie w regionie oskarżyli mnie o wiele zbrodni, choć mnie nawet nie znają. Jestem niewinny, a ich oskarżenia są fałszywe. Nie zamierzam przyznawać się do winy. Nie będę także składać apelacji. Wiem, że to jest bezowocne. Odeślą mnie do Pufu i tam zabiją. Cieszę się, że wrócę do Pufu. Mam z sobą Biblię. Wrócę do miasta, w którym pracowałem i głosiłem Słowo Boże. Matko, wszyscy pewnego dnia umrzemy. Niech moja śmierć nie odbierze ci odwagi. Trwaj w wierze".

W dzień egzekucji milicjanci przyszli do mojej bratowej i powiedzieli: „Zamierzamy stracić twego męża. Przynieś jakieś dobre jedzenie".

Tak samo jak przedtem matka, bratowa zabiła i ugotowała kurczaka oraz ryż. Mój najstarszy brat wszystko zjadł. Ona szlochała, brat otarł jej łzy i poradził, by postępowała według słów „Przywódcy". Powiedział, by skupiła się na dzieciach i nie przejmowała się szyderstwami i obraźliwymi uwagami innych.

Doskonale wiedzieliśmy, co oznacza słowo „Przywódca". Nie chciał narażać żony i mówić otwarcie w obecności strażników, ale bratowa zrozumiała i przestała płakać. Brata zabrano. Po ostatnim wiecu potępienia milicjanci zastrzelili go i wrzucili jego ciało do płytkiego dołu w wąwozie. Jakieś dziesięć miesięcy później zawiadomiono nas, że możemy je zabrać. Wie pan dlaczego? Wąwóz znajdował się dość blisko głównej drogi, a odsłonięte zwłoki straszyły ludzi. Władze powiatu zdecydowały, że rodzina powinna zabrać trupa kontrrewolucjonisty, by nikt nie musiał na niego patrzeć.

Rozkładające się zwłoki mego brata wyglądały jak przewrócone drzewo, które utkwiło w strumieniu. Mój drugi starszy brat i matka weszli do wody, by wyciągnąć ciało, ale rozpadło się. Pozbieraliśmy kości, umyliśmy je i włożyli do skrzynki, którą z sobą przynieśliśmy.

W gnijącym ubraniu brata matka znalazła jego malutką Biblię. Miała jakieś dwa centymetry grubości i była nie większa niż moja dłoń. Choć po dziesięciu miesiącach leżenia w wodzie na dnie wąwozu jego ciało i ubranie rozpadły się, Biblia przetrwała. Przerwaliśmy to, co robiliśmy, i zaczęliśmy się modlić; to nie była formalna modlitwa, ale milcząca modlitwa dziękczynna. Bóg był z nim przez te wszystkie miesiące. Wiedzieliśmy, że jego dusza jest w niebie.

Liao: Jak wyglądała ta Biblia?

Zhang: Była związana kawałkiem skóry i sznurkiem. Część stron się skleiła, niektóre słowa się rozmazały, widniały też na niej plamy krwi. Przechowywaliśmy ją przez wiele lat. Jednak za jedną kampanią polityczną przychodziła kolejna; trudno nam było zachować życie, a Biblia stanowiła „dowód

kontrrewolucyjny". Podczas rewolucji kulturalnej matka ją spaliła. Nie miała innego wyjścia.

Mieliśmy szczęście, że nas nie aresztowano jak najstarszego brata, jednak wyrzucono nas z domu. Moją matkę, mojego starszego brata i mnie uznano za posiadaczy ziemskich.

Moja siostra wyszła za mąż za mężczyznę z regionu Jiaoxi i ich także zaklasyfikowano do posiadaczy. Stryj, starszy zboru, został uznany za posiadacza kontrrewolucjonistę. Cała rodzina miała problemy. Zostaliśmy bezdomni i mieszkaliśmy w „oborach". Zdarzało się, że gdy na ulicy wpadałem na dzieci chłopów, oskarżały mnie, że noszę ładne ubrania, i zmuszały do rozebrania się. Nie mieliśmy dość jedzenia i nieustannie służyliśmy za cel na wiecach potępienia.

Jeśli wiejscy urzędnicy mieli zły humor, a zobaczyli nas na ulicy, dręczyli nas lub bili. Jeśli byli w dobrym humorze, kazali nam pracować za siebie na polach, mimo że słabliśmy z głodu. Ilekroć rozpoczynała się nowa kampania, stawaliśmy się obiektem prześladowań. Mój stryj przeszedł przez trzysta publicznych wieców potępienia. Szybko podupadł na zdrowiu. Zmarł w 1958 roku na gruźlicę.

W 1953 roku przeklasyfikowano moją matkę – spadliśmy z klasy posiadaczy ziemskich do klasy bogatych chłopów, odzyskaliśmy więc dom, który przedtem zabrała nam wieś, a także mały kawałek pola.

Mój drugi starszy brat – dwanaście lat ode mnie starszy – miał wadę słuchu. Był pobożnym chrześcijaninem. Przez całe lata pięćdziesiąte, gdy nasza rodzina cierpiała na skutek działań zespołów roboczych, nie przestawał się modlić. Pewnego dnia ktoś zobaczył, jak modli się na klęczkach, i doniósł na niego zespołowi. Kazano mu powiedzieć, że wiara w Boga jest przesądem i działaniem kontrrewolucyjnym. Odmówił wyrzeczenia się wiary. Zamiast tego zamknął oczy i nadal się modlił. Związali mu ręce i nogi i powiesili na kilka dni na drzewie. Gdy go odcięli, znów ukląkł, prosząc Pana, by wybaczył tym, którzy go torturowali. Podupadł na zdrowiu, zachorował

na gruźlicę, ale się nie poddawał. Przed śmiercią w 1999 roku podróżował po całym regionie, pomagając biednym i chorym i modląc się za nich.

W późniejszych latach rewolucji kulturalnej trzykrotnie mnie aresztowano za potajemne głoszenie ewangelii. Cierpiałem, ale przeżyłem. W 1979 roku rząd rozluźnił kontrolę nad religią. Od 1979 do 2003 roku służyłem jako starszy zboru. Potem zostałem wyświęcony na pastora w regionie Saying-pan. Jestem pierwszym wyświęconym pastorem w mojej rodzinie. Podobnie jak starszy brat choruję na gruźlicę i biorę różne lekarstwa. Żadne mi właściwie nie pomogło. Brat zmarł w wieku siedemdziesięciu dwóch lat. Ja mam teraz sześćdziesiąt osiem. Nie wiem, co Bóg dla mnie zaplanował, ale póki jeszcze mogę, chciałbym uczynić coś więcej. Jak pan widział ostatniego wieczoru, coraz więcej lokalnych mieszkańców podąża za Jezusem. To mi dodaje odwagi.

Uczta

Ballady Yi bywają hałaśliwe i wesołe albo pogodne, albo przywodzą na myśl samotne, wędrujące duchy, pełne smutku i melancholii. Po raz pierwszy usłyszałem taką balladę w barze w Dali w 2007 roku. Poznałem francuskiego muzyka, który właśnie powrócił z wycieczki do kilku zamieszkanych przez Yi wsi w okolicach Daliangshanu. Na kosztownym sprzęcie rejestrującym nagrał kilkadziesiąt starych ballad i wypalił je na trzech CD. Puszczał mi niektóre z nich, gdy razem piliśmy.

Pewnej nocy te pieśni pojawiły się w moich snach. Prosta, powtarzalna melodia odbijała się echem w ciemnych, nagich górach, każda nuta spływała oślizgłymi jak dżdżownice łzami. Gdy się obudziłem, miałem lodowate nogi, co lubię przypisywać swojej podświadomej interpretacji kultury mniejszości Yi – ludzi przybywających z ciemnych, wilgotnych gór, istot stanowiących połączenie bogów, duchów i ludzi.

Na początku sierpnia 2006 roku zostałem zaproszony przez wielebnego Zhang Mao-ena na nabożeństwo odprawiane nie w kościele, ale na dziedzińcu domu jednego z parafian. Szedłem za nim wąską, błotnistą, wijącą się przez wieś ścieżką, ustępując drogi włóczącym się krowom ozdobionym dzwonkami i stukającym podkowami koniom o obłych brzuchach. Ostrożnie stawiałem stopy, by uniknąć głębokich śladów kopyt wypełnionych

parującymi odchodami. Zhang najwyraźniej nie zwracał uwagi na drobne niedogodności wiejskiego życia.

Widok i odór takiej ilości nawozu przypomniał mi alegoryczny artykuł, który kazano mi czytać w szkole średniej podczas rewolucji kulturalnej. Grupa miejskiej młodzieży, wysłana z miasta na wieś w celu „reedukacji", na podobnej błotnistej ścieżce natrafia na świeży krowi placek. Szukają łopaty, by go na nią nabrać, gdy pojawia się wiejska dziewczyna, zgarnia placek dłońmi i tak niesie na komunalną gnojówkę. Młoda wieśniaczka daje wymowny przykład młodym ludziom z miasta, którzy nie potrafią wyzwolić się z drobnomieszczańskich nawyków. Nasz nauczyciel podał nam listę pytań: Co jest gorsze – koński nawóz czy drobnomieszczański sposób myślenia? Kto ma czystszy umysł – wiejska dziewczyna czy młodzież z miasta? Czterdzieści lat później nauczyciele nie przepajają krowiego placka komunistyczną ideologią. Chińczycy wiedzą, że gówno śmierdzi, i każdy zdrowo myślący człowiek, zarówno proletariusz, jak burżuj, posłuży się łopatą.

To, co powinno być pięciominutowym spacerem, trwało pół godziny. Zanim dotarliśmy na miejsce, miałem buty i spodnie oblepione błotem. Tupałem na suchym gruncie, próbując się oczyścić, gdy mego ramienia dotknął kierowca.

– Nie warto tak tracić energii. Błoto szybko wyschnie i łatwo się wykruszy – powiedział.

W miarę jak zbliżaliśmy się do będącego naszym celem domu z dziedzińcem, coraz wyraźniej słyszałem hymny grzmiące z dwóch głośników z epoki Mao. Podobne głośniki partyjni aparatczycy wykorzystywali na wiecach potępienia. Dodatek bolesnych dla uszu zakłóceń na moment przypomniał mi ponure czasy.

Słońce stało już wysoko na niebie, wilgotne powietrze wypełniały dźwięki cykad. Oblizałem wyschnięte wargi, rozejrzałem się, by się zorientować, gdzie jestem, i zdałem sobie sprawę, że to tu właśnie poprzedniego wieczoru poznałem Zhanga. Dom i dziedziniec w świetle dziennym wyglądały całkiem inaczej; to, co przedtem wydawało się nierzeczywiste i magiczne, teraz

było nędzne i zgrzebne, a zgromadzeni nie różnili się od innych zwykłych, prostych wieśniaków, tyle tylko, że wszyscy uśmiechali się, doświadczając czegoś, co mogę opisać jedynie jako niesione przez wiarę szczęście.

Siwa głowa Zhanga szybko zniknęła we wnętrzu domu. Był jedynym wyświęconym pastorem w regionie Sayingpan, on tu przewodził. Przyglądałem się jego parafianom; to, co na pierwszy rzut oka wydawało się chaosem, przybrało uporządkowane formy: witający ustawiali miejsca do siedzenia, rozdawali filiżanki herbaty i cukierki, a w kuchni kucharze coś siekali i trzaskali garnkami.

W dużych chińskich miastach chrześcijan dzieli stosunek do usankcjonowanych przez rząd kościołów, ale tych wieśniaków polityka aż tak bardzo nie interesowała. Chodzą na niedzielne nabożeństwa odprawiane przez Zhanga w kościołach nadzorowanych przez państwo, ale biorą także udział w modlitwach prowadzonych przez pastorów rodzinnych.

Na dziedzińcu wokół mnie rozmowy ucichły i wszyscy nadstawili uszu, by usłyszeć głos Zhanga, wznoszący się i opadający w ciepłym porannym powietrzu. Nie rozumiałem ani słowa. Mówił w yi. Tak samo się czułem, gdy w młodości słuchałem taśmy z nagraniem T. S. Eliota czytającego własne wiersze. Mogłem odgadnąć znaczenie jedynie z tonów i rytmu, chłonąć je przez oczy, nos i umysł. Pozwoliłem wyobraźni wypełniać puste miejsca i miałem wrażenie, że widzę krew Jezusa, wącham cuchnące powietrze przed jego śmiercią, podzielam uniesienie otaczających mnie osób z powodu jego zmartwychwstania. To nabożeństwo nie trwało długo; tłum wkrótce powiedział „amen" i życie powróciło do głośnego, świeckiego stanu.

Z powodu bariery językowej nie mogłem prowadzić wywiadów z uczestnikami. Ponieważ wielu widziało, że przyszedłem z Zhangiem, pozwalali mi się kręcić swobodnie wśród siebie z aparatem fotograficznym; starałem się uchwycić interesujące twarze i niezwykłe sceny. Pod ścianami obok wejścia na podwórze leżały góry śmieci. W innym kącie znajdował się

chlewik i kurnik. Zwierzęta i ludzie żyli obok siebie, tworząc harmonijną całość. Cztery starsze kobiety siedziały na schodkach prowadzących do domu, wystawiając twarze na gorące słońce. Jedna z nich podniosła się i powoli, kołysząc się, ruszyła naprzód. Skupiłem się na jej zniszczonej twarzy, głęboko pooranym zmarszczkami czole.

Zbliżało się południe, wszędzie latało mnóstwo much. Gdy wieśniacy wokół mnie machali rękoma, śmiali się lub ściskali sobie ręce na powitanie, muchy wzbijały się w powietrze i krążyły nad nimi. Gdy przestawali się ruszać, opadały na ich głowy, ramiona, ręce i nogi. Nad najbardziej ożywionymi rozmówcami cały czas unosiły się małe chmurki owadów.

Zhang skinął na mnie, wszedłem więc do domu, gdzie panował chłód, a much było mniej. Przedstawił mnie kilku pastorom z innych wsi, ale nasze rozmowy w mandaryńskim sprowadzały się do prostych zdań i zwykłych słów. Wszyscy wyglądali na opalonych, czerwonych jak karmazynowa ziemia Wyżyny Junnan-Kuejczou, a ich twarze świadczyły o życzliwości i godności. Gdy zabrakło nam słów, popijaliśmy herbatę i uśmiechaliśmy się do siebie.

Na dworze ustawiono cztery stoły z jedzeniem. Dorastałem w wiejskich rejonach Syczuanu, uczestniczyłem w rozlicznych bankietach – ślubnych, pogrzebowych, urodzinowych – ale żaden tego nie przypominał. Ludzie w Junnanie przyzwyczajeni byli do niskich ławek i krótkich stołów, z kolei mieszkańcy Syczuanu wolą wyższe ławy i długie stoły. Natomiast zwyczaje bankietowe niezbyt się różniły. Od dawnych czasów aż po współczesność we wszystkich prowincjach podtrzymuje się tradycje świętowania – zabija się wtedy świnie i kozy, napełnia wielkie talerze i misy starannie przygotowanym mięsem i warzywami.

Kucharze krzątali się po kuchni, wybiegając i wbiegając. Gospodyni zaprosiła Zhanga i innych pastorów i kaznodziejów, by wyszli na dziedziniec. Wszyscy wstali i złożyli sobie nawzajem ukłony.

– Proszę bardzo, niech pan wyjdzie pierwszy, ja poczekam.

Nikt się nie poruszył. Po kilku minutach gospodyni pojawiła się ponownie, nalegając, by Zhang wyszedł.

– Proszę, niech pan wyjdzie pierwszy, ja poczekam.

Po trzeciej podobnej wymianie zdań Zhang złapał mnie za nadgarstek.

– Chodźmy na dwór i zaczynajmy – powiedział do wszystkich.

Poprowadził pozostałych przywódców kościelnych po schodkach, machając do zgromadzonych, tu i tam zamieniając kilka słów w drodze do stołów. Przy każdym siedziało ośmiu do dziesięciu wieśniaków; większa grupa snuła się poza dziedzińcem, czekając na drugą zmianę.

Wieprzowina, jagnięcina, kurczaki, kaczka, tofu, orzeszki ziemne oraz warzywa – smażone, gotowane na parze, duszone i surowe – wyglądały i pachniały, jakby je mocno przyprawiono ostrą papryką. Już po kilku minutach na stołach znalazło się kilkanaście talerzy. Słońce świeciło wprost nad naszymi głowami. Byłem bardzo głodny. Muchy robiły teraz wrażenie kruków, starających się dopaść jedzenia. Na innych bankietach ludzie stukają się szklaneczkami i z głośnymi okrzykami wznoszą toasty. Tego dnia na dziedzińcu panowała cisza, zmącona jedynie bzyczeniem much. Góra na horyzoncie wznosiła się wysoko, wspaniale prezentując się w słońcu.

Zhang wstał, spojrzał daleko przed siebie i pochylił głowę, by rozpocząć modlitwę. Górował nad nami, siedzącymi na niskich ławkach. Każde wypowiadane przez niego w yi słowo brzmiało melodyjnie i pięknie.

Zhang się modlił.

Opanowały mnie całkiem inne emocje. Wilgotna, samotna ciemność z moich snów wyparowała. Jego głos, głęboki i niski, oraz melodyjne słowa przywiodły mi na myśl piękną, porywającą muzykę gospel czarnoskórych Amerykanów lub wdzierające się w głąb duszy śpiewy dawnych afrykańskich plemion.

Zhang się modlił.

Gdy obecni odpowiedzieli chórem na jego „amen", moje uszy powróciły do normalnych dźwięków i odgłosów życia: pałeczki

zaczęły postukiwać, chwytając jedzenie. Podano kolejne dania. Zhang prowadził ożywioną rozmowę z siedzącymi przy stole osobami. Śmiali się otwarcie, swobodnie, szczęśliwie.

W tym momencie przypomniałem sobie fragment z Biblii, który czytałem przed wyruszeniem w podróż. „Pan Zastępów wyprawi wszystkim ludom na tej górze ucztę z tłustych potraw, ucztę z wystałych win, z tłustych potraw ze szpikiem, ze starych dobrze wystałych win" (Iz 25,6). Były to naprawdę pamiętna uczta i celebrowanie życia.

Uczta skończyła się o pierwszej. Po pożegnaniu z wielebnym Zhangiem mój kierowca zasugerował, bym odwiedził miejsce, gdzie dawniej znajdowało się Południowo-Zachodnie Seminarium Teologiczne w Salaowu.

Samochód gładko jechał po nowo zbudowanej, betonowej drodze; małe traktory wypluwały z siebie pióra czarnego dymu, plamiąc dziewiczo czyste powietrze. W końcu kierowca zatrzymał auto na brzegu pola kukurydzy; dostrzegłem zarys seminarium, stojącego jak samotna wyspa pośrodku zielonego morza łodyg. Ogarnęły mnie niezwykłe ożywienie i ciekawość. Pomyślałem o doktorze Sunie, który opowiadał mi o seminarium i jego założycielu, australijskim misjonarzu nazwiskiem Zhang Erchang. W początkach dwudziestego wieku miejsce to stało się inkubatorem dla przywódców chrześcijańskich w tym regionie. Gdy Zhang Erchang i jego żona zmarli, pochowano ich w pobliżu. Niemal wszyscy działacze chrześcijańscy z tego regionu, którzy udzielili mi wywiadów, wspominali o tym seminarium i o ogromnym wpływie, jaki wywarło ono na miejscową społeczność chrześcijańską. Moje oczekiwania rosły, gdy biegłem przez pole, a podążający za mną zasapany kierowca krzyczał, bym zwolnił.

Cały kampus składał się z dwóch czy trzech małych obdrapanych budynków, pokrytych dachami z szarych płytek. Kto nie znał historii tego miejsca, mógłby przypuszczać, że to po prostu zabudowania gospodarskie. Nie było tu żadnych domów

w zachodnim stylu, żadnych witrażowych okien ani fresków ze scenami z Biblii.

Jakiś wieśniak skierował nas do kaplicy, oznaczonej rysunkiem wschodzącego, żółtego słońca w oknie pierwszego piętra. Za kilkorgiem wieśniaków weszliśmy do środka. Wnętrze było przestronne, z odsłoniętymi drewnianymi belkami. Z sufitu obłaziła farba. Przez duże okna do środka wpadało popołudniowe słońce. Pod ścianą naprzeciwko stały pulpit i tablica, a nad nimi wisiał czerwony krzyż. W długich, zielonych ławkach mogło pomieścić się ponad sto osób.

Pół tuzina wieśniaków siedziało w ciszy w pustej sali, jak pilni uczniowie, którzy przyszli wcześniej do szkoły, by przygotować się do lekcji. Rozglądałem się wokół, usiłując znaleźć ślady dawnej świetności. Wyszedłem z kaplicy, okrążyłem dziedziniec, wspiąłem się nawet na wzgórze z tyłu, mając nadzieję, że natrafię na grób czy nagrobek Zhang Erchanga. Niczego nie odkryłem.

Zajrzałem do wszystkich pomieszczeń w sąsiednich zabudowaniach. Widziałem tam jedynie kurz, pająki, muchy i odchody zwierząt. W jednym z zaniedbanych pokoi leżał dziko wyglądający pies w ciężkiej żeliwnej obroży. W innym budynku wbiegłem na pierwsze piętro; drewniana podłoga wyglądała na wilgotną i przegniłą. Zrobiłem kilka kroków przed siebie, rozległ się głośny trzask i pod mymi stopami pojawiła się duża dziura. Piętro niżej zebrała się grupka ludzi i zadzierając głowy, próbowała zrozumieć, co się dzieje.

Zeszliśmy na dół. Kierowca trzymał się blisko mnie, pełen obaw, że wpakuję się w kolejną żenującą sytuację.

Usiadłem przygnębiony na kamiennych stopniach przed kaplicą. Minęła mnie grupka ludzi, spieszących na popołudniowe nabożeństwo. Zatrzymałem jedną pobożnie wyglądającą kobietę.

– Czy znała pani misjonarza Zhang Erchanga? – spytałem powoli po mandaryńsku. – Czy wie pani coś o Południowo-Zachodnim Seminarium Teologicznym?

Robiła wrażenie zdezorientowanej; potrząsnęła głową. Nie miała pojęcia, co ja mamroczę.

Część III Pekin i Chengdu

Potajemna wizyta

Xu Wenli był znanym działaczem na rzecz praw człowieka, nic więc dziwnego, że to w jego ciasnym domu z dziedzińcem na ulicy Baiguang w Pekinie po raz pierwszy spotkałem członka podziemnego chińskiego ruchu „kościołów domowych". Działo się to w lipcu 1998 roku. Wpadłem do domu mego przyjaciela w nadziei na filiżankę herbaty; zastałem u niego innego gościa, pana w średnim wieku i w okularach, którego przedstawiono mi jako Xu Yonghaia, neurologa. Skinęliśmy sobie głowami. Ci dwaj Xu nie byli spokrewnieni, ale wyglądali jak bracia – obaj szczupli, o bladej cerze i długich, wąskich twarzach, Wenli łysiejący na czubku głowy, Yonghai o przerzedzającej się czuprynie.

Po zwyczajowej wymianie grzeczności Wenli zaprosił mnie, bym usiadł.

– Pozwól tylko, że skończę rozmawiać z Yonghaiem – powiedział przepraszająco.

Szeptali do siebie, siedząc blisko, ale z fragmentów ich rozmowy, jakie do mnie docierały, wywnioskowałem, że chodzi o druk jakichś zakazanych tekstów. Yonghai, cały spięty, co parę minut unosił głowę i ukradkiem wyglądał na zewnątrz, czy nikogo tam nie ma.

– Musimy być ostrożni. Sądzę, że w domu Wenliego jest podsłuch – szepnął, przysuwając się bliżej mnie.

Skinąłem głową, akceptując jego przezorność.

Liczył, że Xu Wenli pomoże mu w druku publikacji przeznaczonych dla członków pekińskiego kościoła domowego. Nabrawszy do mnie sympatii, zaczął mi opowiadać o koncepcji zbawienia przez Boga. Niewiele wówczas wiedziałem o chrześcijaństwie. Nieszczególnie interesowało mnie to, co ma do powiedzenia, instynktownie też odrzucałem jego nawracanie.

– Nie chodzę do kościoła – odezwałem się w końcu.

– Ja też nie chodzę do kościoła. – Roześmiał się. – Wszystkie są kontrolowane przez rząd.

Cztery miesiące później, po powrocie do Syczuanu, dowiedziałem się, że Wenliego skazano na trzynaście lat więzienia za założenie partii opozycyjnej. Powiedziano mi też, że tuż przed jego aresztowaniem Yonghai pomógł mu usunąć z domu schowany tam przeze mnie rękopis mojej książki *Moje świadectwa* i że znajduje się on teraz w bezpieczniejszym miejscu.

Rozmawiałem z Yonghaiem kilkakrotnie przez telefon, aż w 2002 roku okazało się, że mu go odłączono. Szukając informacji, odkryłem, że neurolog jest kaznodzieją i działaczem pekińskiego kościoła domowego. Jego dom przeznaczono do wyburzenia, by zrobić miejsce dla prywatnego dewelopera; Yonghai stanął wówczas na czele protestu mieszkańców przeciwko niesprawiedliwemu traktowaniu, ale rząd zignorował wysyłane przez nich liczne petycje. Gdy z domu została tylko kupa gruzów, doktor rozważał samobójstwo jako sposób zamanifestowania swego sprzeciwu, ale odwiedli go od tego inni chrześcijanie. Powiedziano mi, że porzucił praktykę lekarską i poświęcił się całkowicie podążaniu drogą Pana. W 2004 roku przeczytałem, że Yonghai razem z innym chrześcijaninem, Liu Fenggangiem, został aresztowany w trakcie głoszenia ewangelii w prowincji Zhejiang. Rząd blokował wszelkie informacje na temat jego zdrowia i miejsca, gdzie jest przetrzymywany. Od czasu do czasu widywałem wpisy w internecie dokonywane przez jego żonę, pielęgniarkę Li Shannę, która wzywała innych chrześcijan do modlitwy o bezpieczeństwo jej męża. Yonghai spędził w więzieniu trzy lata.

Historia Yonghaia zaciekawiła mnie i uznałem, że muszę porozmawiać z chrześcijanami z kościoła domowego, by lepiej zrozumieć, co ich skłania do odrzucenia sankcjonowanej przez rząd alternatywy. Gdy w styczniu 2004 roku znów przebywałem w Pekinie, zadzwoniła do mnie znajoma kaznodziejka Liu Min z informacją, że jeśli chcę się spotkać z Yuan Xiangchenem, szanowaną postacią w chrześcijańskiej społeczności Pekinu, ma dla mnie numer jego telefonu. Udało mi się dodzwonić do jego osiemdziesięcioześcioletniej żony, która zgodziła się mnie przyjąć. Zapisałem adres i instrukcje, jak się tam dostać metrem. Podniecony tą rzadką okazją do rozmowy z chińskim małżeństwem, mającym za sobą doświadczenia niemal całego dwudziestego wieku, zaprosiłem do towarzystwa dokumentalistkę z Tajwanu, która funkcjonowała pod nazwiskiem pani Wen i nakręciła kilka filmów na temat problemów społecznych w swoim kraju.

Tydzień później nasza trójka spotkała się na stacji metra Xuanwumen. Zimny, niosący pył wiatr, wiejący od strony wysokich, szarych budynków, bezlitośnie smagał nam twarze. Wszyscy instynktownie kuliliśmy się i wzdrygali. Zanim zeszliśmy na peron, Liu Min zauważyła stojący przy ulicy katolicki kościół; blade zimowe słońce malowało złotem krzyż wieńczący kościelną wieżę. Zaproponowała, byśmy tam na chwilę zajrzeli. W przestronnej nawie Liu uklękła na podłodze, by odmówić krótką modlitwę.

Dojechaliśmy metrem do szpitala Yangqiao. Liu Min, rodowita pekinka, która miała być naszym przewodnikiem, zgubiła drogę i dotarcie do celu zabrało nam jeszcze pół godziny.

– Chcemy odwiedzić wujka Yuana – powiedziała Liu Min ochroniarzowi w budynku, który w końcu znaleźliśmy dzięki wskazówkom nieznajomych przechodniów. – Mieszka na pierwszym piętrze.

– Kim jesteście? – spytał ochroniarz, ale Liu Min go zignorowała i nacisnęła przycisk przy numerze 202. Pani Wen, która niezbyt dobrze orientowała się w trudnej sytuacji politycznej w Chinach, wyjęła z torby kamerę i zaczęła kręcić. Tym gestem zwróciła uwagę ochroniarza, ale w tej samej chwili wychodzący

z budynku mieszkaniec otworzył główną bramę, a my wślizgnęliśmy się do środka.

Mieszkanie wielebnego Yuan Xiangchena było małe, ale wygodne. Na ścianie wisiały krzyż i kilka zwojów z wykaligrafowanymi cytatami z Biblii. Zbiorowe zdjęcie nad kanapą pokazywało cztery pokolenia licznej rodziny: Yuana i jego żonę w otoczeniu ponad trzydziestu osób. Mogłem zidentyfikować kilkanaście twarzy ludzi obecnych w stosunkowo dużym pokoju. Liu nas przedstawiła i usiadła obok żony Yuana. Nigdy wcześniej się nie spotkały, ale zachowywały się, jak gdyby znały się od lat. Czułem się nieco skrępowany, siedząc obok Yuana, który sprawiał wrażenie człowieka znacznie większego formatu, niżby to wynikało z jego drobnej postaci. Miał problemy ze słuchem i ilekroć coś mówiłem, obejmował prawą dłonią ucho, jak gdyby chwytał moje słowa. Dla rozładowania napięcia Liu opowiedziała kilka anegdotek o znajomych działaczach chrześcijańskich i ich często komicznych spotkaniach z nadgorliwą policją. Wkrótce wszyscy się swobodnie śmiali.

Wyjąłem magnetofon i notatnik, pani Wen ustawiła na stoliku kamerę i na jej sygnał zacząłem wywiad. Najpierw wspomniałem o wystąpieniu Yuana w filmie dokumentalnym Yuan Zhiminga *Krzyż. Jezus w Chinach*. Yuan właśnie zaczął opowiadać o swoim najwcześniejszym zaangażowaniu w Kościele, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Wydawało się, że powietrze znieruchomiało – bo cały pokój ludzi w tej samej chwili zamarł – a potem lekko zadrżało jak napięty łuk. W jednej chwili kamera wideo, magnetofon i chrześcijańskie materiały zniknęły jak rekwizyty w przedstawieniu magika. Najstarszy syn Yuana przeszedł cicho przez pokój i przyłożył ucho do drzwi. Puk-puk, puk-puk. Odkaszlnął.

– Kto tam? – spytał swobodnym tonem.

– Policja z miejscowego komisariatu.

– Tak? A co się stało? – Wciąż nie otwierał drzwi.

– Sąsiedzi donieśli, że troje nieznajomych z kamerą wideo przyszło do waszego domu na wywiad – wyjaśnił głos z zewnątrz.

– Nie ma tu żadnego wywiadu dla mediów – odparł syn.

– Otwórzcie drzwi. Przyszliśmy przeprowadzić rutynową kontrolę.

Najstarszy syn Yuana rozejrzał się po pokoju, upewniając się, że wszyscy są gotowi, a następnie, zupełnie jakby reżyser zawołał „akcja!", nacisnął klamkę.

Weszli policjant w mundurze, który powiedział, że jest dzielnicowym, i kobieta, która przedstawiła się jako nowa dyrektorka komitetu ulicznego. Yuan zaprosił ich, by usiedli. Policjant popatrzył na mnie, Liu i panią Wen.

– Czy to wy przeprowadzacie tu wywiad dla mediów? – spytał.

– Nikt tu nie przeprowadza wywiadów dla mediów – powiedziała żona Yuana. – To znajomi chrześcijanie. Wpadli z wizytą.

Policjant zwrócił się do nas ponownie:

– Czy wszyscy jesteście chrześcijańskimi przyjaciółmi Yuana?

– Ja jestem chrześcijanką – odezwała się Liu. – Słyszałam, że wujek Yuan chorował, dlatego wpadłam z krótką wizytą. Tych dwoje to moi przyjaciele.

Skinąłem głową.

– Tak, ciekawi mnie kościół, więc chciałem porozmawiać z panem Yuanem.

– A pani? – policjant zwrócił się do pani Wen.

Pani Wen zarumieniła się – jej tajwański akcent od razu by ją zdradził – i szybko wskazała palcem gardło.

– Co to ma znaczyć?

Pani Wen otworzyła usta, machając rękoma, a jej oczy błyszczały za grubymi szkłami.

– Ma zapalenie gardła i nie może mówić – wyjaśniła Liu.

– No dobrze, skoro nie może mówić... – powiedział policjant do Liu, co oznaczało, że przynajmniej przyjął, iż wypowiada się także w naszym imieniu – to proszę mi powiedzieć, jakie tematy zamierzacie tu omawiać.

Liu była dobra. Zmieniła przesłuchanie w kazanie od „na początku..." aż po zmartwychwstanie Chrystusa. Była urodzoną kaznodziejką, która oszołomiła i policjanta, i dyrektorkę komitetu

ulicznego – oboje wyglądali na zagubionych. Policjant usiłował przerwać Liu, ta jednak nie dawała mu szans, więc wkrótce się poddał i pozwolił jej mówić. Czas szybko mijał, a gdy Liu była gotowa na przerwę, uśmiechnęła się i spytała policjanta:

– Czy ma pan jakieś pytania?

Pokręcił tylko głową, natomiast dyrektorka komitetu ulicznego była zaciekawiona.

– Dlaczego ludzie wierzą w Boga? Co nam to dobrego daje?

Zgromadzeni roześmiali się – ona także, choć zarumieniona z zażenowania. Sądziłem, że już jesteśmy bezpieczni, ale wtedy zadzwonił telefon policjanta. Popatrzyliśmy po sobie nerwowo. Policjant wyszedł i po chwili wrócił, ale gdy Liu właśnie zaczynała odpowiadać na pytanie dyrektorki komitetu, jego telefon znów się odezwał, wyszedł więc ponownie. Tym razem powracającemu policjantowi towarzyszył starszy kolega, który po wejściu przywitał się z Yuanem jak z dobrym znajomym. Był to zastępca dyrektora miejscowego oddziału Biura Bezpieczeństwa Publicznego. Zażądał od nas dowodów tożsamości. Wiedziałem, że pani Wen nie ma dowodu, a mój wystawiony był na Syczuan.

– Kto w dzień chodzi z takimi papierami? – powiedziałem, starając się, by w moim głosie zabrzmiała irytacja. – Przecież nie żyjemy już w epoce rewolucji kulturalnej.

Liu wyciągnęła swój dowód osobisty.

– Pracuję dla amerykańskiej firmy – powiedziała. – Czy mogę za nich zaręczyć?

Zastępca dyrektora myślał przez kilka minut, oddał Liu jej dowód, a nas poprosił, byśmy zapisali nazwiska, numery telefonów i adresy. Pani Wen i ja podaliśmy fałszywe nazwiska. Liu użyła swego własnego – było ono na tyle popularne, że w Pekinie nosiło je dziesiątki tysięcy ludzi.

Przybył dodatkowy słuchacz, ale Liu po prostu kontynuowała od miejsca, w którym jej przerwano. Przedstawiciele „władzy" robili wrażenie zainteresowanych, od czasu do czasu kiwali głowami, jakby naprawdę jej słuchali, więc mówiła dalej, ale napięcie stawało się wyczuwalne. Telefon zastępcy dyrektora dzwonił

czterokrotnie. Za każdym razem na twarzy Liu malowało się napięcie, a jej oczy instynktownie szukały moich. Pani Wen zachowywała surowy i enigmatyczny wyraz twarzy. Yuan stał się niecierpliwy.

– Czy macie do nas jakieś pytania? – spytał dwukrotnie zastępcę dyrektora, co wyraźnie miało znaczyć: „Wynoście się stąd i przestańcie nas niepokoić". Oni jednak siedzieli dalej.

Impas.

Gdy zaczęliśmy się żegnać, ruszyli także przedstawiciele władz. Jeden z potomków Yuana wetknął mi w dłoń karteczkę. Opuściwszy budynek, szliśmy razem przez chwilę, rozglądając się wokół jak złodzieje, ale nikt nas nie śledził, więc zatrzymaliśmy taksówkę i wskoczyliśmy do środka. Na karteczce napisano: „Czekajcie w kościele katolickim koło stacji metra". Liu wyjaśniła taksówkarzowi, dokąd ma jechać. Dotarliśmy tam dość szybko, ale po wejściu na dziedziniec zaskoczył nas widok nowego audi zaparkowanego przy drzwiach kościoła. Jestem podejrzliwy wobec nowych audi, od kiedy zobaczyłem takie przed domem mego przyjaciela dysydenta, którego kilka dni wcześniej odwiedziłem. W tamtym wypadku, gdy tylko stanąłem w drzwiach, z audi wyskoczyło kilku policjantów, chwyciło mnie i wyrzuciło na zewnątrz. Tym razem, jak się okazało, nie miałem powodu do niepokoju. Przyglądaliśmy się zaparkowanemu przed kościołem samochodowi przez jakieś pół godziny, aż w końcu z wnętrza wyszedł młody człowiek w porządnym garniturze i odjechał.

Nasza trójka poszukała schronienia przed zimnym wiatrem pod łukowym portykiem kościoła. Powiedziałem, że Liu przypomina mi postać komunistki konspiratorki ze znanego serialu telewizyjnego.

– Stanęłaś przed swymi wrogami, demonstrując rozsądek i spokój – powiedziałem, używając popularnego banalnego zwrotu.

Liu zachowała absolutną powagę.

– Byłam śmiertelnie przerażona – powiedziała głosem małej dziewczynki.

Roześmialiśmy się wszyscy i dla rozgrzewki zaczęliśmy spacerować wokół kościoła. Po jakiejś godzinie pojawił się drugi syn Yuan Xiangchena, Yuan Fusheng, z plastikową reklamówką. W środku były kamera wideo, magnetofon i mój notatnik, wszystkie zawinięte w stare gazety. Fusheng, szczupły i kruchy, miał duże doświadczenie w pracy w Kościele podziemnym. Podał mi numer telefonu, byśmy mogli umówić się na następny wywiad.

Zapadał już zmierzch, gdy się pożegnaliśmy. Odchodząc, zwróciłem uwagę, że niebo wypełniały czerwone chmury, a kolor ten obmywał wszystko poniżej – ulice i samochody, budynki i ludzi.

Pastor Kościoła podziemnego

Ponieważ policja uniemożliwiła mi realizację wywiadu z wielebnym Yuan Xiangchenem, 3 marca 2004 roku spotkałem się z jego drugim synem, Yuan Fushengiem. Yuan Fusheng pomagał ojcu zajmować się tymi chrześcijanami, którzy odmówili uczęszczania do oficjalnie działających w stolicy i kontrolowanych przez rząd kościołów.

Z konieczności wywiad ten był przeprowadzony potajemnie, w stosunkowym bezpieczeństwie oferowanym przez zatłoczone miejsce – w tym wypadku McDonald's w pobliżu Świątyni Ziemi. Obaj przyszliśmy wcześniej i zauważywszy się nawzajem, przez chwilę krążyliśmy bez celu, by się upewnić, czy nie jesteśmy śledzeni. Na ulicach widziałem wiele policji, ponieważ akurat trwały obrady Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych. Przeszliśmy kładką do McDonalda, wypełnionego przez uwielbiające hamburgery nastolatki. Znaleźliśmy stolik w stosunkowo zacisznym miejscu. Kupiłem nam obu po coli. Wyjąłem magnetofon, przykryłem go serwetką i przysunąłem się bliżej do Yuana.

– Dziś panuje spore napięcie – szepnął Yuan. – Zawsze tak jest o tej porze roku. Ojca bardzo uważnie obserwują. Udzielę wywiadu w jego imieniu. Ojciec ma nadzieję, że uda się panu znów nas odwiedzić.

Udawałem, że przyglądam się młodej parze siedzącej przy stoliku naprzeciwko nas, i kiwałem głową do jego słów.

– Ojciec organizuje teraz czuwanie za kaznodzieję, doktora Xu Yonghaia, którego aresztowano, gdy głosił ewangelię w prowincji Zhejiang. Na niedawnym nabożeństwie ojciec powiedział, że doktor Xu to szlachetny przykład dla wszystkich młodych chrześcijan.

Ucieszyłem się, słysząc nazwisko Yonghaia. Cały czas przeczesywałem wzrokiem restaurację, przyglądając się twarzom, czujny, by wychwycić cokolwiek, co odbiegałoby od normy. I tak rozmawialiśmy przez trzy godziny.

Yuan Fusheng: Mój ojciec nazywa się Yuan Xiangchen. Urodził się w czerwcu 1914 roku. Nie pamięta dokładnej daty, ale woli obchodzić dzień, w którym narodził się na nowo, gdy został chrześcijaninem – 29 grudnia 1932 roku. Ojciec mówi, że każdy powinien mieć podwójne urodziny, jedne dla ciała, drugie dla duszy. Mego ojca ochrzcił wielebny Wang Mingdao czystą wodą ze strumienia z Pałacu Letniego, tuż za górą Wanshou.

Ojciec przyszedł na świat w mieście Bengbu w prowincji Anhui. Mój dziadek, pochodzący z Kantonu, w młodym wieku pracował przy budowie linii kolejowej Kanton–Pekin. Cała rodzina przeniosła się za nim na północ, z Kantonu do Bengbu, by w końcu osiedlić się w Pekinie. Dziadek otrzymał zachodnie wykształcenie w chińskim kolegium, a ponieważ pracował z cudzoziemcami z Zachodu, pomagającymi przy budowie kolei, bardzo dobrze nauczył się mówić po angielsku. Ojciec urodził się więc w rodzinie żyjącej na zachodni sposób. W wieku trzynastu lat zaczął uczęszczać do szkoły prowadzonej przez YMCA, uczył się angielskiego i zapamiętywania całych fragmentów Biblii.

Jego życie w wieku lat kilkunastu nie było łatwe. Na skutek nieustannych przeprowadzek rodziców nigdzie nie mógł się zakorzenić. Na pewien czas popadł w głęboką depresję i dwukrotnie próbował popełnić samobójstwo, wciskając nożyczki

do gniazdka elektrycznego. Mówi, że ogromny wpływ wywarło na niego dwóch nauczycieli. Jeden był Amerykaninem o chińskim imieniu Xiao Anna, a drugi Chińczykiem, który nazywał się Shi Tianmin. Obaj byli pobożnymi chrześcijanami. Uczyli go nowej nauki i nowych nauk społecznych, zalecanych przez doktora Sun Jat-sena po upadku dynastii Qing i narodzinach republiki. Głosili także ewangelię. Ojciec zainteresował się religią i poznał wielebnego Wang Mindao.

W lecie 1934 roku ojciec ukończył pierwszy rok liceum. Jego rodzice życzyli sobie, by kontynuował naukę, zdobył zawód i znalazł stabilną pracę, umożliwiającą ożenek, wychowanie dzieci i wygodne życie. Ojciec jednak miał inne plany. Odszedł ze szkoły. Natchniony Biblią, zapisał się do seminarium w Pekinie. Było ono związane z Dalekowschodnim Kolegium Teologicznym. Studiował tam przez cztery lata. W lecie 1936 roku razem z dwoma tysiącami innych chrześcijan wziął udział w narodowych rekolekcjach, polegających na czytaniu Biblii i konsultacjach. W 1937 roku zaczął publikować inspirujące artykuły i przetłumaczył podręcznik dla kaznodziejów z angielskiego na chiński.

W tamtym roku Japonia najechała na Chiny. To były czasy chaosu. Przyszła żona mego ojca, a moja matka Liang Huizhen uciekła ze swego rodzinnego miasta, gdy zajęli je Japończycy, i przybyła do Pekinu. Także była chrześcijanką. Tych dwoje poznało się i pokochało. Gdy ojciec ukończył naukę w seminarium, zaręczyli się i pobrali w Pekinie w lipcu 1938 roku. Ślub był na wpół zachodni, na wpół chiński – chodzi mi o to, że on ubrany był w garnitur, a ona miała suknię ślubną w zachodnim stylu, ale na przyjęcie pojechali chińską konną furmanką. W ich ślubie uczestniczyło wielu chińskich chrześcijan i zagranicznych misjonarzy.

W 1939 roku moja matka zaszła w ciążę i urodziła mego najstarszego brata. Mniej więcej w tym samym czasie dziekan seminarium poprosił ojca, by został w szkole jako tłumacz, co zapewniłoby mu skromną pensję na utrzymanie rodziny.

Ojciec odmówił, zamiast tego wolał bowiem głosić ewangelię na terenach wiejskich. I tak, zabrawszy ze sobą żonę i syna, wyjechał z amerykańskim pastorem ewangelickim głosić Dobrą Nowinę w południowej części prowincji Hebei i w częściach prowincji Szantung. Po ataku Japonii na Pearl Harbor japońscy żołnierze wyłapywali Amerykanów i wsadzali ich do obozu w powiecie Wei w Szantungu. Pewnego wieczoru zabrali amerykańskiego pastora, jego żonę i dwoje dzieci. Splądrowali także mieszkanie mego ojca. Matka, która była młoda i ładna, przez wiele miesięcy mazała sobie twarz sadzą, by nie przyciągać uwagi japońskich żołnierzy. Kryła się z moim bratem w piwnicy za kościołem.

Ojciec nie chciał się poddać, przeniósł rodzinę na wieś, gdzie mieszkał i pracował z rolnikami. Południową część prowincji Hebei za dnia kontrolowali Japończycy; w nocy należała ona do ruchu oporu organizowanego przez komunistyczną partyzantkę. Ojciec podróżował na rowerze do różnych wsi, by wygłaszać kazania. Zawsze miał przy sobie dwa rodzaje przepustek i pieniędzy – jedne wydane przez Japończyków, drugie przez chińskich komunistów. Ilekroć wpadał na żołnierzy którejś ze stron, musiał się opłacić w ich pieniądzach. Sam określał się jako neutralny. Jego kazania docierały do dużej liczby wieśniaków. Z miejskiego intelektualisty przekształcił się w rolnika – nosił czarne, pełne pcheł płaszcze ocieplane watoliną, jadł zwykłe, pszenne i kukurydziane bułki. Głosił kazania we wsiach lub na miedzach wśród pól. Był tak temu oddany, że nawet gdy umierał jego własny ojciec, on, jedyny syn, nie znalazł czasu, by pojechać do domu i się pożegnać.

W 1945 roku, tuż przed kapitulacją Japończyków, ojciec wrócił jednak do Pekinu, by zająć się ciężko chorą matką. Nadal głosił kazania w pobliskim kościele i podejmował się różnych zajęć, by utrzymać rodzinę. W tym czasie nasza rodzina składała się z siedmiu osób. Ojciec czekał, by sytuacja się poprawiła i mógł wrócić na wieś, gdzie jego zdaniem był najbardziej potrzebny. Po opuszczeniu Chin przez wojska japońskie

wybuchła wojna domowa między komunistami i nacjonalistami. Ojciec stał się niespokojny. Modlił się usilnie, by mógł pojąć boże plany wobec jego osoby. W tym okresie odkrył japoński kościół chrześcijański przy ulicy Fuchengmen 160. Japoński pastor uciekł z Chin, a rząd nacjonalistyczny zamknął kościół. Ojcu udało się przekonać urzędników rządowych, by mu kościół wynajęli. Miesięczny czynsz stanowił równowartość stu pięćdziesięciu kilogramów ryżu. Chwytał się różnych zajęć, by utrzymać kościół i rodzinę. W pewnym sensie okazało się to błogosławieństwem. To doświadczenie wzmocniło jego zdolności organizacyjne i jego niezależnego ducha. Odrzucał wszelką pomoc od organizacji rządowych, upierając się, że kościół powinien być miejscem świętym, utrzymywanym przez wyznawców.

Pod koniec 1948 roku, gdy armia nacjonalistyczna ponosiła klęskę za klęską, sytuacja w Pekinie się pogorszyła. Wielu misjonarzy i chrześcijan wyjechało z Chin. Ojciec postanowił zostać. Trzeciego lutego 1949 roku wojsko komunistyczne wkroczyło do Pekinu i przedefilowało obok jego kościoła na Fuchengmen. Trzy tygodnie później przywódcy różnych wyznań chrześcijańskich spotkali się, by przedyskutować, jak przetrwać pod rządami ateistów. Na tym spotkaniu ojciec nalegał, by zachować spokój, ponieważ komuniści ogłosili, że gwarantują wolność wyznania. Uważał także, że religia musi pozostać odrębna od świeckiej polityki. Powtarzał nam: „Chińscy chrześcijanie powinni mieć własny, niezależny kościół. Powinniśmy dążyć do samowystarczalności".

Na początku nowe władze zajmowały się utrzymaniem porządku i budowaniem poparcia wśród wszystkich warstw społeczeństwa. Religiom pozwolono działać bez przeszkód. Pewnego dnia mój ojciec wyprowadził kilku swoich zwolenników na ulicę. Bili w bębny i gongi, by przyciągnąć ludzi do kościoła. Wkrótce zgromadził się duży tłum. Zwróciło to także uwagę komunistycznych żołnierzy patrolujących ulice. Żołnierze rozproszyli tłum, a ojca zabrali do Wojskowej

Komisji Nadzoru. Przesłuchali go. W obronie cytował rządową politykę „wolności religii".

„Oczywiście może pan korzystać ze swojej wolności – usłyszał, gdy zaczął dyskutować z tymi, którzy go przesłuchiwali. – Ale właśnie zajęliśmy i wyzwoliliśmy miasto. Wszędzie panuje chaos. Kręcą się ludzie o różnej proweniencji. Nie powinien pan głosić kazań na dworze".

W końcu dowódca wojskowy pozwolił mu odejść bez żadnych problemów.

Wewnątrz partii komunistycznej promowano wówczas strategię polityczną polegającą na ograniczaniu działań religijnych, by zreformować wyznawców, a w końcu zlikwidować w Chinach wszelkie formy kultu. W świecie religii nie wszyscy byli tacy święci, jak twierdzili.

Liao: Nawiązuje pan do Wu Yaozonga?

Yuan: Tak, chodzi mi o pana Wu, a także innych znanych działaczy religijnych, takich jak Ding Guangxun i Liu Liangmo. Podam panu kilka informacji na temat Wu Yaozonga. Urodził się w 1893 roku i został chrześcijaninem w młodym wieku. Studiował w seminarium w Nowym Jorku, a do Chin powrócił jako już wyświęcony pastor. Gdy komuniści doszli w Chinach do władzy, stał się ich wielkim zwolennikiem i przyjął ideologię komunistyczną. Powiedział, że w życiu przeżył dwa wielkie przełomy: pierwszy, gdy przyjął chrześcijaństwo i zmienił się z ateisty w człowieka wiary, drugi, gdy zaakceptował marksistowskie teorie społeczne, stojące w sprzeczności z religią. Bezwstydnie wymieszał swoje przekonania religijne z ateistyczną ideologią komunistyczną.

Wu został wybrany na członka Komitetu Krajowego Ludowej Politycznej Rady Konsultatywnej Chin. Trzykrotnie spotkał się z premierem Zhou Enlaiem, by zaplanować strategię reformowania chrześcijaństwa w Chinach. Zgodnie z jego planem należało zerwać wszelkie więzy z „zachodnimi imperialistami" i przyjąć zasady samorządzenia, samozaopatrzenia – czyli uwolnienia się od zagranicznego wsparcia

finansowego – i samopropagowania, czyli prowadzenia pracy misjonarskiej wyłącznie lokalnymi siłami. To właśnie są zasady trzech samodzielności. Wkrótce po ogłoszeniu planu Wu Chiny zaangażowały się w wojnę z Amerykanami w Korei. Ruch trzech samodzielności przekształcił się w ugrupowanie patriotyczne. Wszyscy chrześcijanie w Chinach musieli wybierać między „popieraniem własnego kraju" a „popieraniem zagranicznych imperialistów". Zrodził się fanatyzm. Kto się nie obnosił ze swoim patriotyzmem, był kontrrewolucjonistą. Około trzydziestu trzech tysięcy chrześcijan w Chinach wyraziło poparcie dla tak zwanego Patriotycznego Ruchu Trzech Samodzielności.

Mimo nacisków politycznych wielu chrześcijan się nie ugięło i odrzuciło zasady trzech samodzielności. W tamtym okresie w Pekinie działało około sześćdziesięciu chrześcijańskich kościołów i organizacji. Przywódcy jedenastu kościołów otwarcie wyrazili swój sprzeciw, twierdząc, że kościoły w Chinach od dawna stosowały zasady samorządzenia, samozaopatrzenia i samopropagowania. Nie ma potrzeby, by podpisywać te zasady w osobnym akcie. Wśród tych dzielnych przywódców kościelnych znajdował się przyjaciel mego ojca Wang Mingdao.

Ojciec nie należał do wypowiadających się otwarcie przywódców, ale od dawna twierdził, że Kościół i polityka powinny funkcjonować osobno. Jego ulubionym powiedzeniem było, że trzeba oddać Bogu, co boskie, a cesarzowi – co cesarskie. Naszego kościoła nie powinno się wykorzystywać do popierania interesów partii komunistycznej. Takie stanowisko ojca budziło niechęć wielu wyznawców i wielu też go opuściło. Poczynając od 1952 roku, urzędnicy rządowi nieustannie przychodzili, by go namawiać i naciskać na przyłączenie się do ich obozu. Ojciec odrzucał ich prośby i odmawiał uczestnictwa w sesjach nauk politycznych.

Początkowo urzędnicy z lokalnego Urzędu do spraw Religii odwiedzali go i przekonywali do zmiany zdania. Zachowywali

się trochę tak jak ci policjanci, którzy parę dni temu przyszli do nas do domu. W 1955 roku tolerancja władz się wyczerpała. Jak się okazało, nadeszła katastrofa największa ze wszystkich od czasów powstania bokserów w 1900 roku, gdy zamordowano ponad dwadzieścia tysięcy chrześcijan. W 1955 roku w całych Chinach spalono ponad tysiąc kościołów. Aresztowano dziesiątki tysięcy chrześcijan. Kilka tysięcy stracono pod zarzutem, że szerzą kult. Rząd uznał, że przywódcy religijni w Pekinie przestraszą się tego, co się działo w innych częściach kraju. Przewodniczący Mao nazwał to „osaczaniem wroga".

Liao: Jednak nikt nie zadeklarował poparcia dla Ruchu Trzech Samodzielności?

Yuan: Nikt. W nocy 7 sierpnia 1955 roku aresztowano wielebnego Wang Mingdao i jego żonę, a także kilkudziesięciu innych kaznodziejów.

Liao: Ci przywódcy kościelni otrzymali wieloletnie wyroki.

Yuan: Od piętnastu lat do dożywocia. Zagrożony torturami wielebny Wang napisał przyznanie się do winy i został natychmiast zwolniony, ale nie mógł sobie poradzić z poczuciem, że zdradził. Tortura duchowa była gorsza niż tortury fizyczne, więc sam zgłosił się na policję. Powiedział: „Spędzę resztę życia w więzieniu, by ułagodzić gniew Pana".

Mój ojciec też się zachwiał. Po aresztowaniach 7 sierpnia wielu kaznodziejów, w tym i on, ugięło się pod naciskami i zaczęło uczestniczyć w sesjach nauk politycznych. Pewien urzędnik komunistyczny powiedział ojcu: „Jesteś wciąż młody i masz przed sobą jasną przyszłość. Powinieneś spróbować się zreformować". Zachęcał go do otwartego wyrażania poparcia dla partii na wiecach, ale ojciec zachowywał milczenie. W głębi duszy czuł się rozdarty. W końcu, po długich modlitwach i autorefleksji, podjął decyzję i gdy w 1957 roku wezwano go do poparcia zasad trzech samodzielności, oświadczył, że polityka wyznaniowa rządu jest niesprawiedliwa. Chińska konstytucja gwarantuje wolność religijną, ale chrześcijanom nie wolno już z tej wolności korzystać. Część chrześcijan, ulubieńców

nowych władz, poparła zasady trzech samodzielności, ale to hipokryci. Gdy przyszli Japończycy, poddali się okupantom. Gdy przyszli Amerykanie, udało im się u nich zatrudnić. Teraz podlizują się nowemu rządowi. Ci ludzie nie są patriotami. To po prostu oportuniści, którzy wykorzystują religię do własnych interesów. Ojciec powiedział potem, że nigdy więcej nie czuł takiej euforii i wyzwolenia jak wówczas.

Podczas kampanii przeciw prawicowcom grupom spotykającym się na sesjach szkoleń politycznych powiedziano, że zgodnie z wolą rządu każda ma wskazać czterech „prawicowców" – ludzi, którzy odeszli od linii partii. I tym prostym sposobem ojciec stał się wrogiem ludu.

Jednak gdy już ojca uznano za prawicowca, nie musiał udawać, że jest politycznie postępowy, i przestał uczestniczyć w szkoleniach politycznych. Zostawał w domu, by modlić się i studiować Biblię. Głosił kazania. „Głową Kościoła jest Jezus, a nie urzędnik w Urzędzie do spraw Religii" – powiedział, gdy przyjaciele namawiali go do ostrożności. Pastor Qi, stary przyjaciel rodziny, przyszedł raz do nas na obiad i powiedział ojcu:

„Bracie Yuanie, chcę ci dać pewną radę. Wiem, że nie posłuchasz, ale jako przyjaciel uważam, że moim obowiązkiem jest ci to powiedzieć. Znalazłeś się teraz w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Pod tym nowym dachem radzę ci, byś pochylił głowę i wziął w karby swój temperament. Skoro nie potrafisz, przynajmniej udawaj, że się dostosowujesz, i nie odmawiaj uczestnictwa w szkoleniach politycznych. Jeśli będziesz uparcie trzymał się swoich poglądów, mogą cię spotkać trudne do wyobrażenia konsekwencje. Zrób to dla swojej rodziny. Masz pod opieką chorą matkę i dzieci. Jeśli coś ci się przytrafi, co się z nimi stanie? Twoje dzieci przez resztę życia będą chodziły z łatką kontrrewolucjonistów. To wobec nich niesprawiedliwe".

Pastor Qi mówił coraz bardziej emocjonalnie. Po twarzy spływały mu łzy. Ojciec pozostał nieporuszony. Na koniec pastor Qi powiedział: „Skoro komuniści żądają, byśmy poparli

politykę trzech samodzielności, musimy to zrobić. Jaki inny mamy wybór?".

Pod koniec 1957 roku władze po raz ostatni zwróciły się do naszej rodziny, by „uratować" ojca. Dyrektor rejonowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego zadzwonił do mojej matki, wzywając ją i babcię do miejscowego Urzędu do spraw Religii. Gdy przyszły, zastępca dyrektora powitał je bezwzględną radą: „Zaprosiłem was tu w nadziei, że porozmawiacie z Yuan Xiangchenem i wpłyniecie na zmianę jego sposobu myślenia. Jak mówi chińskie przysłowie: »Wstrzymaj konia na brzegu przepaści«. Nie możemy już dłużej tolerować jego postawy. Wciąż jest młody, ma tylko czterdzieści cztery lata. Powinnyście pomóc rządowi go uratować. Nie bierzcie naszej łaskawości za słabość. Gdybyśmy chcieli go zamknąć, możemy to zrobić w każdej chwili. A gdy to się stanie, ucierpi cała wasza rodzina".

Liao: „Wstrzymaj konia..." używano podczas rewolucji kulturalnej jako ultimatum.

Yuan: Ojciec od razu wiedział, co oznaczają te słowa.

Liao: Czy pana ojciec nie mógł pójść na pewne ustępstwa dla dobra rodziny? Nie ma usprawiedliwienia dla takiego działania, na skutek którego cierpi cała rodzina.

Yuan: Dokładnie przemyślał te kwestie. Zasięgał także rady wielu przyjaciół. Jednak dla chrześcijanina największym nieszczęściem jest nie ta katastrofa, która spada na niego na tym świecie, ale zdrada Boga w imię świeckich, ziemskich spraw. Nawet jeśli zdoła ochronić krewnych czy zachować majątek, jego dusza na zawsze pozostanie zamknięta w ciemnościach, bez perspektywy zbawienia. Ojciec uważał, że to jest najgorsze nieszczęście.

Liao: Długo siedziałem w więzieniu, ale wciąż nie mogę sobie wyobrazić takiej determinacji jak pańskiego ojca. Gdyby władze wykorzystały moich krewnych czy przyjaciół jako zakładników, by mnie szantażować, zmuszać do wyrzeczenia się wiary, przyznawałbym się do winy, kłamałbym, robiłbym wszystko, czego by ode mnie wymagali.

Yuan: Ale nie odciąłby pan sobie prawej ręki i nie przysiągł, że nigdy więcej nie będzie pan pisać, prawda?

Liao: Nie, oczywiście, że nie.

Yuan: To ta sama zasada. Ojciec nie mógł zdradzić swojej wiary, bo wiara była jego życiem. Gdy ktoś traci życie, to co może zostawić rodzinie?

Podczas tych długich bezsennych nocy ojciec klęczał i modlił się o odwagę. Miał przed sobą wybór: albo wyrazić chęć zmiany i przystąpić do rządowego Kościoła Potrójnie Samodzielnego, albo zaakceptować więzienie i oddzielenie od rodziny.

Ojciec modlił się przez dziesięć dni, a w tym czasie nikt nie przyszedł, by go nękać. Zaczął już myśleć, że być może władze odstąpiły od aresztowania go, ale policja pojawiła się 19 kwietnia 1958 roku około jedenastej wieczorem. Najpierw uprzejmie zapukali do drzwi. Na zewnątrz stało dwóch policjantów z miejscowego posterunku. „Zaprosili" mego ojca na krótkie spotkanie w lokalnym biurze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Czekało tam na niego kilku policjantów. Przeczytali mu nakaz aresztowania i założyli kajdanki. Oskarżono go, że jest „aktywnym kontrrewolucjonistą". Równocześnie grupa żołnierzy splądrowała nasz dom, zrzucając na ziemię i depcząc egzemplarze Biblii, książki z hymnami i inną literaturę chrześcijańską. Otwierali i opróżniali kufry, przeglądali wszystkie szafy. Żelaznymi prętami szukali skrytek pod drewnianymi podłogami i w ścianach, wyrywając ich fragmenty, ilekroć słyszeli głuchy pogłos. Sprawdzili nawet staw używany do ceremonii chrztu. Nie znaleźli nic, czego by kaznodzieja nie mógł mieć; żadnych sztabek złota, żadnych materiałów antykomunistycznych. O wpół do piątej rano żołnierze odjechali ciężarówką, zabierając książki i wszystko, co miało jakąś wartość. My, dzieci, stałyśmy i patrzyłyśmy. Nigdy nie zapomnę tamtej nocy.

Ojciec wrócił do domu po dwudziestu jeden latach i ośmiu miesiącach. Matka, teraz żona aktywnego kontrrewolucjonisty,

straciła pracę dyrektorki komitetu ulicznego. Mój siedemnastoletni brat, wybrany na przewodniczącego komunistycznej organizacji młodzieżowej w swojej szkole, został z tego stanowiska usunięty. Rodzinę zmuszono do wyprowadzki z ulicy Fuchengmen i wprowadzenia się w osiem osób do maleńkiego mieszkanka o powierzchni piętnastu metrów kwadratowych przy ulicy Baitasinei; paradoksalnie, była to część zachodniego skrzydła dawnej rezydencji tybetańskiego lamy w pobliżu Świątyni Białej Wieży.

By utrzymać rodzinę, matka znalazła czasowe zatrudnienie na placu budowy. Była to ciężka praca, której nikt inny nie chciał wykonywać. Matka była wdzięczna za jakiekolwiek zajęcie, mimo że zarabiała bardzo mało.

Liao: W latach 1955–1958 w całym kraju aresztowano chrześcijańskich kapłanów i zamykano kościoły. W Pekinie ponad sześćdziesiąt kościołów połączono w cztery, a nawet te cztery zamknięto podczas rewolucji kulturalnej. W pewnym sensie rząd uzyskał to, o co mu chodziło – likwidację wszelkiej działalności religijnej w Chinach.

Yuan: Nie mogli jednak kontrolować tego, co ludzie mieli w sercach. W tych ciężkich latach codziennie modliliśmy się razem z matką. Pewnego dnia matka nie miała nic, czym mogłaby nakarmić sześcioro swoich dzieci. Uklękła i modliła się: „Boże, nie mamy ryżu. Nie mamy mąki. Nie mamy nic do jedzenia. Jutro będzie tak samo. Jeśli chcesz, byśmy tak cierpieli, będziemy posłuszni Twojej woli. Nakarmię je gorącą wodą...".

Następnego dnia do naszych drzwi zapukała jakaś kobieta. „Czy to dom brata Yuana?" – spytała. Matka potwierdziła. Kobieta wyjęła z kieszeni kopertę i podała jej. W kopercie znajdowało się pięćdziesiąt juanów. Matka uniosła głowę, by podziękować, ale tej kobiety już nie było. Pięćdziesiąt juanów wystarczyło, by karmić rodzinę przez dwa miesiące. Matka uklękła i podziękowała Bogu. W ciągu następnych dwudziestu lat regularnie otrzymywaliśmy pocztą anonimowe przesyłki z gotówką.

Liao: Kiedy dowiedzieliście się, co się dzieje z ojcem?

Yuan: Nie mieliśmy żadnych wiadomości o miejscu jego pobytu aż do listopada 1958 roku, gdy do domu przyszedł urzędnik z miejscowego sądu i dał matce kopię wyroku. Dowiedzieliśmy się, że ojca skazano na dożywocie. Chrześcijanie prześladowani przez władze świeckie nigdy nie składają apelacji. Matka też dostosowała się do tej tradycji. I tak by się to na nic nie zdało.

W listopadzie ojciec przysłał nam kartkę z więzienia w Pekinie, podając datę naszej pierwszej dozwolonej wizyty. Matka zabrała więc mnie, moją najmłodszą siostrę i babcię na ulicę Zixing.

W poczekalni tłoczyli się odwiedzający. Wpuszczano małe grupki na półgodzinne widzenie. Ojcu ogolono głowę, wyglądał na słabego. Byliśmy tacy podnieceni, że się znów widzimy. Po prostu trzymaliśmy się za ręce i nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. Matka chciała ojca poinformować, że aresztowano jeszcze więcej sióstr i braci chrześcijan, ale przez całą wizytę obok stał strażnik.

Liao: Czy w więzieniu ojciec spotkał jakichś innych chrześcijan?

Yuan: Tak. Pewnego wieczoru w 1959 roku więźniowie oglądali na dworze film propagandowy, gdy ojciec zauważył, że przed nim siedzi jego mentor, wielebny Wang Mingdao. Przez kilka sekund patrzyli na siebie. Żaden nic nie powiedział, ale obaj wznieśli oczy do nieba – nawiązując do Boga w niebiosach.

Czasami ojciec wpadał na jakiegoś znajomego chrześcijanina, ale stał się bardzo ostrożny. Gdy przebywał w areszcie, były katolik doniósł władzom, że ojciec w więzieniu wciąż naucza. Został ukarany.

Pod koniec lata 1960 roku w wielu częściach Chin wybuchła klęska głodu, a poziom przestępczości dramatycznie wzrósł. Więzienia w Pekinie były przeludnione. Rząd postanowił więc wysłać więźniów o długich wyrokach do obozów pracy w Xingkaihu w północno-wschodniej prowincji Heilongjiang, blisko granicy ze Związkiem Radzieckim. Ojciec także znalazł się w tej grupie.

Gdy przybyli na miejsce, spali w namiotach ogrodzonych drutem kolczastym i produkowali cegły, by zbudować sobie więzienie. Potem spali tam stłoczeni na jednej pryczy długości pięćdziesięciu metrów.

W zimie temperatura w Heilongjiangu spada do minus trzydziestu stopni. Pewnego dnia, gdy pracowali na polu, jeden z więźniów zauważył, że nos mego ojca stracił kolor. Ojciec pobiegł do budynku, by się ogrzać, więc uniknął poważniejszej szkody. Niektórzy mieli mniej szczęścia i tracili na zimnie uszy. Ojciec widział kilku więźniów, którzy zamarzli na śmierć, jak nagie pnie na polu. Trudno sobie wyobrazić, jak ojciec, chudy i fizycznie słaby intelektualista, zdołał przeżyć te długie, mroźne zimy. Powiedział, że nigdy nie chorował. W 1962 roku oficjalnie nastąpił kres przyjaźni Chin i Związku Radzieckiego, a obie strony gotowały się do wojny. Obozy zamknięto. Spośród ponad dwóch tysięcy więźniów pięćdziesięciu było kontrrewolucjonistami – najniebezpieczniejszymi zbrodniarzami – i tych odesłano do Pekinu. Ojciec uznał to za błogosławieństwo – będzie mógł widywać rodzinę, jedzenie będzie lepsze. W Heilongjiangu więźniowie żyli na dzikich warzywach i chlebie zrobionym ze zbożowych plew. W Pekinie przynajmniej mógł liczyć na słodkie bataty. Poza tym rodzinom wolno było przysyłać dodatkowe jedzenie dla uzupełnienia skąpych więziennych racji.

W październiku 1965 roku skończyłem szkołę średnią i zostałem przydzielony do pracy w gospodarstwie wojskowym w północno-zachodniej prowincji Ningxia. Przed wyjazdem odwiedziłem ojca. Ujął mnie za ręce i długo trzymał. „Masz już osiemnaście lat i rozpoczniesz nowe życie na wsi. Musisz się nauczyć o siebie dbać. Czy czujesz silną wiarę? Czy potrafisz śpiewać hymny?" Gdy na te wszystkie pytania odpowiedziałem „tak", uśmiechnął się. Widziałem, że jest bardzo szczęśliwy. Następnym razem zobaczyłem go dopiero po czternastu latach.

Liao: Jak strażnicy odnosili się do jego przekonań religijnych?

Yuan: Strażnicy byli całkowicie zindoktrynowani przez komunistów. W ich rozumieniu między religią a przesądami nie było żadnej różnicy. Mnisi i kaznodzieje to to samo, co czarownicy i szamani. Pewnego dnia funkcjonariusz więzienny rozdawał ulotki o tym, jak wyeliminować w Chinach praktykowanie przesądów. Otrzymawszy te materiały, ojciec wstał i powiedział: „Nie praktykuję żadnych przesądów. Moja wiara jest prawdziwa". Otaczający go ludzie zdenerwowali się, ale funkcjonariusz więzienny okazał ciekawość: „Mówisz, że twoja wiara jest prawdziwa. Mnisi w świątyniach uważani są za prawdziwych wyznawców buddyzmu. Czy byłeś mnichem?". Ojciec odparł z powagą: „Nie, nie byłem mnichem w rodzimej chińskiej świątyni. Jeśli chcecie użyć mnichów jako punktu odniesienia, mogę powiedzieć, że jestem mnichem z włosami w zagranicznej świątyni". Funkcjonariusz więzienny wybuchnął śmiechem, a mój ojciec od tej pory zyskał sobie przydomek „zagraniczny mnich".

Liao: Ten funkcjonariusz robi wrażenie wolnego od uprzedzeń.

Yuan: W porównaniu ze służbą więzienną w innych prowincjach funkcjonariusze w Pekinie byli znacznie lepiej wykształceni i bardziej cywilizowani. Panowały tu także znośniejsze warunki. Lecz dobre dni nie trwały długo. W 1966 roku rozpoczęła się rewolucja kulturalna i wielu intelektualistów oraz byłych urzędników państwowych uznano za kontrrewolucjonistów. W krótkim czasie więzienia w Pekinie się zapełniły, więc władze znów wysłały do Heilongjiangu więźniów z długimi wyrokami. Ojciec trafił do innego gospodarstwa. Ponownie musieli rozpoczynać wszystko od nowa – robić cegły, budować sobie baraki. Pod koniec 1966 roku nawet więźniów zmobilizowano do rewolucji kulturalnej i kazano im donosić na siebie nawzajem o antypartyjnym sposobie myślenia i działania. Mojego ojca, jako „sługusa zachodnich imperialistów", przeniesiono do więzienia o ściślejszym nadzorze, co oznaczało, że musiał codziennie brać udział w szkoleniach politycznych, wysłuchiwać przemówień i pisać wyznania win.

W sprawach politycznych mój ojciec był całkowitym analfabetą. Choć uczestniczył w wielu szkoleniach, zawsze myślał o czymś innym. Nigdy nie umiał się skupić. Pewnego dnia z grupą więźniów słuchał wiadomości radiowych, gdy w roztargnieniu powiedział na głos: „Dlaczego w codziennych wiadomościach nie słyszymy nigdy prezydenta Liu Shaoqi? Czy stracił stanowisko? Czy to znaczy, że wewnątrz partii komunistycznej toczy się walka polityczna?".

Liu Shaoqi padł ofiarą czystek Mao. O uwagach mego ojca doniesiono władzom. Oskarżono go o „żywienie wrogich zamiarów" wobec partii. Podczas przesłuchania odpowiadał krótko. „Yuan Xiangchenie, czy wciąż wierzysz w Boga?" „Tak, wierzę". Funkcjonariusz sądził, że się przesłyszał. Powtórzył pytanie, a ojciec spokojnie odpowiedział: „Tak, wierzę". Funkcjonariusz wpadł we wściekłość. „Jesteś przeklętym, upartym, niepoprawnym, skrajnym kontrrewolucjonistą. Twego problemu nie da się już rozwiązać przez szkolenia. Zasługujesz na surową karę".

Ojca zamknięto w małej, ciemnej celi o wymiarach mniej więcej dwa na dwa metry. Nie było w niej okna ani wentylacji. Ojciec mówił, że czuł się jak w grobie. Dwa razy dziennie przez mały otwór w dole drzwi, „szparę do karmienia psa", wsuwano mu jedzenie. Przebywał tam przez sześć miesięcy. Kazano mu siedzieć z wyprostowanymi plecami i rozmyślać o popełnionych błędach. Strażnicy go sprawdzali. Jeśli nie siedział prosto, bili go.

Ponieważ sytuacja polityczna na zewnątrz pogorszała się, coraz więcej ofiar czystki trafiało do więzienia, panował tam tłok. By pomieścić rosnącą liczbę „złych ludzi", ojciec czasami musiał dzielić swą maleńką celę z innym więźniem, ale większość z nich trzymano tam tylko przez parę dni w ramach dodatkowej kary i wkrótce wypuszczano. Ojciec był stałym mieszkańcem.

Przebywał w tej celi pół roku – pół roku bez mycia się, bez zmiany ubrania, nie widząc słońca – a kiedy wyszedł,

wyglądał jak szkielet, brudny i tak słaby, że ledwie chodził. Gdy wstał, podłogę wokół niego zaścielały pchły. Światło słoneczne przez długi czas go oślepiało. Powoli jednak doszedł do siebie.

Liao: Gdy tamtego dnia zobaczyłem pańskiego ojca, nie mogłem uwierzyć, że ma blisko dziewięćdziesiąt lat. Wciąż ma ciemne włosy, wygląda na silnego i pełnego energii. Nie widać po nim tego, co wycierpiał.

Yuan: Wiele osób komentuje jego długowieczność i dobre zdrowie. Może to dziwnie zabrzmi, ale wyrok więzienia uchronił go przed znacznie gorszymi prześladowaniami w Pekinie. Podczas rewolucji kulturalnej Czerwona Gwardia pobiła na śmierć wielu pastorów. Pekin znalazł się w centrum rozruchów. Na szczęście na północnym wschodzie sytuacja nie była tak dramatyczna.

Na wiosnę 1969 roku w więzieniu mego ojca panował taki tłok, że jego i innych przestępców, około tysiąca więźniów, odesłano do odległego regionu Nenjiang. Znów musieli budować sobie baraki.

Liao: Ile razy musiał sam sobie budować więzienie?

Yuan: To był czwarty raz. Wkrótce po przybyciu na nowe miejsce wpadł na dawnego przyjaciela Wu Mujia, jednego z jedenastu przywódców kościelnych, którzy odmówili poparcia polityki trzech samodzielności. Wu odsiadywał piętnastoletni wyrok. Ojciec zauważył go, gdy pracowali na polu warzyw. Przepisy więzienne zabraniały rozmów między więźniami, toteż ojciec, zamiast powitania, zaczął głośno nucić hymn. Wu usłyszał melodię, podniósł wzrok i rozpoznał przyjaciela. Patrzyli na siebie przez kilka sekund, a potem Wu się odwrócił. Ojciec sądził, że Wu razem z nim zacznie nucić hymn, ale tego nie zrobił, a ojca zaszokowała reakcja przyjaciela. Dawniej byli sobie bliscy i wiele razem przeszli w życiu. Dowiedział się później, że Wu wyrzekł się wiary. Ta wiadomość bardzo go przygnębiła.

Liao: Czy nie było tak, że jedni załamywali się na skutek nacisków politycznych, a inni tym bardziej byli zdecydowani wytrwać?

Pamiętam chrześcijańskiego kaznodzieję nazwiskiem Ba Fo, z północno-zachodniego miasta Yinchuan, który przez wiele lat przebywał w więzieniu. Gdy zmarł przewodniczący Mao, Ba zwolniono przed terminem. W dokumentach władze podały, że przyznał się do swoich przestępstw. Ponieważ nie była to prawda, Ba Fo chciał, by władze wprowadziły poprawkę w papierach. „Nie musicie mnie wypuszczać. Nigdy nie przyznałem się do żadnego przestępstwa". Jego wniosek odrzucono, więc zażądał, by go na powrót umieszczono w więzieniu. Odmówili. Zbudował wtedy przed więzieniem małą szopę i mieszkał tam, poszcząc pięć dni w tygodniu, by ułagodzić to, co nazywał bożym gniewem. Mieszkał w tym szałasie przez dwadzieścia parę lat, aż do śmierci.

Yuan: Wiara podtrzymywała ojca na duchu, umożliwiając przeżycie. Nikt z rodziny nie wierzył, że przeżyje. W normalnych warunkach wiele osób z wyrokami dożywocia w końcu albo popełniało samobójstwo, albo traciło rozum. Ojciec doświadczył strasznych katuszy fizycznych, ale przeżył. Żartuje nawet, że powinien być wdzięczny za to, że w obozie pracy na północnym wschodzie kazano mu nosić kosze z ziemią wiszące na końcach koromysła. Drogi były oblodzone, musiał więc trzymać się bardzo prosto, by nie upaść na twarz. Teraz chodzi wyprostowany, nie garbi się i nie cierpi na zadyszkę, jak inni ludzie w jego wieku.

Dwudziestego grudnia 1979 roku, gdy ojciec wrócił z pola, do jego baraku wszedł strażnik i dał mu kartkę, na której było napisane: „Przestępca Yuan Xiangchen został warunkowo zwolniony. W okresie zwolnienia warunkowego, które rozpoczyna się od dnia jego zwolnienia z więzienia i trwa do roku 1989, nie wolno mu opuszczać Pekinu. Yuan ma się regularnie meldować w tamtejszym biurze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i informować o swoich działaniach i opiniach". Z tym dokumentem w ręku ojciec natychmiast się spakował i poszedł piechotą trzy kilometry na przystanek autobusowy, w najbliższym mieście wsiadł do pociągu, przejechał przez

trzy prowincje i dotarł do Pekinu. Jego telegram, mówiący, że wraca do domu, całkowicie nas zaskoczył.

Mój starszy brat pisał wcześniej do miejscowego sądu, wskazując, że ojciec został fałszywie oskarżony przez fanatyków w epoce Mao, i zwracając się do sędziego z wnioskiem o dostosowanie się do polityki rządu, odwołanie wyroku i oczyszczenie jego imienia. Bratu odpowiedziano, że ojciec był przywódcą kontrrewolucyjnej kliki, a wyrok pozostaje w mocy. Otrzymał standardowy list: „Rozpatrzyliśmy wnikliwie pańską prośbę. Jesteśmy zdania, że wyrok wydany przez nasz sąd przeciwko pańskiemu ojcu wciąż obowiązuje. Postawione mu zarzuty nie uległy zmianie". Na liście, datowanym 16 listopada 1979 roku, widniała pieczątka sądu.

Liao: I zaledwie miesiąc później pańskiego ojca warunkowo zwolniono...

Yuan: Partia komunistyczna potrafi być kapryśna.

Poszliśmy wszyscy na dworzec, by go powitać, ale on, chcąc jak najszybciej połączyć się z rodziną, złapał nocny autobus z Baitasi. Chodził po okolicy, starając się znaleźć nasz dom, i zaczął wołać po imieniu moją matkę. W domu przebywała moja szwagierka, która usłyszała ojca. Wtedy dopiero się poznali. Gdy wróciliśmy, ojciec siedział już, mocząc stopy w misce z gorącą wodą.

Liao: Jak pański ojciec przystosował się do życia na wolności?

Yuan: To nie było łatwe. Całkowicie gubił się w realiach współczesnego życia, ale o ile musiał nauczyć się kontaktów ze światem fizycznym, o tyle ze światem duchowym wciąż pozostawał związany. Jego wiara być może nawet się umocniła. Po 1979 roku zwalniano wiele osób więzionych za przekonania religijne. Jeśli otwarcie wyrazili poparcie dla usankcjonowanych przez rząd trójsamodzielnych kościołów, Urząd do spraw Religii dawał im pracę, oferował rekompensaty i przydzielał mieszkania. Wu Mujia przystąpił do Kościoła Potrójnie Samodzielnego i otrzymał posadę nauczyciela w Akademii Teologicznej w Yanjingu. Prowadził bardzo wygodne życie.

Mój ojciec nawet nie zawracał sobie głowy wnioskami do sądu o oczyszczenie swego imienia i wkrótce podjął działalność duszpasterską.

Przekształcił nasz dom w kościół. Początkowo głosił kazania dziesięciu osobom. W ciągu kilku lat jego kongregacja powiększyła się do trzystu członków, a jego kościół domowy stał się największy w Pekinie. Dom był zdecydowanie za mały, żeby pomieścić aż tyle osób – rozbieraliśmy łóżka, by zrobić więcej miejsca – i szybko się okazało, że gdy ojciec naucza, cała uliczka jest pełna wyznawców. Żartowaliśmy wtedy: „W domu wszystkiego brakuje poza Bibliami i ławkami, a te dostaliśmy w darze". Ojciec wciąż uważa, że państwo i Kościół muszą być niezależne od siebie, a Kościół powinien sam się utrzymywać. Kilka zagranicznych organizacji chrześcijańskich, takich jak na przykład Open Doors, zaoferowało nam pomoc, darowując egzemplarze Biblii. Ojciec jest zdania, że nie należy rejestrować kościoła domowego jako organizacji non profit, ponieważ to umożliwiłoby rządowi kontrolę. Nasz dom kilkakrotnie przeszukiwano i jesteśmy nieustannie nękani, ale stanowisko ojca pozostaje niezmienne. Nadal głosi nauki, a liczba jego zwolenników wzrosła kilkakrotnie. Kilka lat temu przeprowadziliśmy się do nowego mieszkania. Tego właśnie, w którym nas pan odwiedził.

Liao: Postanowiłem odwiedzić pańskich rodziców, ponieważ widziałem wywiad z nimi w niedawno nakręconym filmie dokumentalnym Krzyż. Jezus w Chinach. *Jest w nim scena, w której pański ojciec chrapliwym głosem, ale z przejęciem śpiewa przed kamerą hymn:*

O, jak cenię ja stary ten krzyż,
W nim ratunek ludzkości jest dan.
Lgnę do niego, a w niebie ten krzyż
Na koronę zamieni mi Pan.*

* Słowa polskie za: http://www.spiewnik.fogi.pl/teksty/2718,stary_krzyz. Dostęp: 26.02.2014.

Pańska matka mu wtóruje, on zaś gestykuluje, a na jego twarzy maluje się uniesienie. Trudno uwierzyć, że dobiega już dziewięćdziesiątki, a do tego tak długo przebywał w więzieniu. Bardzo to było wzruszające.

Yuan: Tytuł hymnu brzmi *Stary krzyż*. Moi rodzice są młodzi duchem. Powinienem wspomnieć wieczór 3 czerwca 1989 roku, gdy uzbrojeni żołnierze zajęli ulice i zaczęli rozprawę z protestującymi studentami. U nas w domu słychać było niemilknącą strzelaninę. Ojciec nie dawał się zastraszyć. Upierał się, że nabożeństwo powinno się odbyć niezależnie od tego, co się dzieje. Następnego ranka wstał o piątej rano. Autobusy nie chodziły, przejechał więc na rowerze piętnaście kilometrów do domu mojej siostry i wygłosił kazanie do zgromadzonych tam chrześcijan. W kazaniu potępił działania rządu przeciwko studentom i obywatelom. Przywołał Słowo Boże, by pocieszyć ofiary masakry. Gdy teraz o tym myślę, widzę, że taka samotna wyprawa tamtego dnia była dość niebezpieczna. Żołnierze wciąż strzelali na ulicach na oślep, ale ojciec, który dobiegał już osiemdziesiątki, wyszedł spokojnie i bez lęku.

Liao: Jak rząd obecnie reaguje na działalność pana ojca?

Yuan: Cały czas jesteśmy nękani. Co roku policja oskarża ojca o organizowanie nielegalnych zgromadzeń i grozi, że znów go wsadzi do więzienia. Natężenie działań policji ma wiele wspólnego z sytuacją polityczną w Pekinie. Na przykład gdy trwają zjazd partii albo obrady zgromadzenia ustawodawczego, albo gdy nadchodzi rocznica masakry na placu Tiananmen, albo w święto narodowe, gdy do Chin przyjeżdżają najważniejsze głowy państw, w takie dni policja nadzoruje nas dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nasz telefon jest wtedy na podsłuchu albo w ogóle zostaje wyłączony. Utrudniają innym chrześcijanom przychodzenie na nabożeństwa, gdy ojciec wygłasza kazanie. Jeśli do Chin przyjeżdżają z wizytą prezydent Obama albo przywódcy religijnych czy międzynarodowych organizacji zajmujących się prawami człowieka, policja zabiera rodziców i umieszcza gdzieś daleko w hotelu, żeby ojcu na

pewno uniemożliwić rozmowę z zagranicznymi mediami czy zrobienie czegoś, co wprawiłoby rząd w zakłopotanie. Kiedy indziej natomiast nic takiego się nie dzieje.

Liao: Chyba sporo dysydentów w Pekinie jest traktowanych podobnie.

Yuan: Inaczej niż działania różnych dysydentów, praca mego ojca nie jest skierowana przeciwko rządowi. Jest tu, by pracować dla Boga.

Liao: A jak pana ojciec radzi sobie z tym nękaniem?

Yuan: Lata więzienia wcale go nie zmieniły. A nawet stał się twardszy i bardziej zdeterminowany. Ilekroć w naszym domu pojawia się policja, ojciec wychodzi jej naprzeciw. „Jeśli moi współwyznawcy chcą przychodzić, nie mogę im przeszkodzić, chyba że na moich drzwiach zawiesicie kłódkę, a mnie aresztujecie. Jestem człowiekiem wiary. Jeśli prawa religijne państwa są sprzeczne z moją wiarą, to bardzo mi przykro. Jednak ja muszę się słuchać Słowa Bożego". Policjanci często mogą jedynie kręcić głowami. Jak pan widzi, ojciec odmawia ustępstw przed władzami świeckimi.

Liao: Słyszałem, że prezydent Stanów Zjednoczonych Bill Clinton zaprosił raz pańskiego ojca do udziału w dorocznym śniadaniu modlitewnym w Białym Domu, na które przyjeżdżają przywódcy chrześcijańscy z całego świata.

Yuan: Tak, ale ojciec odrzucił zaproszenie, ponieważ rząd Stanów Zjednoczonych zaprosił także przywódców trójsamodzielnych kościołów. Nie zamierzał modlić się w tym samym pokoju z tymi, którzy kłaniali się władzy i wyrzekli wiary. Co więcej, nie chciał brać udziału w działaniach religijnych organizowanych przez rząd, czy to amerykański, czy chiński. No i w końcu, nawet gdyby przyjął zaproszenie, rząd chiński i tak nie dałby mu paszportu. Ojciec uważa, że nie należy się wiązać z pieniędzmi i władzą. Nie jest to łatwe w obecnych czasach, ale cała nasza rodzina go wspiera. Wszyscy jesteśmy chrześcijanami i mimo rozlicznych trudności uważam, że w Chinach możemy liczyć na jasną przyszłość.

Epilog

Wielebny Yuan Xiangchen zmarł w 2005 roku w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat. Miał sześcioro dzieci; wszystkie są pobożnymi chrześcijanami. Jego syn Yuan Fusheng, z którym przeprowadziłem ten wywiad, nadal aktywnie działa w społeczności chrześcijańskiej w Pekinie.

Poetka i kapłan

– Jestem zrozpaczona – szepnęła. – Nie mogę zostać w Chinach. Chcę stąd uciec.

Gdy ostatni raz widziałem Liu Shengshi, była młoda i piękna. Teraz miała pomarszczoną, szorstką skórę, a na jej czole rysowały się głębokie bruzdy. W latach osiemdziesiątych przewodziła ruchowi poezji awangardowej w Syczuanie, później gdzieś przepadła i zniknęła – od lat nikt nie miał z nią kontaktu. Pewnego dnia w 2002 roku siedziałem ze znajomymi przed księgarnią Trzy-Jeden w Chengdu, gdy nagle zaskoczył mnie widok idącej ku mnie, ubranej na czarno postaci. Zaskoczyły mnie też jej słowa. Przesiedliśmy się do osobnego stolika. Rozpłakała się. Została działaczką katolicką i spędziła siedem miesięcy w więzieniu za nawracanie na terenach wiejskich.

Liu mnie zaniepokoiła, zacząłem się więc w jej imieniu rozpytywać o możliwości wyjazdu, ale gdy próbowałem się z nią porozumieć, nie odpowiadała na moje telefony; ja zaś nie znałem innego sposobu, by się z nią skontaktować. Ujrzałem ją znowu trzy miesiące później, dwa dni po chińskim Nowym Roku. Przemawiała w ogródku herbaciarni. Robiła wrażenie spokojnej i odprężonej.

– Codzienne modlitwy przyniosły mi spokój wewnętrzny – powiedziała. Wyjaśniła też, że zbiera informacje na temat ojca

Zhang Gangyi, ważnej postaci w chińskiej społeczności katolickiej.

Liu pochodziła z rodziny działaczy komunistycznych. Jej ojciec walczył u boku Mao Zedonga w wojnie domowej. Gdy nacjonaliści uciekli na Tajwan, przebywał w Chengdu i brał udział w tworzeniu nowych władz. Przez wiele lat sprawował nadzór nad Ligą Młodzieży Komunistycznej w Chengdu. Poznał matkę Liu podczas kampanii nacjonalizacji prywatnych przedsiębiorstw. Była wówczas robotnicą w fabryce włókienniczej, oddaną sprawie komunizmu. Pobrali się, a na wiosnę 1961 roku, gdy w Chinach panował głód i bardzo niewiele niemowląt miało szansę przeżyć, urodziła się Liu.

Liu Shengshi: Byłam buntowniczką, czarną owcą. Nie czułam żadnej więzi ze swymi rodzicami. Gdy miałam zaledwie półtora roku, rodzice oddali mnie do przedszkola przeznaczonego wyłącznie dla dzieci wysokich funkcjonariuszy partyjnych. Potem chodziłam do specjalnej szkoły i specjalnego liceum. Na siłę karmiono mnie ideologią komunistyczną. Rodzice byli bardziej oddani pracy niż rodzinie. Gdy odwiedzali mnie i moje rodzeństwo, to jakby składali wizytę w więzieniu – krótko i oficjalnie. W końcu przeszli na emeryturę, partia już ich nie potrzebowała i nagle odkryli, że poza partią nie mają żadnego życia. Nie potrafili nawet żyć razem jako rodzina. Oboje są po siedemdziesiątce, ale całymi dniami się kłócą. Zachowują się całkiem irracjonalnie – wymyślają sobie, jakby byli zaprzysięgłymi wrogami.

Liao: Zawierzyli komunizmowi...

Liu: ...i nic im z tego nie przyszło. Poświęcili życie partii komunistycznej, a partia wypisała im za to wielki czek, nie mogą go jednak zrealizować, ponieważ partia zbankrutowała. Partia oszukała kilka pokoleń Chińczyków. Wszyscy stali się fanatykami. Wielu dawnych funkcjonariuszy przyłączyło się do ruchu Falun Gong; mimo rozlicznych wysiłków partia nie była w stanie zapobiec ich udziałowi w tym ruchu, który rząd uznał za kult.

Przyczyna była prosta – kierowało nimi rozczarowanie partią. Poświęcili życie, by dostać ten obiecany czek, a potem odkryli, że nie jest on wart nawet papieru, na którym go wypisano. Teraz, gdy ojciec mówi o najwyższych przywódcach komunistycznych, to zawsze ich wyklina. Razem z innymi weteranami wojennymi zamierzali okupować plac Tiananmen. Planowali założyć mundury, przypiąć wszystkie odznaczenia i zaprotestować przeciwko dawnym rewolucyjnym tradycjom i wartościom. Uważali, że nowe przywództwo splamiło oblicze partii. Policja dowiedziała się o tym pomyśle i postarała się ich od niego odwieść, pocieszając ich i obiecując różne korzyści. Ojciec zaangażował się w długą dyskusję z policją, a potem oznajmił, że zrozumiał, iż rząd nie lekceważy ich postulatów. Weterani się wycofali. I nie otrzymali niczego poza słowami.

Miałam dość rodziców i ich ideologii. Dlatego szukałam duchowego odrodzenia w Kościele. Przy chrzcie zmieniłam nawet imię. Obecne nadał mi ojciec Zhang Gangyi. Chwilę trwało, zanim odnalazłam swoją drogę. Bóg odmienił mój los, zrozumiałam, że moje życie ma znaczenie. To niełatwe. Byłam raz mężatką i długo błądziłam.

Liao: Nie zapominaj, że przyjaźniłem się z twoim byłym mężem.

Liu: Jak mogłabym o tym zapomnieć? Gdy mieszkaliśmy przy ulicy Reinkarnacji, próbowaliśmy razem pisać wiersze w duchu „strumienia świadomości". Pamiętasz, gdy się tak okropnie upiliśmy? Puściliśmy magnetofon i gadaliśmy głupoty do mikrofonu. Uważaliśmy, że tworzymy niezwykłą poezję. Tylko jeden wers pozostał z tego doświadczenia: „Czerwony wilk zmoczony winem, kapiącym mu z pyska". W 1986 roku, gdy poezja awangardowa podbiła cały kraj, mój dom zmienił się w hotel – jedna grupa wariatów się wyprowadzała, kolejna czekała, by się wprowadzić. Spali pokotem, jedli, pili i srali w moim domu. Stałam się pełnoetatową kucharką, kupowałam jedzenie i alkohol. Cały czas nic, tylko gotowałam. Pewnego wieczoru zamknęłam się w kuchni i odkręciłam gaz. Chciałam popełnić samobójstwo.

Liao: Dlaczego?

Liu: Ci moi przyjaciele-artyści mieli podobno być kulturalną elitą, ale okazali się bezwartościowymi, bezdusznymi zwierzętami. Raz zobaczyłam, jak się upili i uprawiali seks grupowy. Poczułam obrzydzenie. Gdzież w tym szukać jakiejś artystycznej wizji? Wszystko stało się całkiem bezsensowne. Zaczęłam słyszeć głosy...

W 1989 roku pracowałam na uniwersytecie, a gdy rozpoczęły się ruchy studenckie, obudziła się we mnie nadzieja na zmiany w Chinach. Starałam się wspierać swoich studentów. Potem rząd siłą zdusił protesty. Wpadłam w depresję. Przestałam się spotykać z ludźmi, zerwałam kontakty z innymi poetami. Błąkałam się bez celu po ulicach. Pewnego niedzielnego poranka przechodziłam obok kościoła katolickiego na ulicy Zouma. Usłyszałam śpiew, weszłam powodowana ciekawością i zobaczyłam kilkaset osób zgromadzonych pod wysokim, łukowym sklepieniem, śpiewających chórem do muzyki granej na organach. Stałam z tyłu, z pochyloną głową, i po chwili zdałam sobie sprawę, że nucę razem z nimi. Ktoś dotknął mego ramienia. Uśmiechała się do mnie stara kobieta. Twarz miała pomarszczoną jak kora tysiącletniego drzewa. Pokazała, że mam podnieść głowę i śpiewać. Czułam się zażenowana. Nigdy przedtem nie słyszałam śpiewanych hymnów. Nigdy nie słyszałam tak czystej, niebiańskiej muzyki. Do oczu napłynęły mi łzy. Babcia podała mi swoją książkę hymnów. Gdy znów się uśmiechnęła, zauważyłam, że został jej tylko jeden ząb. Stała tam, wypinając wyschłą, płaską pierś, i śpiewała z całego serca. Cały kościół był pod urokiem Jezusa, nic ich nie rozpraszało. Wszystko było takie jasne i czyste. Nigdy nie zapomnę pierwszego hymnu, jaki śpiewałam:

> Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.
> Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach.
> Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć:
> orzeźwia moją duszę.

Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach
przez wzgląd na swoje imię.
Chociażbym chodził ciemną doliną,
zła się nie ulęknę,
bo Ty jesteś ze mną.

Nie odważyłam się śpiewać głośno z obawy, że naruszę harmonię. Wypełniało mnie szczęście, czułam się jak zagubione dziecko, które odnalazło drogę. Podniosłam wzrok na krzyż nad ołtarzem i na Jezusa, który cierpiał za ludzi. Ogarnęło mnie wzruszenie; ciało miałam jak naelektryzowane. Chciałam układać wiersze, ale nie takie, jak te awangardowe śmieci, którymi się przedtem zajmowałam.

Liao: Byłem w kościele, o którym mówisz – Katolickim Kościele Patriotycznym Prowincji Syczuan.

Liu: Nie wiedziałam wówczas, że istnieją uznawane przez rząd trójsamodzielne kościoły patriotyczne oraz nielegalne kościoły domowe. Po nabożeństwie poszłam do miejscowego biura Patriotycznego Stowarzyszenia Katolików Chińskich, by się dowiedzieć, jak mogę wstąpić do Kościoła. Ksiądz robił wrażenie podejrzliwego. Dlaczego chcę zostać członkiem Kościoła? Wyjaśnił mi politykę partii wobec religii i zasady samorządzenia, samozaopatrzenia i samopropagowania. Podkreślił potrzebę patriotyzmu. Spytałam o Watykan. „Nasz chiński Kościół nie ma nic wspólnego z Watykanem – powiedział. – Nie sprawują nad nami kontroli". I dalej wygłaszał mi kazanie, wyjaśniając proces aplikacji. „Dobrze, że chcesz przystąpić do Kościoła – powiedział – ale musisz uzyskać poparcie ze swojego uniwersytetu. Potem twoje podanie zostanie rozpatrzone przez Kościół. Następnie musi zostać zatwierdzone przez miejscowy Urząd do spraw Religii. Twoje dokumenty będą tu przechowywane". I tak dalej, i tak dalej. Wydawało mi się to absurdalne. Przerwałam mu: „Czy nie powiedział mi pan właśnie, że wszyscy są równi i w naszym kraju panuje wolność religijna?". Ksiądz zaczął się bronić: „Oczywiście, że w naszym kraju panuje wolność religijna. Po prostu trzeba przejść przez

odpowiednie etapy. Może na początek kup egzemplarz Biblii i ją przeczytaj. A potem to przemyśl".

Po powrocie do domu zaczęłam czytać Biblię, którą mi sprzedał. Ogarnęło mnie rozczarowanie. Była to wersja skrócona; na końcu znajdował się schemat organizacyjny, według którego na szczycie stał Urząd do spraw Religii Komunistycznej Partii Chin, niżej – Patriotyczne Stowarzyszenie Katolików Chińskich, jeszcze niżej Konferencja Biskupów Chińskiego Kościoła Katolickiego, a potem biskupi, księża i tak dalej. Dziwnie było widzieć, że w kościelnej hierarchii najwyższą władzą jest partia komunistyczna. A gdzie Bóg? Wróciłam do biura i zażądałam zwrotu pieniędzy. Recepcjonistka powiedziała, że ksiądz wyszedł i powinnam przyjść później. Byłam wściekła i dawałam temu wyraz, stojąc w wejściu, gdy podeszła do mnie jakaś kobieta. „Daj sobie spokój z żądaniem zwrotu pieniędzy. Po prostu to wyrzuć". W ten sposób poznałam Nauczycielkę Bai, moją mentorkę. Pożyczyła mi własną Biblię i powiedziała: „Jeśli naprawdę chcesz zostać dzieckiem Pana, trzymaj się z daleka od tego miejsca. Patriotyczne Stowarzyszenie Katolików Chińskich należy do szatana".

Nauczycielka Bai zaprowadziła mnie do siebie. Kilka osób uczestniczyło w odprawianym tam nabożeństwie, które już zbliżało się do końca. Przedstawiła mnie zgromadzonym: „Oto nowa siostra, która cierpi. Pomódlmy się za nią". Kilkanaście kobiet odmówiło za mnie modlitwę różańcową. Od tamtej pory, ilekroć napotykam w życiu problemy, odmawiam modlitwę różańcową.

Liao: Czy wciąż spotykasz się ze swoją mentorką?

Liu: Nie. Aresztowano ją wkrótce po naszym spotkaniu. Została skazana na siedem lat więzienia za prowadzenie nielegalnej działalności religijnej. Od końca lat dziewięćdziesiątych rząd dokonał wielu nalotów na kościoły domowe w Chengdu. Aresztowano kilkoro przywódców Kościołów podziemnych, ponieważ głosili lojalność wobec Watykanu, a nie partii

komunistycznej. Wielu podziemnych przywódców stara się utrzymywać kontakt z Watykanem nielegalnymi kanałami. To długa historia. Tak czy inaczej, zanim aresztowano Nauczycielkę Bai, przedstawiła mnie ojcu Zhang Gangyi. Na wiosnę 1993 roku udałam się do wsi Zhangerce w powiecie Gaoling w prowincji Shanxi, gdzie ojciec Zhang mnie ochrzcił. Miał wtedy osiemdziesiąt sześć lat, a jego chrześcijańskie imię brzmiało Antoni. Mam nadzieję, że je zapamiętasz.

Liao: Po co?

Liu: Ponieważ stanowił inspirację dla nowego pokolenia katolików, takich jak ja. Mam nadzieję, że uda mi się kiedyś napisać książkę o jego życiu.

Liao: Słyszałem tylko o kardynale Gong Pingmaiu, którego aresztowano w latach pięćdziesiątych za to, że odmówił odcięcia się od Watykanu i uznania Kościoła sankcjonowanego przez państwo. Został skazany na trzydzieści lat. Pod koniec lat siedemdziesiątych, gdy wciąż jeszcze przebywał w więzieniu, papież potajemnie mianował go kardynałem, a publicznie ogłosił to w 1991 roku. W dziale międzynarodowym „Dziennika Ludowego" ukazał się artykuł mówiący, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych oskarżyło Watykan o wtrącanie się w wewnętrzne sprawy Chin. Mianowanie ogłoszono, dopiero gdy kardynał przeniósł się do Stanów Zjednoczonych.

Liu: W ciągu minionych pięćdziesięciu lat wielu Chińczyków zmarło na skutek ucisku i prześladowań ze strony państwa. Zazwyczaj nic nie wiemy o tych męczennikach, ponieważ rząd kontroluje media. Ty i inni dowiedzieliście się o kardynale Gongu, ponieważ partyjna gazeta wykorzystała go jako temat potępiającego artykułu. Tak samo ja dowiedziałam się o ojcu Zhangu: „Dziennik Ludowy" napisał o nim, by pokazać, jak „szkodliwa" jest religia dla narodu. Wzywano, by „wykorzenić przesądy, zmienić stare zwyczaje i tradycje". Dziennikarz pisał z sarkazmem. Artykuł brzmiał mniej więcej tak [Liu recytuje z pamięci]:

Niedawno w regionie doszło do epidemii, wiele osób zachorowało. Znaleźli się źli ludzie, którzy wykorzystali tę okazję do rozsiewania pogłosek, jakoby epidemia wynikała z faktu odrzucenia Boga. Pewnego dnia lokalni mieszkańcy twierdzili, że po północy nad starym grobem zagranicznego misjonarza ukazała się poświata. W poświacie pojawiła się postać Jezusa trzymającego krzyż. Były ksiądz katolicki natychmiast zgromadził grupkę wieśniaków o zacofanych poglądach politycznych. Zatruł umysły ludzi demagogicznymi w istocie wypowiedziami. Przytoczono mi jego słowa: „Ostatni już raz Pan się wam ukazuje. Bóg wzywa zbłąkane owieczki, by powróciły na właściwą ścieżkę". Ten były ksiądz twierdził nawet, że jest Piotrem, uczniem Jezusa. Co więcej, kilku miejscowych wieśniaków rozpowszechniało kłamliwe opowieści o tym, jak ten były kryminalista zaczerpnął wody ze śmierdzącego rowu, nad którym stał, i ją wypił. Rów w jednej chwili zamienił się w strumień czystej wody.

W rezultacie na miejsce, gdzie ukazała się poświata, przybyło wielu chorych, do których dotarły te opowieści, by napić się wody z pobliskiego czystego strumienia. Natychmiast wyzdrowieli i nigdy nie czuli się lepiej. Masy ludzi dały się oszukać tym bajkom i codziennie przybywały licznie do wsi Zhangerce, sądząc, że znalazły cudowne lekarstwo na swoje choroby. Gdy dziennikarz piszący ten artykuł udał się na miejsce, stwierdził, że wciąż jest tam brudny rów i nie ma śladu po czystym strumieniu. Nie został też żaden znak po świętej wizji.

Pod koniec artykułu reporter ostrzegał przed wiarą w przesądy i zalecał, by donosić o epidemii do wydziału zdrowia publicznego. Radził także czytelnikom, by „zachowali czujność wobec tych, którzy rozpuszczają plotki, a o złych ludziach donosili policji".

Tym byłym księdzem był ojciec Zhang Gangyi. Nie wiem, czy opowieść o poświacie i czystym strumieniu była prawdziwa, czy nie. Równie dobrze mogła zostać wymyślona przez partyjną gazetę, by oczernić ojca Zhanga, a może coś się wydarzyło, a miejscowi to rozdmuchali; wiesz, jacy są ludzie. Jednak ta „negatywna" historia sprawiła, że ojciec Zhang i wieś Zhangerce stali się sławni w całym kraju. Chrześcijanie ciągnęli ze wszystkich stron, niektórzy trzymając w dłoni ten właśnie

artykuł. Przyjeżdżali się modlić i uzyskać błogosławieństwo od ojca Zhanga. Dzięki niemu odrodził się w tym regionie katolicyzm. Aż do aresztowania pod koniec 1989 roku w miejscowym kościele w każdą Wielkanoc odprawiał wielką mszę.

Liao: I czego udało ci się o nim dowiedzieć?

Liu: Ojciec Zhang Gangyi urodził się w 1907 roku w katolickiej rodzinie we wsi Xincheng, w okręgu Xiyang. Dziś leży ona w prowincji Shanxi, w powiecie Sanyuan. W wieku osiemnastu lat wstąpił do klasztoru Tongyuanfang. Następnie przeniesiono go do klasztoru w diecezji Ankang, w południowej części prowincji Shanxi. W 1930 roku przyjęto go do zakonu franciszkanów, jednego z najbardziej znanych zakonów w Kościele katolickim. Franciszkanie sponsorowali jego studia w głównej siedzibie zakonu w Rzymie. W 1932 roku wstąpił do nowicjatu, a 15 sierpnia 1937 roku uzyskał święcenia.

Po wybuchu drugiej wojny światowej papież Pius XII wysłał ojca Zhanga jako kapelana do obozu jeńców wojennych w północnych Włoszech. Trzymano tam tysiące alianckich żołnierzy. Włochy za Mussoliniego były jednym wielkim obozem wojskowym. Wszędzie stały punkty kontrolne. Popularna wersja jego dziejów mówi, że ojciec Zhang został aresztowany i podczas przesłuchania oświadczył płynną angielszczyzną: „Jestem księdzem, nie jeńcem wojennym". Jednak przesłuchujący go oficer był innego zdania. „Ksiądz pochodzi z wrogiego kraju, uważamy więc księdza za jeńca wojennego" – powiedział. „W oczach Boga nie istnieje coś takiego jak wrogi kraj – zaprotestował ojciec Zhang. – Istnieje tylko szatan". Przesłuchujący roześmiał się: „Podczas wojny nasi wrogowie to właśnie szatani". Ojca Zhanga uznano za jeńca wojennego i wysłano do obozu, pewnie takiego, jakie widzi się w filmach o drugiej wojnie światowej – druty kolczaste, reflektory i wieżyczki strażnicze. Ojciec Zhang przez cały czas zajmował się alianckimi jeńcami, troszcząc się o rannych, modląc za tych, którzy potrzebowali jego modlitw, i co niedziela odprawiając mszę świętą. Stał się dosyć znany; nawet Mussolini przyjechał,

by się z nim spotkać. Po tym spotkaniu ojca Zhanga uczyniono kapelanem wszystkich obozów jenieckich w regionie; zyskał stosunkowo dużą swobodę poruszania się. Gdy pod koniec 1943 roku Włochy poddały się aliantom, władzę nad obozami jenieckimi przejęli Niemcy. Pod koniec 1944 roku ojciec Zhang dowiedział się, że zaplanowano egzekucję czterech tysięcy brytyjskich i amerykańskich więźniów. W deszczową noc udał się do obozu, szeroko otworzył bramę i zawołał: „Jesteście dziećmi Bożymi. Nikt poza Bogiem nie ma prawa odebrać wam wolności. Chodźcie za mną, opuśćcie to piekło na ziemi. Wracajcie do domów, do swoich rodzin. Niech Bóg wam błogosławi". Więźniowie wybiegli, rozbroili strażników i uciekli.

Istnieją dwie wersje tego, co się dalej przydarzyło ojcu Zhangowi. Wersja zamieszczona w internecie podaje, że złapali go naziści, a sąd wojenny w Niemczech skazał na śmierć. Egzekucję wyznaczono na 15 stycznia 1945 roku, ale uratował go aliancki nalot; resztę wojny spędził w Watykanie. Wersja, którą słyszałam w Shanxi, ale nie zdołałam znaleźć potwierdzenia, jest dość zabawna. Po ucieczce więźniów ojciec Zhang ubrał się w kobiecą suknię, głowę okrył szalem i powędrował do Rzymu. Tam tylnymi drzwiami przedostał się do Bazyliki Świętego Piotra. Ruszył ukradkiem przez ogromne sale za jakimś księdzem, starając się nie zgubić, ale w pewnej chwili stracił swego przewodnika z oczu. Gdy próbował się zorientować, w którą stronę powinien iść, podstawiono mu nogę i upadł. Sprawcą okazał się ksiądz, który sądził, że ściga go jakaś kobieta. Odkrywszy, że rzekoma dama jest Azjatą w przebraniu, ściągnął z ojca Zhanga szal i spytał: „Czy wszyscy mężczyźni z Dalekiego Wschodu noszą chustki na głowie?".

Liao: To niewątpliwie... dramatyczna opowieść.

Liu: Papież przyjął ojca Zhanga na audiencji, a wzruszony jego opowieścią postanowił zatrzymać go w Watykanie. Po zakończeniu wojny ojciec Zhang poprosił o pozwolenie na powrót do rodzimych Chin. „Watykan to tylko miasto, ale jego

duchowa władza obejmuje Zachód i Wschód – powiedział podobno. – Jako misjonarze pozostawiamy ślady Pana na całym świecie".

Od powojennego rządu włoskiego ojciec Zhang otrzymał przed wyjazdem medal za ratowanie jeńców wojennych. Zaproszono go do odprawienia mszy w katedrze w centrum Rzymu. Na początku 1947 roku przybył do Chin. Generalissimus Czang Kaj-szek spotkał się z nim w ówczesnej stolicy, Nankinie, i przyznał mu odznaczenie „Bohatera narodowego". Ojciec Zhang powrócił do prowincji Shanxi i nauczał tam w jej południowej części. Pod koniec 1949 roku chińska wojna domowa wygasała, a rząd nacjonalistyczny ponosił jedną klęskę za drugą. Wielu przyjaciół przekonywało ojca Zhanga, by wyjechał, on postanowił zostać: „Bóg mnie wybrał, bym służył Chińczykom dotkniętym klęskami i cierpieniem i bym pozostał w tym pełnym chaosu świecie".

W 1950 roku ojcu Zhangowi zabroniono wykładać w Ankangu. Wrócił do domu w Sanyuanie. W 1959 roku znalazł się wśród tych, którzy zbojkotowali zatwierdzony przez rząd Potrójnie Samodzielny Kościół Patriotyczny i pozostali lojalni wobec Watykanu. Aresztowano go jako kontrrewolucyjnego szpiega i skazano na dożywocie.

W 1980 roku Chiny otworzyły się na Zachód, rząd rozluźnił nieco kontrolę nad religią. Ojca Zhanga zwolniono z więzienia pod koniec dwudziestego pierwszego roku odsiadki. Po powrocie do rodzinnej wsi Zhangerce otrzymał listy z Watykanu i od rządu włoskiego. Watykan przez dwadzieścia lat śledził, co się z nim dzieje. Gdy Chiny i Włochy nawiązały stosunki dyplomatyczne, włoscy urzędnicy próbowali zająć się jego sprawą, wykorzystując kanały dyplomatyczne, ale ani Watykan, ani rząd włoski nie otrzymali od władz chińskich odpowiedzi. Po śmierci przewodniczącego Mao i zakończeniu rewolucji kulturalnej Watykan zwrócił się do licznych chrześcijan w Chinach z prośbą o zbieranie informacji o ojcu Zhangu; dowiedziano się, że przebywa w więzieniu w prowincji

Shanxi. Nasz nowy przywódca Deng Xiaoping, który w młodości studiował za granicą, uwolnił ojca Zhanga. Deng pozwolił mu nawet wyjechać na pielgrzymkę do Watykanu, którego Zhang nie widział od trzydziestu pięciu lat. Rzym był pełen turystów i pielgrzymów, co stanowiło ogromny kontrast z niemal wymarłym miastem, jakie zapamiętał z czasów wojny. Budynki się nie zmieniły, ludzie natomiast – tak. Nowy papież Jan Paweł II nie miał czasu, ale po trzydniowym oczekiwaniu ojca Zhanga przyjął jakiś watykański urzędnik. Ich rozmowa potoczyła się mniej więcej tak:

– Witamy cię w imieniu papieża. Rozumiemy, że przez minione trzydzieści lat wiele wycierpiałeś – powitał go przedstawiciel Watykanu.

Ojciec Zhang nie odpowiedział.

– Wasza sytuacja w Chinach powinna szybko się poprawić – ciągnął urzędnik. – Od dawna wiemy, że rząd chiński założył patriotyczne organizacje kościelne, niezależne od Watykanu. Jeśli sobie tego życzysz, możesz wstąpić do tego Kościoła i zaoferować swoje usługi.

– Czy tego właśnie chce nowy papież? – spytał ojciec Zhang.

Urzędnik skinął głową.

– Od kiedy Deng Xiaoping objął władzę, działalność religijna w Chinach się odrodziła. Powinieneś zająć się Kościołem twego kraju i narodu pod przewodnictwem partii komunistycznej.

– Czy to także są słowa nowego papieża? – spytał ojciec Zhang.

Urzędnik skinął głową.

Ojciec Zhang wstał, rozgniewany.

– Zatem proszę powtórzyć papieżowi, że jest tylko jedno centrum i jest nim Watykan. To Watykan jest duchową stolicą katolików na całym świecie.

Wybuch ojca Zhanga zaskoczył urzędnika, który wstał i go objął.

– W imieniu papieża, witaj w domu.

Gdy papież Jan Paweł II go przyjął, ojciec Zhang był głęboko wzruszony.

– Sądziliśmy, że komuniści mogli ci zrobić pranie mózgu – powiedział papież podczas audiencji. – Cieszy nas, że się nie zmieniłeś.

– Tych, którzy mnie szanują, szanuję i ja – zacytował Biblię ojciec Zhang.

Wiadomość o spotkaniu z papieżem szybko się rozeszła i ojciec Zhang raz jeszcze stał się znany wśród katolickich społeczności w Chinach. Był już w podeszłym wieku, ale jego umysł pozostał jasny. Po powrocie wyruszył do domu, przysięgając, że nadal będzie kroczyć ścieżką uważaną w Chinach za herezję. Za pieniądze otrzymane od rządu włoskiego w nagrodę za bohaterską działalność podczas drugiej wojny światowej zbudował w swojej wsi kościół i drogi. Postępowanie ojca Zhanga wywołało w regionie liczne kontrowersje. Lokalna prasa partyjna zamieszczała artykuły oskarżające go o szerzenie przesądów. Deng Xiaoping nakazał miejscowym władzom tolerancję. Nie chciał, by coś przeszkadzało w ruchu reformatorskim, który objął cały kraj.

Liao: W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych w Chinach doszło do odrodzenia religii.

Liu: Tak, katolicyzm, przedtem uważany za „duchowe opium zagranicznych imperialistów", mógł się wtedy rozwijać. Księżom katolickim pozwolono występować otwarcie. W 1980 roku około trzystu przywódców katolickich spotkało się w Szanghaju po raz pierwszy od czasów rewolucji kulturalnej. Kanałami dyplomatycznymi Watykan przesłał prośbę, by w spotkaniu mógł uczestniczyć wysłannik papieża. Rząd chiński odrzucił tę prośbę. Jako że Kościół katolicki znajdował się pod jurysdykcją Urzędu do spraw Religii, podstawą wszelkich wolności religijnych miał być patriotyzm. Ojciec Zhang, oburzony, zwrócił się do rządu o ponowne rozpatrzenie prośby Watykanu: „Papież w Watykanie jest fizycznym i duchowym przywódcą katolików na całym świecie, w tym także katolików we wszystkich

chińskich diecezjach. Ucieleśnia najwyższą władzę Jezusa Chrystusa, więc żaden świecki rząd nie może tego zmienić żadnymi świeckimi wykrętami".

Z powodu swego stanowiska ojciec Zhang stał się przedmiotem potępienia ze strony kościelnych hierarchów. Kilku księży i biskupów napominało go i oskarżało o zdradę własnego kraju, a także wprowadzanie chińskich katolików na niebezpieczną ścieżkę. Przypominało to wiec potępienia z czasów Mao.

Ojciec Zhang zacytował fragment z listu Pawła do Tymoteusza: „Ten, który objawił się w ciele, usprawiedliwiony został w Duchu, ukazał się aniołom, ogłoszony został poganom, znalazł wiarę w świecie, wzięty został w chwale". I spytał: „Czy sądzicie, że urzędnicy w Urzędzie do spraw Religii rozumieją znaczenie tych słów? Tak samo jak wielu z was zapewne nigdy nie czytali Biblii. Czy wiecie, że zmienianie słów Pana uważane jest za grzech kardynalny i niewybaczalny?".

Biorąc pod uwagę znaczącą międzynarodową pozycję ojca Zhanga, przewodniczący nie wyrzucił go ze spotkania. Zamiast tego przedstawił wniosek ojca Zhanga pod głosowanie, by zademonstrować „demokratyczny" charakter kierowniczego gremium. Gdy poproszono o podniesienie rąk tych spośród zgromadzonych, którzy uważają, że papież jest jedynym duchowym przywódcą katolików w Chinach, zapanowała całkowita cisza – i podniosła się tylko jedna ręka, należąca do ojca Zhanga. Trzymał rękę w górze przez całe czterogodzinne spotkanie, a pozostałych trzystu pięćdziesięciu jeden duchownych go ignorowało.

Liao: Co się działo potem?

Liu: Ojciec Zhang wyszedł z kościoła, wciąż trzymając uniesioną rękę. Było już ciemno, ulicami chodziło wielu ludzi. Spojrzał w niebo, zawołał „Panie!", a następnie upadł na schody. Zabrano go do szpitala.

Po ataku sił rządowych na plac Tiananmen w czerwcu 1989 roku ojciec Zhang otwarcie potępił użycie siły. Podczas

mszy modlił się za zmarłych i rannych. Dwudziestego pierwszego listopada grupa biskupów i księży, którzy odmawiali przyłączenia się do rządowych kościołów, zebrała się we wsi Zhangerce. Utworzyli Konferencję Biskupów Katolickich Chin Kontynentalnych. Przewodniczącym został biskup Fan Xueyan z diecezji Baoding. Organizacja ta miała przeciwdziałać wpływom prorządowej Konferencji Biskupów Kościoła Katolickiego w Chinach. Zaledwie dwa tygodnie później miejscowa policja zabrała ojca Zhanga na przesłuchanie. Trzymali go aż do 12 czerwca 1990 roku. Ojciec Zhang kontynuował walkę o niezależność Kościoła od państwa aż do śmierci w 1997 roku. Miał wówczas dziewięćdziesiąt lat.

Liao: Czym cię natchnął jako katoliczkę? Czy chcesz pójść w jego ślady i nauczać mimo czekających cię niebezpieczeństw?

Liu: Próbuję. Podróżowałam po terenach wiejskich, odwiedzałam kopalnie węgla – pewnego razu mówiłam o ewangelii pod ziemią, w całkowitych ciemnościach – i modliłam się na cmentarzach za dzieci, które zmarły na skutek złego traktowania. Policja wielokrotnie mnie przeganiała, parę razy trafiłam do więzienia. Zabroniono mi się modlić, a ilekroć to robiłam, byłam bita. Wymyślili wiele sposobów na katowanie mnie. Moja wola osłabła. Śmiertelnie się boję. Nie chcę umierać w Chinach. Chcę wyjechać.

Liao: A na razie?

Liu: Zamykam drzwi i modlę się w domu. Trzy razy dziennie odmawiam różaniec. Mam nadzieję, że uda mi się pokonać strach i dotrzeć do kraju kochanego przez Boga.

Ślepy muzyk

Wen Huachun jest ślepym muzykiem ulicznym w Chengdu. Mieszka w skąpo umeblowanym mieszkaniu na pierwszym piętrze zaniedbanego domu; są tam stół, cztery ławki, stary telewizor i zbiór instrumentów muzycznych, które Wen, jak mówi, zrobił sam. Wen doskonale gra na dwustrunowym erhu. Na ścianie przy oknie wisi duży plakat Beatlesów.

Mój znajomy, poeta Jiang Ji, dowiedział się, czym się zajmuję, i 25 marca 2006 roku zabrał mnie na spotkanie z Wenem. W dzielnicy Baiguolin, gdzie mieszkam, widywałem go już występującego – śpiewał i grał na erhu, równocześnie naciskając pedały organów, które sam zbudował. Pewnego dnia rzuciłem mu nawet dwa juany, gdy śpiewał *Wkraczając w nową erę*. Jest tam wers, który lubię szczególnie: „Nowe kierownictwo kontynuuje dzieło naszych pionierów i prowadzi nas w nową erę...".

Przy wejściu do budynku przywitała nas żona Wena, dwadzieścia lat od niego młodsza. Pochodzi ze wsi, jest ładna, ciepła i zdecydowana. Powiedziała, że przyciągnęły ją jego talent i silna osobowość i że wie, iż spędzi z nim resztę życia. Po ślubie kupiła trycykl z platformą, którym wozi po mieście męża i jego instrumenty muzyczne.

– Jestem jego żoną, szoferem, niańką, ochroniarzem i oczyma – żartowała.

Wen musiał usłyszeć, że rozmawiamy w holu, więc otworzył drzwi. Od razu poznałem tę uśmiechniętą twarz.

Powiedziałem mu, że słyszałem, jak wykonuje *Wkraczając w nową erę*, i dodałem, że najwyraźniej jest to utwór popularny wśród ślepych ulicznych muzyków, bo słyszałem go i w Urumczi na dalekim północnym zachodzie, i w Pekinie, ale jego wersja podobała mi się najbardziej, ponieważ używał potężnych wzmacniaczy.

– Czyżby pan z nas kpił? – Wen udawał rozgniewanego.

– Nie odważyłbym się – roześmiałem się.

Wen Huachun: Wie pan, czasy się zmieniły, a społeczeństwo idzie naprzód. Musimy pilnować pleców i z optymizmem patrzeć w przyszłość. Partia komunistyczna jest jak duży tygrys. Można go głaskać i czesać, ale trzeba to robić delikatnie. Jeśli się czesze pod włos, to wpada się w kłopoty. Myślę, że odnosi się to i do ślepych, i do zwykłych ludzi. Musimy „wkroczyć w nową erę".

Liao Yiwu: Proszę mi opowiedzieć o swoim życiu. Jak pan stracił wzrok?

Wen: Urodziłem się 8 grudnia 1944 roku w Huangjiaoya, na południowych obrzeżach Chongqingu. Moja matka mówi, że jako dziecko doskonale widziałem. Wszyscy mnie lubili, bo nigdy nie płakałem. Pamiętam, że matka zabierała mnie na przyjęcia weselne, a ludzie siedzący przy stole traktowali mnie jak półmisek – podawali sobie wokół stołu i cmokali, by mnie rozbawić. Gospodarze napełniali mi kieszenie słodyczami. Pamiętam też, jak goniłem i łapałem kurczaki na podwórzu. Nawet teraz oczyma duszy widzę jeszcze stare ulice i sklepy wokół mego domu. Babcia nosiła mnie na barana. Kupowała mi zupę z tofu na ulicznych straganach. Ale we wrześniu 1947 roku, jeszcze zanim skończyłem trzy lata, moja niańka zdała sobie sprawę, że choruję na kurzą ślepotę.

Liao: Co to takiego?

Wen: Dobrze widziałem w dzień, ale nic w nocy. Byłem jak kura. Zupełnie jakby oczy zakrywała mi ciężka zasłona, niedająca

się podnieść. Nie wiem, czy pan zauważył, ale gdy kura patrzy na coś leżącego na ziemi, przechyla głowę. Gdy ślepłem, robiłem to samo – przechylałem głowę i próbowałem coś dostrzec. Czasami wyciągałem szyję. W końcu nic w ogóle nie widziałem, więc płakałem i tarłem oczy.

Liao: Czy to było jakieś zakażenie?

Wen: Nie wiem. Rodzice zajmowali się swoją firmą w mieście. Mnie wychowywała niania na wsi. W tamtych czasach nie traktowano dzieci tak jak teraz. Moja niania miała kilkoro własnego potomstwa. W ciągu dnia musiała pracować na polu, a wieczorem zajmowała się domem. W przerwach karmiła mnie piersią. Większość czasu spędzałem, raczkując po podłodze, brudny i ubłocony.

Ale wie pan, jak mieszkańcy Chongqingu uwielbiają ostre jedzenie! Zacząłem jeść pikantne rzeczy w bardzo młodym wieku, nawet zanim jeszcze potrafiłem pewnie chodzić. Trzymałem wielką miskę ryżu posypanego grubą warstwą czerwonej papryki. Była tak ostra, że po twarzy spływały mi pot, smarki i łzy. Ale jak mi to smakowało! Ludzie, którzy mnie nie znali, mogli myśleć, że zostałem za coś ukarany. W lecie siadywałem przy gorącym garnku i w gotującym się przyprawionym na ostro bulionie maczałem surowe mięso. Ubranie miałem przesiąknięte potem. Rozbierałem się do bielizny. Gdy rodzice zabrali mnie na powrót do miasta, musieli mi odebrać słoik ostrej papryki, ponieważ na całym ciele miałem wysypkę – w kącikach ust, pod pachami i na plecach. Na skroniach zrobiły się czerwone ranki, wielkie jak orzeszki ziemne. Cały czas je drapałem, więc wdała się infekcja. Musieli mnie zabrać do lekarza. Widząc, jak to boli, zakazali mi pikantnych potraw. Odmawiałem w ogóle jedzenia i w proteście rozbijałem swoją miseczkę. Może to więc nadmiar ostrych przypraw spowodował moją ślepotę.

Pewnego dnia w odwiedziny przyszła moja niania. Usłyszałem, jak rozmawia na podwórku, i wybiegłem z domu, ale ponieważ szedłem na ślepo, potknąłem się, upadłem i uderzyłem

się w głowę. Przytuliła mnie do piersi, przyjrzała się w słońcu moim oczom i powiedziała: „To okropne. To dziecko ma kurzą ślepotę". Niania wyjaśniła mojej babci, że poszła raz ze mną do jasnowidza, a ten przepowiedział, że to kalectwo stanie się częścią mego losu.

Zapewne ślepota była moim przeznaczeniem. Według mojej niani jednak jasnowidz – na podstawie godziny, dnia i roku mego urodzenia – przepowiedział mi także szansę na inną przyszłość. „To dziecko może zostać potężnym człowiekiem, urzędnikiem rządowym co najmniej na poziomie powiatu. Musicie trzymać go na wsi, póki nie ukończy trzech lat. Inaczej jego los się odmieni. Może skończyć jako kaleka, albo na twarzy, albo na nogach". Niestety moi rodzice przenieśli mnie do miasta trzy miesiące przed mymi trzecimi urodzinami.

Liao: Wierzy pan w takie rzeczy?

Wen: Wierzę. Moja babcia zabrała mnie do innego jasnowidza, gdy skończyłem cztery lata. Ten też mówił podobne rzeczy o mojej przyszłości.

Liao: A co lekarze mówili na temat pana wzroku?

Wen: Miałem siostrę, rok starszą. Zmarła na ospę w 1946 roku. Zostałem jedynym dzieckiem, rodzice naprawdę się o mnie troszczyli. Wozili mnie do szpitali i wydawali dużo pieniędzy na okulistów. Mama musiała niemal wszystko zastawić, by pokryć rachunki lekarzy. A doktorzy stawiali tę samą diagnozę – nerwy w moich oczach uległy uszkodzeniu. Próbowałem różnych lekarstw – ziół, maści, pigułek, zastrzyków. W ciągu roku obejrzało mnie chyba ze dwudziestu medyków. Rodzice byli załamani. Rodzina nie miała już pieniędzy, a ja wciąż nic nie widziałem. W tej rozpaczliwej chwili ktoś poradził, byśmy poszli do zagranicznego lekarza, misjonarza. Znajomy powiedział, że cudzoziemiec jest księdzem i pracuje w kościelnym szpitalu na szczycie góry Wang. Twierdzi, że pracuje w imię Pana. Ojciec odniósł się do tego sceptycznie. Czy cudzoziemiec zechce leczyć niechrześcijanina? Tamten znajomy, który

wyznawał tę religię, zapewnił ojca, że Bóg traktuje tak samo wszystkich cierpiących. Więc poszliśmy. Znajomy zaprowadził nas do szpitala.

Liao: To musiał być szpital katolicki.

Wen: Nie mam pojęcia. W mojej okolicy ludzie mówią o chrześcijaństwie „yang-jiao" albo „zagraniczna religia". Była całkiem popularna. Podczas inwazji japońskiej rząd nacjonalistyczny przeniósł czasowo stolicę z Nankinu do Chongqingu. W moim mieście zamieszkało wielu Amerykanów. Ponadto generalissimus Czang Kaj-szek i jego żona oboje byli chrześcijanami. Przed drugą wojną światową i po niej do Chongqingu przyjeżdżało wielu zachodnich misjonarzy. Zbudowali kilka kościołów, szpitali i ośrodków charytatywnych. Nasze rodzime religie, buddyzm i taoizm, chcą jedynie, by ludzie palili kadzidła i bili pokłony.

Liao: Gdzie znajdowała się góra Wang?

Wen: Niedaleko mego domu w Huangjiaoya, obok Huangshanu w Chongqingu, gdzie zatrzymywał się Czang Kaj-szek. Pewnego ranka rodzice wyszli i wrócili dopiero późnym popołudniem. Przynieśli butelkę kropli do oczu. Bawiłem się przy wejściu. Powiedzieli mi, podnieceni: „Dziecko, siedź spokojnie. Umyjemy ci oczy". Siedziałem nieruchomo. Zmęczyło mnie już przebywanie w ciemnościach. Dla ludzi urodzonych jako niewidomi ciemność to wszystko, co znają, ale ja dawniej widziałem, więc było mi ciężko.

Przed wpuszczeniem kropli do oczu umyto mnie mokrą szmatką – babcia użyła aż dwóch misek wody – a okolice oczu dodatkowo oczyszczono i wysterylizowano wacikami namoczonymi w alkoholu, które rodzice przynieśli ze szpitala. To niewątpliwie lekarz misjonarz kazał im tak zrobić. Gdzieś po tygodniu zacząłem rozróżniać światło i ciemność, a po kilku miesiącach wiedziałem już, kiedy zachodzi słońce. Zupełnie jakby obmywało mnie światło. Dostrzegałem sylwetki ludzi jako cienie, potrafiłem pokazać, gdzie jest drzewo. Wszyscy aż płakali z podniecenia, a sąsiedzi przychodzili, żeby zobaczyć,

co się dzieje. Ktoś powiedział: „To dziecko naprawdę jest błogosławione. Bóg uczynił cud".

Mój polepszający się wzrok dodał rodzicom otuchy. W miarę leczenia mgła zaczęła się rozpraszać. Babcia przygotowała podarunek, by rodzice mogli go zanieść lekarzowi.

Liao: Co to były za krople?

Wen: Nie mam pojęcia.

Liao: Czy rodzice nie powiedzieli panu, co to za lekarstwo?

Wen: Rodzice chyba też nie wiedzieli.

Liao: Ile rodzice musieli zapłacić?

Wen: Ani grosza. Lekarz powiedział, że pracuje w imię Boga.

Mój wzrok stopniowo się poprawiał. Niedługo przed moimi piątymi urodzinami do miasta zaczęły zbliżać się komunistyczne wojska. Dzień i noc słychać było kanonadę i armaty. W mieście stacjonowała armia nacjonalistyczna. Długo trwało, zanim komuniści przełamali jej linie obronne. Zabłąkane kule latały nad naszym dachem jak szarańcza, rozbijały dachówki. Nikt nie wychodził z domu.

Gdy zużyliśmy całą butelkę kropli do oczu, rodzice uparli się, by pójść po następną mimo chaosu i niebezpieczeństw. Wyszli wcześnie rano i wrócili przed zmierzchem, wyczerpani i zrozpaczeni. Wobec zbliżającej się klęski nacjonalistów ewakuowano wszystkich cudzoziemców z Chongqingu, także misjonarzy. Zanim rodzice dotarli do szpitala, nikogo już tam nie było. Strzelanina trwała jeszcze trzy dni, a potem nagle całkiem zamilkła. Babcia powiedziała, że miasto zajęli komuniści. Strzelały ognie sztuczne, ludzie tańczyli i śpiewali. Chongqing został „wyzwolony".

Takie było moje przeznaczenie. Powstanie nowych komunistycznych Chin odebrało mi wzrok, wiedziałem jednak, że nie wolno mi tego mówić publicznie. Jeszcze przez kilka lat widziałem światło, rozróżniałem cienie ludzi, ale stopniowo znów zapadałem się w ciemność. Rodzice nie ustawali w poszukiwaniu lekarstwa, które dał im zagraniczny doktor. Ilekroć zabierali mnie do nowego chińskiego lekarza, słyszeliśmy

tylko, że jest za późno. Moje gałki oczne kurczyły się. Gdy teraz się na mnie patrzy, wydaje się, że ich nie ma.

W końcu poddali się i posłuchali drugiej rady jasnowidza – żeby nauczyć mnie jakiegoś fachu, bym mógł się sam utrzymywać. Byłem wówczas całkiem bystry i budziłem sympatię ludzi. Okazało się, że mam zdolności muzyczne, lubiłem to, postanowiono więc, że zostanę ślepym muzykiem.

Ulica przed moim domem nazywała się ulicą Artystów. Lubili się tam zbierać uliczni muzycy i artyści – tancerze, akrobaci, skrzypkowie, muzycy grający na erhu i flecie. Chodziłem za muzykami i nauczyłem się ich chwytów. Sąsiad, którego nazywałem wujkiem Yuanem, nauczył mnie grać na flecie. Potem brałem lekcje gry na erhu u pana Li, ślepca, który mieszkał przy tej samej ulicy. Wkrótce mogłem sam występować. Daleko mi było do naprawdę dobrej gry na erhu czy flecie, ale niektóre melodie wychodziły mi całkiem nieźle. Musieliśmy wykonywać wiele rewolucyjnych melodii, by budzić entuzjazm dla różnych ogólnokrajowych i lokalnych kampanii politycznych, takich jak wojna z Amerykanami w Korei, Ruch Potrójnie-Przeciw*, kampanie na rzecz zapobiegania pożarom i kradzieżom, ujawniania imperialistycznych szpiegów, sojuszu chińsko-radzieckiego, kampania przeciwko prawicowcom, i na rzecz Wielkiego Skoku. Musieliśmy grać bardzo wiele różnych pieśni, ale szybko się ich uczyłem. Wystarczyło, bym coś powtórzył dwa czy trzy razy, a już znałem to na pamięć.

Była taka piosenka ostrzegająca ludzi przed szpiegami imperialistów: „Gdy jest ciemno, zamykaj drzwi. Gdy puka nieznajomy, musisz pytać, musisz myśleć, zanim coś powiesz. Otwórz oczy i nadstaw uszu, bo on być może zbiera informacje dla wywiadu". Inne pieśni zachęcały ludzi do występowania przeciwko kontrrewolucjonistom i prawicowcom.

* Prowadzona w 1952 roku kampania przeciwko korupcji, biurokracji i marnotrawstwu.

Komitet uliczny przydzielił mnie jako grającego na erhu do małej orkiestry. Nauczyłem się na pamięć chyba tysiąca melodii i zdobyłem kilka nagród. Podczas klęski głodu ludzie nie mieli co jeść, ale rząd i tak nas wysyłał na występy. Byłem całkiem młody. Nie otrzymywałem pensji, ale dostawałem dużo bonów, które można było wymienić na żywność – ale jedynie wtedy, gdy jakaś żywność w ogóle była dostępna. Moja rodzina kilkakrotnie głodowała.

Liao: A co pan grał w latach głodu?

Wen: Te same stare mobilizujące pieśni rewolucyjne, wychwalające wielkie kierownictwo partii i opowiadające o naszym wspaniałym życiu. Pracowałem naprawdę ciężko, więc dostawałem nagrody. Na publicznych zgromadzeniach inwalidów przewodniczący komitetu ulicznego wzywał mnie na scenę i wręczał czerwony certyfikat. Po zebraniu mogłem wymienić certyfikat na miskę batatów. Nasz zespół rozwiązano podczas rewolucji kulturalnej, ponieważ powstało wtedy tak wiele grup tanecznych i śpiewających rewolucyjne pieśni, że nikt już nie potrzebował występów osób niepełnosprawnych. Zostałem bezrobotny.

Liao: Czy rewolucja kulturalna wpłynęła jeszcze jakoś na pana życie?

Wen: Nie, a przynajmniej nie od początku. Po prostu siedziałem w domu i nie miałem co robić. Pod koniec rewolucji kulturalnej, gdy wszyscy już mieli dosyć ograniczonej oferty rozrywkowej, kilku młodych ludzi zaczęło do mnie przychodzić. Uczyłem ich grać na erhu, i tak się stało, że po pewnym czasie moje mieszkanie cały czas było pełne ludzi. Uczyłem ich starych pieśni z lat pięćdziesiątych, a nawet pieśni miłosnych z czasów przedkomunistycznych. Akompaniowałem ich śpiewowi na erhu lub na flecie. Czasami wyciągałem ze strychu jakieś dawne longplaye i odtwarzałem je na starym gramofonie. Słuchaliśmy także na krótkich falach zagranicznych programów muzycznych; musieliśmy być bardzo ostrożni, bo każdy, kogo przyłapano na słuchaniu radia na falach krótkich,

lądował w więzieniu. Ale młodzi ludzie lubią ryzykować, zatem dobrze się bawiliśmy. Wkrótce dowiedział się o tym komitet uliczny i doniósł na mnie policji, oskarżając o prowadzenie „podziemnego klubu". Pewnego wieczoru przyszli policjanci i przeszukali moje mieszkanie. Zabrali mnie na przesłuchanie. Nic nie znaleźli, więc mnie wypuścili, ale przez kilka następnych lat przychodzili w środku nocy, by zrobić u mnie rewizję. Aresztowali mnie i wypuszczali. Ponieważ jestem ślepy, trudno im było wsadzić mnie do więzienia.

W końcu zmarł przewodniczący Mao. Rewolucja kulturalna dobiegła końca. Musiałem jakoś zarabiać na życie. Spróbowałem występów ulicznych i stwierdziłem, że ludziom podoba się moja muzyka; zarabiałem dość, by jakoś przeżyć. Od czasu do czasu nękała mnie policja. Konfiskowali mi instrumenty albo zatrzymywali mnie na parę dni. Gdy tylko wypuszczali, wracałem na ulicę. Wydaje mi się, że po prostu nie bardzo wiedzieli, co ze mną zrobić.

Minęło już trzydzieści parę lat, od kiedy rozpocząłem życie ulicznego muzykanta. Teraz jestem weteranem. Kilka lat temu przeprowadziłem się do Chengdu. W gazetach wielokrotnie przychylnie o mnie pisano. Ale policja wciąż mnie nadzoruje, zatrzymuje i nakłada grzywny. Już się do tego przyzwyczaiłem.

Liao: Dlaczego ma pan na ścianie plakat Beatlesów?

Wen: Uwielbiam ich piosenki. Mam nadzieję, że uda mi się kiedyś wyjechać za granicę i grać na ulicach w Ameryce. A gdy już tam będę, spróbuję się dowiedzieć, co to za krople do oczu dał mi wtedy ten amerykański misjonarz. Od lat mnie to dręczy.

Liao: Jednak gdyby nie stracił pan wzroku, nie zostałby pan tak znakomitym ulicznym muzykiem.

Epilog

Co było w kroplach do oczu, którymi lekarzowi misjonarzowi prawie udało się uratować wzrok Wen Huachuna? Spytałem o to Liu Shahe, znanego historyka mieszkającego w Chengdu.

– Tran – powiedział. – Według dzisiejszych standardów to powszechny suplement diety. Ale mieszkańcy gór rzadko jadali ryby, a o tranie, który pomaga organizmowi przyswajać składniki odżywcze, nikt nie słyszał. Któż by przypuszczał, że oczy wymagają odżywiania tak samo jak usta? No, zachodni lekarze wpadli na to, nauczyli się pozyskiwać rybi olej i sporządzać z niego krople do oczu.

Liu twierdzi, że przed rewolucją komunistyczną krople do oczu zrobione na bazie rybiego oleju pomogły wielu niewidomym Chińczykom.

Sierociniec

Urodziłem się w Chinach komunistycznych i w tym ustroju się kształciłem – pewne rzeczy były „prawdziwe" i należało je akceptować bez pytania. W Chinach za czasów Mao religia była czymś „złym"; ci zaś, którzy ją wyznawali, w najlepszym wypadku błądzili i należało ich reedukować, w najgorszym byli zwolennikami kultu i szpiegami imperialistów, których celem było szkodzenie krajowi. Wychowywano mnie w przekonaniu, że chrześcijańskie sierocińce i chrześcijańskie szpitale to najbardziej przerażające miejsca na świecie.

Nauczyciel w mojej szkole podstawowej mówił, że zagraniczni misjonarze przybywali do Chin, by mordować Chińczyków i czynić z nich niewolników. Zakonnice, które prowadziły sierocińce, to potwory – tak nas uczono, a choć później zrozumiałem humorystyczny stereotyp surowej zakonnicy, powszechny wśród katolików na całym świecie, w Chinach postać ta miała cechy rodem z sennego koszmaru. Dzieci zabrane biednym rodzinom trzymano w garnkach, a gdy stawały się nastolatkami, zakonnice tłukły garnki i je wypuszczały. Jednak tymczasem dzieci stawały się już karłami; zmuszano je, by cały dzień siedziały na stole i modliły się do ich „Boga". Karłom nigdy nie pozwalano swobodnie się poruszać.

Szukając materiałów, natrafiłem na starą historię opublikowaną 5 czerwca 1964 roku przez państwową agencję prasową Xinhua, a napisaną przez dziennikarza nazwiskiem Zhong Yuwen. Stanowi ona przydatną ilustrację tego, jak pracę chrześcijańskich misjonarzy wykorzystywano do pielęgnowania powszechnej wrogości wobec Zachodu:

ŚWIAT SIĘ ZMIENIŁ
Wizyta w szpitalu dziecięcym w Nankinie
5 czerwca 1964

Pierwszego czerwca, w Międzynarodowy Dzień Dziecka, wielu nauczycieli szkół podstawowych i uczniów przyszło w odwiedziny do Miejskiego Szpitala Dziecięcego w Nankinie. Na ich prośbę jeden z lekarzy opowiedział młodym gościom historię szpitala.

W latach czterdziestych rząd nacjonalistyczny i inni reakcjoniści, którzy przez wiele lat bezwzględnie wykorzystywali i brutalnie uciskali naród, rozpętali wojnę domową, która pogrążyła kraj w chaosie i sprowadziła na lud liczne nieszczęścia. Wiele rodzin straciło wszystko, co posiadało. Tysiące niewinnych dzieci zostało osieroconych. W tym okresie do miasta przybyła grupa zagranicznych zakonnic, zachęconych przez zagranicznych imperialistów. Ich celem było służenie kontrrewolucjonistom pod płaszczykiem religii. By pozyskać sobie ludzi, zakonnice stworzyły pozory działalności dobroczynnej. Przy ulicy Kantońskiej zbudowały dom i otworzyły tam „Dom Dziecka Najświętszego Serca", gdzie przyjmowały porzucone dzieci. Źle je traktowały, a z Domu Dziecka Najświętszego Serca uczyniły piekło na ziemi i dziecięcy obóz śmierci. Bezwzględnie ograniczały racje żywnościowe: codziennie dodawały tylko trochę mleka do cienkiej zupy z pół funta ryżu i grochu w proszku. Jednoroczne dzieci karmiły kleikiem ryżowym cztery razy dziennie. Trzy- i czterolatki dostawały ten sam kleik trzy razy dziennie. W rezultacie dzieci cierpiały na skutek niedożywienia. Były chude jak patyki. Powszechnie panowała krzywica. Wielu trzylatków miało problemy z wyprostowaniem się; część czterolatków wciąż nie umiała chodzić. Trzylatki często ważyły pięć do sześciu kilogramów. Zakonnice nigdy nie zajmowały się dziećmi jak należy, więc wiele cierpiało na egzemę i odleżyny. Naturalną reakcją dzieci bywa płacz, ale najczęściej nie miały siły nawet na to. Leżały w milczeniu, czekając na śmierć.

Śmiertelność przekraczała siedemdziesiąt procent. Gdy dziecko umierało, te tak zwane filantropki mamrotały tylko z zadowoleniem: „Powinnyśmy się cieszyć z ich śmierci, gdyż ich dusze trafią do nieba".

Poza fizycznym maltretowaniem dzieci zakonnice zatruwały także ich umysły. Każdego ranka starsze dzieci musiały klęczeć na zimnej cementowej podłodze kościoła i modlić się, prosząc Boga, by wybaczył im grzechy. Zakonnice nieustannie przywoływały imię boskie, by zastraszyć dzieci; kazały im błagać Boga o wybaczenie. W rezultacie dzieci żyły w ciągłym strachu i miały niską samoocenę. Zakonnice nadawały dzieciom angielskie imiona, takie jak Maria, Andrew, Philip czy Matilda, i narzucały im zagraniczną edukację, by nic nie wiedziały o swojej ojczyźnie. Wskutek tego dzieci łatwo mogły zostać niewolnikami imperialistów.

Po nadejściu komunistów i wyzwoleniu miasta te dzieci uratowano. Działając na prośbę szerokich mas, rząd ludowy ukarał zagranicznych imperialistów zgodnie z prawem i przejął Dom Dziecka Najświętszego Serca, zapewniając dzieciom opiekę medyczną. Pod opieką partii komunistycznej dzieci rosły zdrowo jak młode pędy, które po suszy zrosi błogosławiony deszcz. W 1953 roku rząd przekształcił dom, w którym zagraniczni imperialiści tak źle traktowali chińskie dzieci, w szpital dziecięcy. Pod opieką partii komunistycznej i przez nią zachęcani, lekarze i pielęgniarki objęli chińskie dzieci lepszą opieką zdrowotną.

Opowiedziałem tę historię znajomemu, siedemdziesięciopięcioletniemu historykowi Liu Shahe, który mieszka obok Świątyni Szczodrobliwości w śródmieściu Chengdu. Powiedział, że rząd komunistyczny nie był pierwszym, który wymyślał kłamstwa i podburzał do nienawiści do chrześcijańskich misjonarzy.

Liu Shahe: Jako dziecko słyszałem, że katolickie zakonnice to wampiry, które wysysają krew biednych chińskich dzieci i wyłupują im oczy, by następnie użyć tych oczu jako ozdoby. Pozbawione podstaw pogłoski zaczęły rozchodzić się jeszcze przed powstaniem bokserów, antychrześcijańskim ruchem, który objął północne Chiny w latach 1898–1901. Był taki znany przypadek w Syczuanie. W 1896 roku na chrześcijański

szpital – obecnie Miejski Szpital Ludowy nr 2 w Chengdu – napadł tłum miejscowych mieszkańców, którzy twierdzili, że lekarze kuszą łatwowierne dzieci cukierkami, potem je zabijają, marynują ich ciała w słoikach i jedzą. Kilkuset rozwścieczonych mieszkańców rozbiło okna i zajęło szpital. Wszyscy lekarze i pielęgniarki uciekli; część z nich schroniła się w kościele przy ulicy Shanxi. Mieszkańcy zaatakowali i podpalili kościół. W końcu okazało się, że pewien człowiek przechodził przez szpitalne laboratorium i zobaczył próbki tkanek zmarłego niemowlęcia przechowywane w formalinie. Jego relacja zaczęła żyć własnym życiem i rozeszła się wśród ludzi.

Liao Yiwu: Pod rządami komunistów wrogość wobec misjonarzy przetrwała.

Liu: Rządowa machina propagandowa rozpowszechniała podobne pogłoski i dodawała nowe kłamstwa, by rozniecić nienawiść do chrześcijan i zmusić ludzi do porzucenia religii. To doniesienie agencji Xinhua, które mi pan pokazał, jest tego doskonałym przykładem.

W okresie przedkomunistycznym, szczególnie w okolicach drugiej wojny światowej, do Chongqingu i Chengdu przybyło wielu Amerykanów, w tym dyplomaci, personel wojskowy i misjonarze. Zbudowali lotniska, szpitale i wiele sierocińców. Na wiosnę 1945 roku w Chengdu wybuchła epidemia cholery. Ciała zmarłych leżały na ulicach. Wyprzedano trumny, a szpitale były pełne umierających pacjentów. Francuski szpital chrześcijański na ulicy Ping'anqiao otworzył drzwi dla wszystkich, więc pacjenci napływali masowo. Nie było wolnych łóżek, więc, zapełniono korytarze, a nawet dziedziniec. Francuscy lekarze i pielęgniarki pracowali dzień i noc. Gdy skończyły im się lekarstwa, doustnie i dożylnie podawali nawadniające roztwory. Czasami przynoszono pacjentów, którym nic już nie mogło pomóc, ale chrześcijańscy lekarze i pielęgniarki nie zaniechali pracy i robili, co w ich mocy, by ratować życie.

Znałem kiedyś amerykańską zakonnicę. Ponieważ jej imię zaczynało się na literę M, co brzmiało jak chińskie słowo

„mann", wszyscy nazywaliśmy ją siostrą Mann. Przez wiele lat mieszkała w Chengdu, oferując darmowe szkolenie młodym kobietom, które postanowiły zostać położnymi. Jak pan wie, w dawnych czasach kobiety dorastające w zamożnych rodzinach nie chciały wybierać tego zawodu, a te z biednych rodzin pragnęłyby może pracować, ale nie miały pieniędzy na szkołę dla położnych. W rezultacie w Syczuanie śmiertelność niemowląt utrzymywała się na wysokim poziomie. Oczywiście rząd nacjonalistyczny także podejmował różne wysiłki, ale wydaje mi się, że wkład siostry Mann był znaczniejszy. Pracowała w amerykańskim chrześcijańskim szpitalu misyjnym. Była także pisarką i wydała kilka książek. Słyszał pan pewnie o pisarce Han Suyin (*Miłość jest wspaniała*), która utrzymywała bliskie kontakty z pierwszym pokoleniem chińskich przywódców komunistycznych. Pod koniec lat trzydziestych Han Suyin pracowała w tym samym szpitalu co siostra Mann. Zaprzyjaźniły się. Han uczyła się pisać na maszynie do pisania siostry Mann. Po przejęciu władzy przez komunistów w 1949 roku Han Suyin pracowała w służbie zdrowia w Azji Południowo-Wschodniej, ale siostra Mann pozostała w Chengdu i nadal prowadziła szkolenia. Uważała Chengdu za swój dom. Na początku lat pięćdziesiątych rząd zaczął wymagać, by we wszystkich klasach w szkołach powiesić portrety przewodniczącego Mao. Siostra Mann jako chrześcijanka odrzuciła to wymaganie. Przedstawiciele miejscowych władz przyszli z nią porozmawiać i przekonać ją, by się dostosowała, pozostała jednak niewzruszona. Pewnego dnia, gdy siostry Mann nie było, przykleili plakat z Mao na ścianie nad tablicą. Po powrocie siostra Mann zobaczyła plakat; oburzona, znalazła drabinę, weszła na nią i go zerwała. Obraziła tym władze. Miejscowi przywódcy otwarcie oskarżyli ją, że jest imperialistycznym szpiegiem, i wyrzucili z kraju.

Siostra Mann powróciła do Stanów Zjednoczonych, a w latach sześćdziesiątych Han Suyin ją odwiedziła. Han stwierdziła, że siostry Mann polityka nie interesuje w najmniejszym

stopniu. Nigdy nie mówiła źle o partii komunistycznej, nie zerwała plakatu Mao z przyczyn politycznych; po prostu uważała, że świecki rząd nie powinien przenosić własnej władzy ponad władzę Boga.

Liao: Czy taka postawa była częsta?

Liu: Historia siostry Mann nie jest wyjątkowa. Gdy komuniści objęli władzę, napisali na nowo historię i przedstawili zachodnich chrześcijańskich misjonarzy jako potworów i sabotażystów. Wielu misjonarzy, którzy od kilkudziesięciu lat mieszkali i pracowali w Chinach, zostało zmuszonych do wyjazdu. Ich dobroczynną działalność wykorzystano jako dowody przeciwko krajom Zachodu, które – jak twierdził rząd – starały się skolonizować i zniewolić naród chiński. Teraz chrześcijaństwo w Chinach znów-rozkwita. Zadaniem historyków i pisarzy jest odkrycie prawdy historycznej i publiczne jej wyjaśnienie.

Nowy wyznawca

W Shangshuyuanie mieściło się dawniej katolickie Seminarium Annuntiationis, którego budowę rozpoczął w 1895 roku biskup Marie-Julien Dunand, francuski misjonarz w diecezji Chengdu. Ukończono je po trzynastu latach. W ogromnym neogotyckim budynku o powierzchni osiemnastu tysięcy metrów kwadratowych wykształciło się całe pokolenie duchownych, którzy służyli później w południowo-zachodnich Chinach. Sto lat później zostały z niego kruszące się mury. Działanie wiatru i deszczu przyśpieszyła dodatkowo rewolucja kulturalna. Gdy znalazłem się tam po raz pierwszy w 2000 roku, samotna budowla przypominała nagi szkielet.

W maju 2008 roku para nowożeńców – pan młody w czarnym garniturze, panna młoda w białej sukni w zachodnim stylu – pozowali do zdjęć przed ruinami seminarium. Nagle ziemia zaczęła drżeć, a stojące jeszcze mury kaplicy zawaliły się wokół młodej pary. W ciągu paru sekund zniknęło wszystko, co jeszcze pozostało z Seminarium Annuntiationis. W internecie szybko pojawiły się zdjęcia. Trzęsienie ziemi, które wówczas dotknęło Syczuan, kosztowało życie siedemdziesięciu tysięcy osób. Było potężne, potężniejsze nawet niż Czerwona Gwardia.

Po południu 13 stycznia 2010 roku, kiedy piłem z siostrą herbatę w okręgu Bailu w Shangshuyuanie, usłyszałem rozmowę

grupy modnie ubranych młodych ludzi, dotyczącą trzęsienia ziemi w Syczuanie. Włączyłem się w ich dyskusję. Dowiedziałem się przy okazji, że jeden z nich, dwudziestoczteroletni Ho Lu, niedawno został chrześcijaninem. Gdy powiedział, że na wspomnienie trzęsienia ziemi „wciąż przechodzą go ciarki", i zasugerował zmianę tematu, spytałem, czy zgodzi się opowiedzieć mi, co go doprowadziło do chrześcijaństwa.

Ho Lu: Chodziłem do kościoła z matką jako dziecko. Później, w szkole średniej, buntowałem się. Nienawidziłem wszystkiego, co reprezentowali moi rodzice, odszedłem też od Kościoła. Jednak w ostatnich dwóch latach chyba dojrzałem i postanowiłem do Kościoła powrócić. Pół roku temu zostałem ochrzczony.

Liao Yiwu: Zatoczyłeś więc pełny krąg.

Ho: Tak to wygląda. Wydaje mi się, że w życiu zataczamy wiele kręgów, ale im jest ich więcej, tym bardziej się gubimy. Spójrz na te starsze kobiety w parku. Rano i wieczór spotykają się, wykonują pokraczne tańce, praktykują tai-chi i aerobik, śpiewają głośno jakieś chińskie operowe melodie. Kręcą tyłkami i robią różne dziwaczne rzeczy. Czasami się zastanawiam, po co im to. Czy chcą spalić tłuszcz z grubych brzuszków? Mają nadzieję żyć wiecznie?

Liao: Hej, hej, bądź milszy. To mogliby być twoi rodzice albo dziadkowie.

Ho: To co? Mój ojciec jest buddystą, a mama wierzy w Jezusa. Dziadek wykłada dawną literaturę chińską na Uniwersytecie Syczuańskim. Ilekroć go odwiedzam, kręci głową i recytuje starą prozę albo poezję. Kocha filozofię taoistyczną i nieustannie przytacza jakieś wersy z Zhuangzi, taoistycznego mistrza. „W północnych ciemnościach żyła ryba, która nazywała się Kun. Kun jest tak wielka, że nie wiem nawet, ile ma tysięcy li długości. Zmieniła się w ptaka imieniem Peng. Grzbiet Penga jest tak długi, że nie wiem, ile ma tysięcy li..." Ple, ple, ple.

W każdym razie u nas w domu praktykuje się trzy religie. Każdy robi swoje. Czemu nie mogą stworzyć jednej rodzinnej religii, byśmy nie musieli cały czas walczyć? To bez sensu. Jako dziecko chodziłem z ojcem do buddyjskich świątyń, gdzie naśladowałem gesty i wyraz twarzy buddyjskich posągów. Siadywałem ze skrzyżowanymi nogami w pozycji lotosu i zamykałem oczy. Dorośli strasznie się śmiali. Natomiast z matką chodziłem na mszę do starego kościoła. Ludzie śpiewali hymny. To było takie podniosłe i super.

Wolę chrześcijaństwo. Buddyzm jest zbyt regionalny, świecki, nie na czasie. Ci starzy ludzie, ci bogaci biznesmeni czy urzędnicy rządowi chodzą do świątyń, palą kadzidła i modlą się o jakieś bzdety, więcej pieniędzy, więcej awansów, więcej szczęścia. Taoizm jest zbyt intelektualny, niezrozumiały. Moim zdaniem tylko chrześcijaństwo wszystko ogarnia. Jezus został ukrzyżowany, a jego krew odkupiła nasze grzechy. Wyobraź sobie, jakie to musiało być bolesne, ale zrobił to dla zbawienia ludzkości.

Kilka lat temu moi rodzice się rozwiedli. Pamiętam, że cały czas kłócili się o religię. Matka chciała, żeby tato porzucił buddyzm i zwrócił się ku chrześcijaństwu. Tato ją ignorował. Mama prosiła ojca, żeby poważnie pomyślał o chrześcijaństwie. Tato jej mówił: „Nie muszę o tym myśleć. Buddyzm jest odpowiedni dla takiego Chińczyka jak ja". Mama się nie poddawała. Powtarzała: „Buddyzm przyszedł tu z Indii. Zobacz, co buddyzm zrobił dwóm wielkim, biednym i zapóźnionym krajom". Ojciec mówił: „Dobrze, dalej, wykorzystaj swoją wiarę chrześcijańską do uczynienia z Chin bogatego, rozwiniętego kraju. Mnie jest dobrze, gdzie jestem, w zapóźnieniu i biedzie". Mama w końcu kręciła głową i mówiła: „To takie poniżające mieszkać pod tym samym dachem z poganinem".

Liao: Kiedy twoja mama została chrześcijanką?

Ho: Gdy była ze mną w ciąży.

Liao: W 1985 roku? To kilka lat po tym, jak rząd rozluźnił kontrolę nad religią.

Ho: Mama znalazła Boga dość przypadkowo. Dawna przyjaciółka wprowadziła ją do znajdującego się niedaleko protestanckiego kościoła. Poszła tam kilka razy na niedzielne nabożeństwo. Poczuła się natchniona. Ochrzcił ją siedemdziesięcioletni pastor. Było przy tym dużo ludzi. Moja mama jest nauczycielką w liceum. Uczy chińskiego. W tamtych czasach rzadko się zdarzało, by nauczycielka w liceum wstępowała do Kościoła. Wielu osobom się to nie podobało.

Liao: To brzmi, jakby twoja matka należała do Potrójnie Samodzielnego.

Ho: Tak. Widziałem przy wejściu tabliczkę z napisem, że kościół należy do Chińskiego Patriotycznego Ruchu Trzech Samodzielności. Kościół matki jest dość stary, ma ponadstuletnią historię. Nasz pastor zaczął służyć w tym kościele na długo, zanim przyszli komuniści. Niedawno umarł. Powinieneś zobaczyć wnętrze, jest super, stare, z tradycyjnym wystrojem.

Liao: Zakładam, że Kościół sprawdził historię i zaplecze polityczne twojej matki. Rząd pośrednio nadzoruje proces przyjmowania członków.

Ho: Nie wiem, czy to zrobili, czy nie. Wiem, że Kościół bardzo ostrożnie odnosi się do nowych członków. Słyszałem, że szef mojej mamy w szkole próbował jej to wyperswadować, ale ona się uparła. W końcu władze szkolne wyraziły zgodę na jej podanie, ale ustaliły pewne warunki: głównie chodziło o to, że nie wolno jej opowiadać o chrześcijaństwie uczniom w szkole. Gdy dorastałem, matka mówiła, że jestem na wpół nawrócony, bo byłem w jej łonie, gdy ją chrzczono.

Liao: Czy znasz jakichś członków Kościoła podziemnego?

Ho: Nie. Gdy mama wstępowała do Kościoła w 1985 roku, w Chengdu nie było żadnych podziemnych Kościołów... Nie uważam, żeby to było takie ważne. Mamy tylko jednego Boga, który nas wszystkich prowadzi. Wszystko jedno, gdzie się modlisz.

Liao: Słyszałeś o wielebnym Wu Yaozongu?

Ho: To nazwisko brzmi znajomo, ale kojarzy mi się z dawnymi czasami.

Liao: Był jednym z tych, którzy na początku lat pięćdziesiątych zakładali Ruch Patriotyczny Trzech Samodzielności w Chinach. Głosili, że chińskie Kościoły chrześcijańskie powinny zerwać wszystkie więzi z zachodnimi imperialistami i opierać się na zasadach samorządzenia, samozaopatrzenia i samopropagowania. Wielu chrześcijan się z nim nie zgadzało. Uważali, że Kościoły nie powinny być rządzone przez chiński rząd.

Ho: Zgadzam się. Myślę, że pomysły Wu Yaozonga były wariackie. Jezus przyszedł z Zachodu. Chrześcijaństwo to przede wszystkim zachodnia religia. Jak zatem można się odciąć od Zachodu?

Liao: To ciekawe spostrzeżenie. Co cię skłoniło do ochrzczenia się?

Ho: To długa historia. Mama cały czas nękała mnie tematem odrabiania lekcji. Posyłała mnie też na lekcje malarstwa. Chyba miała nadzieję, że będę najlepszy w klasie. Gdy byłem mały, nie miałem sił, by z nią walczyć, i zgadzałem się na wszystko, czego ode mnie żądała. Gdy dorosłem, przestałem jej słuchać. Podczas ostatniego roku w szkole średniej odmówiłem przystąpienia do krajowych egzaminów na uniwersytet. Mama dostała szału. Codziennie płakała i modliła się, prosząc Boga, by dał jej więcej ufności i mocy. Prawdę mówiąc, cierpiałem na fobię egzaminacyjną. Nie potrafiłem skupić się na nauce. Rano miałem zazwyczaj cztery lekcje. Zanim zaczęła się ta czwarta, już chciało mi się wrzeszczeć. Miałem ochotę rozbijać stoliki i ławki. Powiedziałem o tym mamie, więc zabrała mnie do lekarza, a ten postawił diagnozę, że cierpię na „napady niepokoju". Wobec tego, że jeszcze trochę i zostałbym wariatem, dała mi spokój i przestała naciskać. Zachęcała mnie natomiast do grania i surfowania w sieci. Często to robiłem. Bardzo mnie interesowały gwiazdy pop, szczególnie gwiazdy chińskiego rocka.

Liao: Powiedz, czy w szkole średniej umawiałeś się z dziewczętami?

Ho: Czy się umawiałem? Co ty, głupi jesteś? Zaczęliśmy się spotykać z dziewczynami już w podstawówce. Spróbowałem „zakazanego owocu", gdy miałem czternaście lat. W szkole średniej byłem już weteranem. A co innego możemy robić? To, co jemy, zawiera za dużo hormonów, dlatego nasze ciała szybko dojrzewają.

Liao: To ciekawe. Przepraszam za tę dygresję. I co było dalej?

Ho: Nie chodziłem do szkoły. Nie mogłem też znaleźć pracy, by na siebie zarobić. Nic, tylko siedziałem całymi dniami w domu. Gdy stacja telewizyjna w Hunanie pokazywała *Chińskiego idola*, nie przegapiłem żadnego programu. Uwielbiałem wszystkie startujące tam dziewczyny, a szczególnie Li Yuchun. Jest awangardowa i seksowna. Naprawdę super. Ilekroć się pokazywała, byłem strasznie podniecony, podskakiwałem.

Liao: Li Yuchun? Ta androgeniczna piosenkarka? Nie rozumiem ani słowa z tego, co śpiewa.

Ho: Mówisz jak moja mama. Dokładnie tak samo powiedziała. Ale naprawdę, nie ma co się sprzeczać o takie bzdety. Teraz, gdy jestem chrześcijaninem, poważniej traktuję życie. Żenuje mnie tamto moje dzikie zachowanie w czasach, gdy byłem nastolatkiem. Wiesz, gdy chodziłem do szkoły średniej, mama zachęcała mnie do czytania Biblii. Ale zamiast ją studiować, utrudniałem mamie życie, czepiając się różnych rzeczy. A to było dość łatwe. Na przykład w Księdze Rodzaju mówi się nam, że Bóg stworzył Adama i Ewę i pozwolił im żyć w Edenie bez żadnych kłopotów, dając wszystko, czego chcieli, poza owocem, który pozwoliłby im rozróżniać dobro od zła. Adam i Ewa nie potrafili oprzeć się pokusie szatana i zjedli zakazany owoc. To rozgniewało Boga, który wypędził ich z Edenu. Tak więc ludzkość rozpoczęła swoje długie dzieje jako wygnańcy. Kiedy to przeczytałem, uznałem, że Bóg jest jak chińskie władze, które też próbowały tak rządzić ludźmi, by pozostawali ignorantami. Moja mama się wtedy naprawdę wściekła.

Liao: Przynajmniej czytasz krytycznie.

Ho: Cieszę się, że tak uważasz. Tak czy inaczej, snułem się po domu przez dwa lata, nieustannie kłócąc się z mamą. Ponieważ wyrosłem z wieku, gdy można rozpocząć studia, szkoła nie wchodziła w grę. Oglądanie *Chińskiego idola* nie dawało mi zawodu. Powiedziałem jej, że poszukam sobie pracy. To okazało się trudne. Nie miałem żadnych talentów ani umiejętności. Poza tym zbyt długo siedziałem w domu. Osłabłem. Nawet odrobina wysiłku fizycznego sprawiała, że serce zaczynało mi szybko bić, a mięśnie boleć. Potem tato przez jakiegoś znajomego załatwił mi zajęcie. Miałem pracować jako ochroniarz w firmie. Pierwszego dnia zabrałem ze sobą do pracy mój MP4. Któregoś razu mój szef chciał mi coś powiedzieć, ale go nie słyszałem, bo miałem w uszach słuchawki. Po prostu szedłem dalej, wsłuchując się w piosenki Li Yuchun. Szef mnie dogonił, złapał za ramię i wrzasnął potężnym głosem: „Wynoś się stąd! Zwalniam cię!".

Rodzice naprawdę mieli mnie dość. Byli zbyt zmęczeni, by mnie rugać. Mama i tato spotkali się, by się zastanowić, co ze mną zrobić. Ojciec kręcił głową i mówił: „Nie wiem, kiedy on dorośnie. Przestańmy szukać mu zajęcia. Niech zostanie w domu, póki nie skończy dwudziestu pięciu lat. Może wtedy dojrzeje na tyle, by utrzymać się w pracy". Mama musiała się zgodzić. Pocieszała się, mówiąc: „Tylu młodych ludzi zostaje teraz w domu. Przynajmniej nie on jeden".

Liao: Jak mogłeś to znieść?

Ho: Nic mnie to nie obchodziło. Nie spieszyło mi się. Nie miałem dziewczyny, która by mi wierciła dziurę w brzuchu. Mama mi gotowała i kupowała ubrania. Co miesiąc dostawałem kieszonkowe. Nie było źle. Jednak pewnego dnia zacząłem się nudzić. Otworzyłem Biblię, przerzucałem strony, aż zobaczyłem fragment z Księgi Jeremiasza: „Jeżeli chcesz zawrócić, Izraelu – mówi Pan – to zawróć do mnie; a jeżeli usuniesz swe obrzydliwości sprzed mojego oblicza, nie będziesz się już tułał. I jeżeli będziesz przysięgał: »Żyje Pan« szczerze, uczciwie i sprawiedliwie, wtedy narody będą sobie

życzyć błogosławieństwa takiego jak twoje i tobą będą się chlubić".

Zupełnie jakby mnie piorun strzelił. Przez kilka minut stałem jak oniemiały. Mój Boże, myślałem o tych wszystkich obrzydliwych idolach pop, których uwielbiałem – Li Yuchun czy Jay Chou. Przemknęli mi przez myśl jak chmury niesione wiatrem. Pan dobrze mnie znał. Dobrze rozumiał moje pokolenie. Wrzucono nas w bezdenną otchłań uwielbienia dla ikon popu. Nie potrafiłem się z niej wydostać i o mało nie zmarnowałem sobie życia. Bóg w końcu do mnie przemówił, a jego słowa brzmiały surowo. Musiałem usunąć wszystkich obrzydliwych idoli sprzed jego oblicza i przysiąc, że będę dobry.

Wieczorem, gdy mama wróciła do domu, powiedziałem jej, że chcę zostać chrześcijaninem i ochrzcić się. Patrzyła niedowierzająco i nie wiedziała, jak zareagować.

Liao: To była dość nagła zmiana.

Ho: Kto naprawdę wierzy w Boga, powinien się ochrzcić, kto nie – wolna wola. Tak wówczas myślałem. Jestem typowym przedstawicielem pokolenia lat postosiemdziesiątych. Przez lata szedłem za różnymi ikonami popu i umiałem śpiewać wszystkie ich piosenki. Gdy pojawiała się nowa, odrzucałem stare. Całe życie goniłem za idolami jak pies za piłką. Potem nauczyłem się śpiewać hymny i nigdy mnie one nie nudzą. Hymny wzruszają mnie na głębszym poziomie. Zmieniają mnie. Miewaliśmy w kościele bardzo swobodne dyskusje. Gdy swoim chrześcijańskim braciom i siostrom wyznałem swoje problemy i wątpliwości na temat życia, nikt mnie nie wyśmiał ani nie uznał, że jestem głupi. Powiedziałem, że nie mam pracy, a wszyscy mi pomogli. Byłem na kilku rozmowach w różnych firmach. Podczas każdej rozmowy mówiłem: „Jestem chrześcijaninem. Jestem młody, brak mi doświadczenia, ale potrafię pracować ciężko i z oddaniem. Jeśli nie chcecie zaoferować mi pracy, zaoferujcie mi staż albo będę wolontariuszem. Jeśli uznacie, że jestem dobry, zatrudnicie mnie albo zapłacicie mi później".

Liao: I dostałeś pracę?

Ho: Tak. Jestem serwisantem sieci komputerowej w firmie.

Liao: Czy brałeś kiedyś udział w nabożeństwie odprawianym w prywatnym domu?

Ho: Kilka razy. Znam nawet takich chrześcijan, którzy się spotykają i modlą w biurach. Ale mnie to nie pasuje. Modlitwa w kościele sprawia, że dobrze się czuję. Chyba moje pokolenie po prostu lubi piękne rzeczy.

Liao: Zwracacie uwagę na sprawy powierzchowne, na opakowanie, a nie na treść.

Ho: A co w tym złego? Już od starożytności ludzi przyciągały rzeczy piękne. Najpierw owijaliśmy się skórami zwierząt. Potem zaczęliśmy nosić ubrania. To wszystko oznacza opakowanie się, by ładnie wyglądać. Gdy stajemy przed Panem, musimy wyglądać czysto i przyzwoicie. Bóg w niebiosach także utrzymuje swój pałac w czystości i porządku, by mieć odpowiedni nastrój do wysłuchiwania modlitw swoich wyznawców. Jeśli wybierzemy byle jakie miejsce i zrobimy z niego kościół w imię Boga, to po co w ogóle budować kościoły? Widziałem zdjęcia pięknych kościołów na całym świecie. Budowano je przecież w jakimś celu, nie sądzisz?

Liao: Wiele osób odmawia uczestnictwa w nabożeństwach w tych pięknych kościołach, ponieważ znajdują się pod nadzorem Urzędu do spraw Religii.

Ho: Czy to ma jakieś znaczenie? Ta święta postać na krzyżu to mój Pan, wszystko jedno, czy wisi nad ołtarzem w kościele rządowym, czy w salonie. To nie jest prezydent Hu Jintao ani przewodniczący Mao.

Liao: No...

Ho: Ludzie w twojej grupie wiekowej są zbyt upolitycznieni. Za bardzo interesujecie się polityką. W moim pokoleniu jest inaczej. Czasami mi to przeszkadza. Kiedyś poszedłem do kościoła domowego. Czytaliśmy Biblię, a nagle wstał pastor czy starszy zboru i nie czekając na zgodę pozostałych, zaczął wygłaszać polityczne kazanie, a potem poprosił wszystkich,

żeby modlili się za takiego a takiego, który zginął dla Pana, a potem takiego a takiego, który został aresztowany przez rząd. Prosił nas także, byśmy się modlili za grzechy popełniane przez rząd. Całkiem zmienił nastrój zgromadzenia na przygnębiający i tragiczny. Usłyszawszy jego polityczne wezwanie, kilku członków zaczęło płakać. Chyba byłem zbyt młody i nie miałem tyle doświadczenia. Czułem się niezręcznie. Myślałem: Czemu nie pozwolimy robić Bogu tego, co boskie, a cesarzowi tego, co cesarskie? Dlaczego zawsze mieszamy te dwie rzeczy? Rząd chce upolitycznić religię, a część chrześcijan robi to samo. Takie sprawy zabijają mój duchowy apetyt.

Liao: Cóż, to interesujący punkt widzenia. Czy słyszałeś o chrześcijaninie nazwiskiem Wang Yi? Ciekawe, co on by odpowiedział na twój argument.

Ho: Słyszałem o Wang Yi. Mieszka w Chengdu, prawda? Czy to nie on stoi na czele tego chrześcijańskiego ugrupowania, które nazywa się Jesienne Błogosławieństwo? Jest znanym niezależnym intelektualistą i konstytucjonalistą, czy coś takiego. Nie wątpię, że partia komunistyczna uważnie mu się przygląda. Wydaje mi się, że policja kilkakrotnie zrobiła nalot na jego grupę.

Liao: Tak. Jest też taki pisarz Yu Jie. To chrześcijanin z Pekinu. Oni wszyscy są utalentowanymi, odważnymi intelektualistami. Nie boją się aresztowania ani więzienia.

Ho: W kościołach rządowych także jest wielu utalentowanych intelektualistów. Niektórzy decydują się otwarcie mówić, inni wolą się nie wychylać. Niektórzy chcą angażować się w walki polityczne, inni chcą trzymać się z dala od polityki. Taka jest rzeczywistość. Widziałem film wielebnego Yuan Zhiminga *Krzyż. Jezus w Chinach*. Uważam, że jest bardzo nieobiektywny. Za bardzo skupia się na historii. Przewodniczący Mao i Deng Xiaoping od dawna nie żyją. Większość Chińczyków nie dba już o rewolucję ani o komunizm. Nawet komunistyczni funkcjonariusze nie dbają zbytnio o komunizm, a tylko, jak to się mówi, wciskają ciemnotę. Sami wysyłają dzieci na

Zachód, by otrzymały innego rodzaju wykształcenie. Po co więc wciąż marnujemy czas, czepiając się tego, co robi rząd? Rząd i tak się czuje niepewnie ze względu na kryminalną przeszłość. Lepiej nie prowokować komuchów.

Może mam w głowie za dużo informacji. Ponieważ mój mózg ma ograniczoną liczbę gigabajtów pamięci, po prostu wyrzucam je bez filtrowania. Przykro mi, mam nadzieję, że tacy staruszkowie jak ty nie poczują się urażeni. Muszę chyba wykasować z mózgu część niepotrzebnych plików. Na szczęście mam Jezusa za przewodnika. Jestem skupiony. Myślę, że jeśli tylko będę stale apgrejdować swój umysł, dam sobie radę.

Liao: Czy używasz serwera proxy, by wchodzić na zagraniczne strony internetowe?

Ho: Oczywiście.

Liao: Czy słyszałeś o Liu Xiaobo i dokumencie, który napisał z kilkoma innymi osobami? Nazywa się „Karta 08". Jest deklaracją na rzecz rozwijania demokracji i praw człowieka, w tym prawa do wolności religijnej. Wielu znanych chińskich intelektualistów podpisało się pod tym dokumentem.

Ho: Nie potrzeba serwera proxy, żeby wejść i przeczytać „Kartę 08". Widziałem ją na kilku krajowych witrynach. Policja ją stale usuwa, ale pojawia się w coraz większej liczbie miejsc. Przez pewien czas wydawało się, że policja nie nadąża.

Liao: Czy zgadzasz się z poglądami przedstawionymi w „Karcie 08"?

Ho: Na dłuższą metę tak, ale na krótką metę tego nie popieram. To się nie uda, bo nie ma poparcia w szerokich kręgach społecznych. Muszę jednak powiedzieć, że to było naprawdę bandyckie aresztować Liu Xiaobo przed Bożym Narodzeniem i skazać go na jedenaście lat więzienia. Przykro mi, jako chrześcijanin nie powinienem kląć, ale myślę, że Bóg mi tym razem wybaczy. Wiesz, Liu Xiaobo nie przeklinał. Wyrażał poglądy w sposób cywilizowany. Nawet jeśli rząd się z nim nie zgadza, nie powinni go zamykać. Jaki będzie kolejny ruch? Ludzie z mego pokolenia uważają Han Hana za odważnego

pisarza. Han jest moim bohaterem i bohaterem tysięcy młodych ludzi. Napisał kilka bardzo ostrych politycznych komentarzy. Czy jego też zamkną? Gdy Liu Xiaobo skończy odsiadywać wyrok, będzie miał sześćdziesiąt lat. Nawet jeśli do tej pory w Chinach nastanie demokracja, będzie za stary, by cokolwiek zrobić. Mógłby wstąpić do Kościoła, ochrzcić się i przyjąć święcenia, a potem zostać pastorem. W ten sposób nauczałby innych. Nie widzę dla niego innego wyjścia, a ty?

Widzisz, on należy do wyższego poziomu, poziomu profesorów. Ja należałbym do kategorii młodszych studentów. By posłużyć się komputerem jako metaforą – on jest jak Pentium 6 czy Pentium 7, a ja zaledwie Pentium 2. Znacznie mnie wyprzedza i nigdy mu nie dorównam, ale gdy się słucha jego i jemu podobnych, to dochodzi się do wniosku, że mówią słuszne rzeczy.

Podziękowania

W 2005 roku Wu Yongsheng, starszy zboru Fuyintang, najstarszego protestanckiego kościoła w Dali, napisał książkę *Historia chrześcijaństwa w Dali*, zawierającą listę nazwisk misjonarzy z całego świata, którzy od połowy dziewiętnastego wieku do 1949 roku przybyli do tego regionu, by głosić Słowo Boże. Ponieważ wielu z nich znano jedynie pod chińskimi imionami, nic dziwnego, że ich prawdziwe nazwiska zostały błędnie zapisane, są niepełne bądź nie ma ich w ogóle. Ta książka poświęcona jest pamięci tych, którzy żyli i nauczali w Junnanie.

考克宏 Archibald Colquhoun, 1882
斯蒂文 Frederick Arthur Steven, 1882
歐文.史蒂文生 Owen Stevenson, 1882
喬治.安德魯 George Andrew, 1882
約翰.史密斯 John Smith, 1885
德史多.福卡 F. Theodore Foucar, 1886
哈裏特.史密斯 Harriett Smith, 1890
約翰.安德森 John Anderson, 1892
安德森小姐 E.M.D. Anderson, 1892
瑪麗.博克斯 Marie Box, 1895
辛普森小姐 A.M. Simpson, 1895
西比爾.瑞特 Sybil M.E. Reid, 1896

約翰 John Kuhn, 1900
格蘭漢姆 L. Graham, 1900
尼克斯 S. M. E. Nicholls, 1900
郭秀峰 Arthur G. Nicholls, 1900
辛普森 William Wallace Simpson, 1900
桑德斯 A. H. Sanders, 1901
馬錫齡夫婦 prawdziwe nazwisko nieznane, 1901
理查.威廉姆斯 Richard Williams, 1902
哈科特.麥克裏 Hector Mclean, 1902
安選三 William James Embery, 1902
邁克裏 Hector Mclean, 1903
克拉克醫生 dr W. T. Clark, 1903
波特小姐 Ethel A. Potter, 1907
王懷仁 George E. Metcalf, 1907
內勒小姐 E. E. Naylor, 1907
海克托 Ms. Hector, 1907
克拉澤小姐 A. Kratzer, 1911
艾德加夫婦 pan i pani Edgar, 1912
克萊門 A. J. Clement, 1912
坎寧海姆 J. D. Cunningham, 1912
達真塞勒小姐 panna Dukesher, 1902
韓純中夫婦 pan W. J. Hanna i pani Hanna, 1912
富能仁 J. O. Fraser, 1919
楊思惠 Allyn Cooke, 1919
普照恩 prawdziwe nazwisko nieznane, 1919
赫德祿夫婦 pan i pani Hatton, 1926
肯特小姐 D. S. Hatton, 1926
楊志英 John Kuhn, 1930
海富生醫生 dr Stuart Harverson, 1933
梁錫生夫婦 pan William A. Allen i pani Allen, 1931
馬耀華 Australijczyk, prawdziwe nazwisko nieznane, 1934
柏牧師夫婦 Norweg, prawdziwe nazwisko nieznane, 1934
何美食 Ted Holmes, 1934
施倫英夫婦 pan A. W. Snow i pani Snow, 1940
戴德樂夫婦 pan Harold Taylor i pani Taylor, 1940

美德純 Jessie McDonald, 1941
鮑文廉 Frances E. Powell, 1941
施愛仁 M. E. Soltau, 1941
馬光啟 Doris M. L. Madden, 1941
趙立德夫婦 pan Raymond Joyce i pani Joyce, 1946
毛文熙夫婦 prawdziwe nazwisko nieznane, 1948
辛醫生 dr Myrtle J. Hinkhouse
塗約翰 dr John K. Toop
塗威廉 dr William J. Toop
羅教師 D. W. Burrows
何莉莉 L. Hamer
畢麗蓉 Emma Blott
萬醫生 dr Watson
倪護士 Australijczyk, prawdziwe nazwisko nieznane
溫教師 Norweg, prawdziwe nazwisko nieznane

Ta książka nie mogłaby powstać bez pomocy dra Suna, który w ciągu dwóch lat towarzyszył Liao w wyprawach do wsi w Junnanie i wprowadzał go w tamtejsze środowiska chrześcijańskie. Dziękuję także tym odważnym, wytrwałym chińskim chrześcijanom, którzy otworzyli serca przed Liao Yiwu i których niezwykłe opowieści skłoniły go do napisania tej książki.

Wyrazy wdzięczności za poparcie należą się również Yu Jie, chrześcijaninowi i znanemu niezależnemu krytykowi literackiemu. Pastor John Zhang z Kościoła Ewangelicko-Reformowanego z San Mateo w Kalifornii jest bardzo zaangażowany w ruch chrześcijański w Chinach. Jego organizacja Humanitarian China zebrała pieniądze dla Li Linshana, „chorego na raka" opisanego w tej książce, a także umożliwiła doktorowi Sunowi pobyt w Stanach Zjednoczonych, gdy rząd zakazał mu kontynuowania misji w Junnanie.

Mam dług wdzięczności wobec mego wspaniałego agenta Petera Bernsteina i jego żony Amy za ich zaufanie i wytrwałość. Dziękuję Timowi Cribbowi z Hongkongu, który zamieścił kilka utworów Liao w „Asia Literary Review" i dokonał

dokładnej redakcji tekstu. Cenię sobie również redaktorską pomoc i wkład moich przyjaciół Colina McMahona i Moniki Eng z „Chicago Tribune" oraz Roberta Crowleya ze Springfield w stanie Illinois.

Książka ogromnie skorzystała dzięki konsultacjom księdza Michaela Bradleya z archidiecezji w Chicago. Ksiądz Bradley szczegółowo przejrzał cały tekst i cierpliwie odpowiadał na moje pytania, w tym kilka, które wymagały obszernych studiów.

Ponadto pragnę podziękować Tienchi Martin-Liao, przewodniczącej Niezależnego Chińskiego Centrum PEN, za wspieranie i propagowanie niezależnych chińskich pisarzy, takich jak Liao Yiwu.

Na początku lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku Bruce Kinette i jego matka Vera zabrali mnie na kilka nabożeństw w kościołach, bym mógł lepiej zrozumieć amerykańską kulturę. Bruce podarował mi także Biblię w wydaniu NIV Study Bible, z której korzystałem przy tłumaczeniu tej książki.

W ciągu lat mój przyjaciel Gerhard Dierkes z Berlina po cichu pomagał mi w pracy translatorskiej i dostarczył wiele zdjęć Liao.

W tym samym miesiącu, w którym książka została ukończona, moja przyjaciółka Kate Durham urodziła prześliczną córeczkę Angie, źródło radości dla Kate i Craiga oraz promyczek w życiu ich przyjaciół, takich jak ja. Mam nadzieję, że Angie będzie dorastać w świecie pokoju, w którym ludzie mogą swobodnie wyznawać swoją wiarę i szanują przekonania religijne innych.

Linda Yu życzliwie opowiedziała mi historię swojej nieżyjącej już babki, oddanej chrześcijanki, co pomogło mi zrozumieć ruch chrześcijański w czasach przedkomunistycznych. Za okazane poparcie pragnę także podziękować Tao Zhangowi, Caren i Dale'owi Thomasom oraz Davidowi Alexandrowi.

Przede wszystkim jednak jestem wdzięczny naszemu wydawcy Mickeyowi Maudlinowi, którego zainteresowanie tematem i zdolność przewidywania umożliwiły publikację tej książki.

Kathryn Renz i Lisa Zuniga skutecznie przeprowadziły tekst przez proces redakcyjny, za co im dziękuję.

I na koniec pragnę podziękować przyjaciołom i współpracownikom Thaddeusowi Woosleyowi, Hansowi Van Heukelumowi, Andrew Delaneyowi, Kelly Drinkwine i Tory Neff za ich wsparcie i okazaną przyjaźń.

Wenguang Huang

Spis treści

Przedmowa tłumacza z języka chińskiego na angielski 5
Przedmowa 13

Część I WYJAZD DO DALI

Cmentarz 23
Stara mniszka 31
Tybetańczyk 47
Starszy zboru (I) 56
Anglikanin 67
Chory na raka 72
Wspólnota 83

Część II WIOSKI YI I MIAO

Lekarz 95
Męczennik 111
Starszy zboru (II) 130
Pastor z ludu Yi 140
Uczta 152

Część III PEKIN I CHENGDU

Potajemna wizyta 161
Pastor Kościoła podziemnego 169
Poetka i kapłan 192
Ślepy muzyk 207
Sierociniec 217
Nowy wyznawca 223

Podziękowania 235